

LITERACKIE NADWISŁOCZE POD PATRONATEM MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA PODKARPACKIEGO

Szanowni Państwo Czytelnicy Literackiego „Nadwisłocza”

Cieszę się, że staraniem Agencji Wydawniczej „Promocja” ukazała się publikacja, która jest ważną i interesującą pozycją w kulturalnym dorobku Podkarpacia. Napisane ręką rodzimych, podkarpackich autorów artykuły, wiersze, przewodniki, recenzje, fragmenty książek – wzbogacają znacząco wiedzę nas wszystkich, odbiorców tych tekstów o dziedzictwie naszego regionu. Przynoszą ciekawe informacje o historii różnych miejsc czy osób, których życie zostało ukształtowane przez ważne wydarzenia historyczne. Ukazują działalność prowadzoną przez lokalne stowarzyszenia kultury i przybliżają osiągnięcia rodzimych twórców, których możemy lepiej poznać.

Publikacja to w dużym wymiarze zapis wewnętrznych przeżyć autorów, poetów, na których piętno wycisnęła pandemia roku 2020 i związane z nią zmiany w życiu społecznym, gospodarczym oraz prywatnym. Już chociażby z tego powodu warto sięgnąć po tę pozycję, aby zobaczyć, jak inni przeżyli ten czas, jakie emocje im towarzyszyły, na czym skupili swoją uwagę, jak przewartościli swoje sprawy i problemy. A być może czym się cieszyli w owym dziwnym, nieprzewidywalnym okresie.

Literackie „Nadwisłocze” to w dużej mierze osobiste teksty ukazujące przeżycia zwykłych ludzi wtrąconych w młyn wielkich, historycznych wydarzeń. To także przewodniki po zabytkach Podkarpacia, miejscach być może znanych, ale opisanych zupełnie inaczej, z wrażliwością charakterystyczną dla literatów, wzbogacone czy może raczej „okraszone” poezją. Zwiedzanie Podkarpacia z takim przewodnikiem nabiera zupełnie nowego charakteru, uwrażliwia na zupełnie inne elementy historycznego i kulturowego dziedzictwa naszego regionu.

Dziękuję wszystkim autorom, recenzentom, poetom obecnym na łamach Literackiego „Nadwisłocza” za ważny wkład w kształtowanie literackiego oblicza Podkarpacia. Państwa wrażliwość, zainteresowanie rzeczami i sprawami, które większości z nas umykają w codziennym życiu, są bezcennym zapisem naszych czasów. Źródłem olbrzymiej wiedzy dla przyszłych pokoleń, które z pewnością będą eksplorować obszar naszych emocji w czasie pamiętnego roku 2020.



*Marszałek Województwa Podkarpackiego Władysław Ortyl
(Fot. Archiwum UMWP)*

Życzę wszystkim odbiorcom, aby różnorodne treści zamieszczone w publikacji, pogłębiły wiedzę o naszym regionie, ale przede wszystkim, by pozwoliły spojrzeć z dystansem właściwym ludziom szeroko rozumianej kultury na problemy naszego świata, miejsca w którym żyjemy. Warto czerpać z wrażliwości artystów. W ten sposób ubogacamy nas samych.

Gratuluję wydawniczego projektu, który jest znakomitą formą uczczenia 100. rocznicy utworzenia Związku Literatów Polskich. Życzę wszystkim autorom publikacji dalszej twórczej weny, która przełoży się na nowe projekty oraz wartościowe literackie teksty. Niech nie opuszcza Państwa chęć opisywania świata, gdyż dla nas, czytelników, jest to gwarancja, że zatrzymamy się w codziennym pędzie i spojrzymy na zwykłe rzeczy w zupełnie inny sposób. Docenimy codzienność, zasmakujemy w niej i będziemy się nią cieszyć.

„Nadwisłocze” jest dla tych wszystkich, którym bliskie są sprawy regionu nad Wisłoką, Wisłokiem i Wisłą, a więc Mielca, Podkarpacia i okolic – tak mówią o sobie twórcy „Nadwisłocza”. Potwierdza to w pełni publikacja Literackie „Nadwisłocze”, po którą warto sięgnąć. Zaangażuje nie tylko nasz umysł, ale przede wszystkim emocje. I co ważne, będzie wzmacniać nasz lokalny patriotyzm – tak ważny dla funkcjonowania każdej społeczności.

Pozdrawiam serdecznie i życzę interesującej lektury
Władysław Ortyl

Podkarpacie pamięta o Niezłomnych

W tej ciężkiej dla mnie godzinie życia, świadomość, że ofiara moja nie pójdzie na marne, że niespełnione sny i marzenia nie zamknę nieznaną mogiła, ale że będziesz je realizował Ty, jest dla mnie wielkim szczęściem. Będę umierał w wierze, że nie zawiedziesz nadziei w Tobie pokładanych – tak Łukasz Ciepliński, żegnał się ze swoim synem Andrzejem. Wiedząc już, jaki spotka go los. Poprzez niewielkie skrawki papieru przekazał świadectwo ostatnich chwil życia.

Pamięć o żołnierzach niezłomnych pozostała, była wyrzutem sumienia władz PRL i na kilkadziesiąt lat, utkwiała w zawieszeniu, pod grubą warstwą hańby i bestialstwa komunistycznych oprawców. Czekwała dziesiątki lat na lepsze czasy. Ludzie, którzy nie pogodzili się z nową, powojenną rzeczywistością, zostali w okrutny sposób zamordowani, a ich egzystencja miała zostać wykreślona z ludzkiej pamięci, ze świadomości, z historii.

- Tak się na szczęście nie stało. Kilkadziesiąt lat fałszowania historii zrobiło jednak swoje. Dlatego konieczne jest nasze zaangażowanie, aby upamiętniać i pokazywać niezwykle bohaterstwo, ale także pobudki jakimi kierowali się niezłomni. Chcę podkreślić, że w województwie podkarpackim zaczęto przywracać tę pamięć bardzo wcześnie, jeszcze wtedy kiedy nie było to takie oczywiste i łatwe – powiedział marszałek województwa Władysław Ortyl.

Łukasz Ciepliński jest patronem jednej z głównych ulic w Rzeszowie. Przy niej mieści się m.in. Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego. W gmachu wojewódzkiego samorządu, sala - gdzie obraduje sejmik - także nosi imię Pułkownika Łukasza Cieplińskiego o czym informuje okazała tablica. To przy niej, rokrocznie 1 marca gromadzą się pracownicy urzędu chcąc oddać hołd bohaterowi tamtych trudnych dni. W tym roku zorganizowano Nadzwyczajną Sesję Sejmiku poświęconą Cieplińskiemu, jego podkomendnym i innym podkarpackim bohaterom tamtych trudnych dni. Choć



Obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Rzeszowie Fot. Anna Magda (Biuro prasowe UMWP)

było to spotkanie w formule on-line przyniosło wiele ciekawych wystąpień.

- Dziś możemy powiedzieć miałaś Polsko wspaniałe dzieci, które w godzinie próby zachowały się jak trzeba – mówił, zaproszony na uroczystą sesję Franciszek Batory, 92-letni świadek historii, brat Józefa Batorego - Żołnierza Wyklętego, zamordowanego 1 marca 1951 w więzieniu mokotowskim wraz z Łukaszem Cieplińskim i innymi oficerami, członkami IV zarządu WiN.

- Często przemierzam polską ziemię, odwiedzam szkoły, uczelnie, spotykam się przekazując to, co działo się w tamtych czasach. Byłem jako student świadkiem tego procesu. Proces IV zarządu WIN był procesem przeciw Polsce. To nie był sąd – a zbrodnia sądowa. Dziś mój głos jest ich głosem, im nie pozwolono powiedzieć nic przed śmiercią, śmiercią męczeńską, wybraną dla ludzi najbardziej kochających Boga. Ich winą największą było to, że ukochali Polskę pierwszą po Bogu miłością – mówił Franciszek Batory.

Łukaszowi Ciepłińskiemu oraz Józefowi Batoremu, Adamowi Lazarowiczowi, Mieczysławowi Kawalcowi, Józefowi Batoremu, Franciszkowi Błażejowi, Józefowi Rzepce, Karolowi Chmielowi poświęcony jest okazały pomnik-memoriał, który powstał w Rzeszowie przy ul. Ciepłińskiego.

Monument powstał dzięki ofiarnej pracy komitetu, na czele którego stał Wojciech Buczak. Odsłonięto go 17 listopada 2013. Centralnym punktem monumentu jest rzeźba umieszczona po jego prawej stronie, przedstawiająca Łukasza Ciepłińskiego, ukazana za więziennymi kratami, z podpisem „Żołnierzom Wyklętym”. Z lewej strony umieszczono popiersia wspomnianych członków IV Zarządu WiN. Wszystkich stracono 1 marca 1951 roku. Właśnie dlatego w 2011 roku ta data została ustanowiona Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

Kolejna tego typu inicjatywa zrodziła się w Mielcu. Tuż przy Alei Niepodległości, głównej arterii miasta, powstanie kolejny pomnik poświęcony „Żołnierzom Wyklętym”.

- Jestem pasjonatem historii. W mojej rodzinie byli Żołnierze Wyklęci. Może stąd jest ten pazurki zainteresowania. W młodych latach usłyszałem niezwykle dramatyczną historię. Mój ojciec opowiadał ją mając łzy w oczach. Byłem tym zszokowany, bo mój tata nie jest osobą wylewną, ale zamkniętą w sobie. Zapamiętałem ją i postanowiłem, że może mi się uda przywracać jakoś tych ludzi naszej pamięci. Ostatnich rycerzy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, o których mieliśmy zapomnieć. Czuję obowiązek, żeby spłacić ten dług i tych ludzi przywoływać do pamięci – powiedział Romuald Rzeszutek przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika Żołnierzy Wyklętych Niezłomnych w Mielcu, dla portalu wpolityce.pl.

Wiele osób twierdziło, że podjął się realizacji przedsięwzięcia wręcz niewykonalnego. Efektowny projekt i jeszcze „okazalszy” kosztorys sprawiał, że wiele osób poddawało w wątpliwość powodzenie przedsięwzięcia. Nie dla Romka i zespołu komitetu budowy, którzy pukali do niejednych drzwi szukając środków na budowę pomnika.

Główny element monumentu jest już gotowy. Wyróżnia się formą, jak i rozmiarami. Dzieło powstaje w pracowni artysty - rzeźbiarza Józefa Opali. To wielka, rzeźbiona kolumna z granitu, nazwana Drzewem Życia. Nad nią wznosi się Orzeł - symbol Państwa. Na granitowej kolumnie znajduje się płaskorzeźba z brązu przedstawiająca Ryngraf z Matką Boską (w formie rycerskiej tarczy był pierwszym wykonanym elementem). Z prawej strony, pod Orłem, powstaną w brązie sylwetki trzech żołnierzy „Trójki Niezłomnych”: Hieronima Dekutowskiego, Wojciecha Lisa i Aleksandra Rusina. Dwie z nich ufundowało Biuro Upamiętniania Walk i Męczeństwa IPN, trzecia powstała ze składek społecznych. Z drugiej strony pojawiają się figury bohaterów zwane „Korowodem Cieni”: Waleriana Tumanowicza, Janiny Przysiężniak, Ludwika Marszałka, Witolda Pileckiego, Łukasza Ciepłińskiego, Leona Wanatowicza, Augusta Emila Fieldorfa. Uzupełnieniem będą trzy reliefy przedstawiające symbole trzech największych organizacji niepodległościowych II konspiracji: Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych oraz Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość.

1 marca 2020 roku wmurowano kamień węgielny pod budowę pomnika. Przez rok zainstalowano pierwsze elementy. Pomnik rośnie w oczach, ale do ukończenia dzieła pozostało jeszcze kilka elementów. Inicjatorzy jego budowy dziękują wszystkim donatorom, bez których realizacja tej wspaniałej idei nie byłaby możliwa. Proszą także o dalsze wsparcie.

- To dalszy etap przywracania pamięci, oddawania czci i szacunku bohaterom, którzy na to jak najbardziej zasłużyli, a którym w mrocznych czasach naszej historii tego odmówiono. Samorząd Województwa wsparł ten szczytny cel kwotą 135 tysięcy złotych. Taką decyzję podjął Sejmik Województwa Podkarpackiego. Podkreślam wielkie zaangażowanie inicjatorów tego przedsięwzięcia. Nie robią tego dla zaszczytów, ale przywracają godność zapomnianym bohaterom – mówi marszałek Władysław Ortyl.

**Biuro prasowe Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Podkarpackiego**



str. 1 - Słowo wstępne Władysława Ortyła
Marszałka Województwa Podkarpackiego.

Wydarzenia

str. 2-3 - Biuro Prasowe UMWP, Podkar-
pacie pamięta o Niezłomnych.

str. 5 - Włodzimierz Gąsiewski, Lite-
rackie „Nadwisłocze” zaprasza twórców
słowa.

str. 6-7 - Małgorzata Żurecka, Z per-
spektywy wieku.

str. 7 - Ryszard Mścisz, 100 lat Związku
Literatów Polskich.

str. 5 - Włodzimierz Gąsiewski, Literaci
z Mielca i nie tylko na III Świątecznych
Targach Książki w Rzeszowie oraz na
otwarciu nowoczesnej Miejskiej Bibliote-
ki Publicznej w Mielcu.

str. 10-11 - Małgorzata Szepelak, Jubi-
leusz RSTK – wyjątkowe 40-lecie w 2020
roku.

Nowości, recenzje i omówienia

str. 12-13 - Włodek Gąsiewski, Krystyna
Gargas Gąsiewska – Bieszczadzkie szlaki
ikon – droga do Łopienki.

str. 13-14 - Teresa Paryna, Szlakiem
bieszczadzkich wędrówek „Droga do ło-
pienki”.

str. 15-17 - Józef Witek o „Drodze do ło-
pienki...” Włodka Gąsiewskiego i Krysty-
ny Gargas-Gąsiewskiej.

str. 18-19 - Mirosław Głowala, Mirosław
Osowski, Notatnik liryczny – omówienie.

str. 20 - dr hab. Paweł Soroka, Stefan M.
Żarów, Podkarpackie Ślady Pegaza.

str. 21-22 - dr Jan Wolski, Rozkoszując
się wielopostaciowością (Stefan M. Ża-
rów, Na skraju podróży).

str. 23 - Stefan M. Żarów, Mensura Ho-
minis dziennik małopandemiczny

str. 23-24 - Ludwik Filip Czech, Historia
wierszem spisana.

str. 25-27 - Włodzimierz Gąsiewski, Kre-
sy utracone czyli „Roztrzaskane lustro”

podróż sentymentalna Teresy Paryny.

str. 28 - „Listy za Ocean / Letters over the
Ocean” – kolejna książka małżeństwa
Krystyny i Włodka Gąsiewskich.

29 - Zafrira Malovany Shmukler, Listy
za Ocean – recenzja zza morza / Letters
over the Ocean – review from overseas.

str. 24 - 28 - Marek Nalepa, „Rubinowy”
jubileusz Regionalnego Stowarzyszenia
Twórców Kultury w Rzeszowie

Poezja

str. 29 - Stefan Żarów, Wiersze.

str. 30 - Krzysztof Kwasiżur

str. 31-32 - Jolanta Michna, Wiersze.

str. 33-34 - Teresa Paryna, Kiedy prze-
kwitną czarne kwiaty.

str. 35 - Ryszard Mścisz, Korona - poezja.

str. 36-38 - Beata Hil-Dobrzeńska
(Bodych)

str. 39 - Włodek Gąsiewski, Oblicza Bia-
łorusi Nowogródek. Foto-poezja.

str. 40 - Włodek Gąsiewski, Akatyst
– Hymn do matki Bożej Niewiedzący
Kwiat w czasie pandemii.

str. 41-44 - Barbara Śnieżek, Wiersze.

str. 45-46 - Barbara Śnieżek, Feralny rok
2020.

str. 46 - Grażyna Wojcieszko, Gdzieś tam
Paryż.

str. 47-49 - Maria Gibała, Wiersze.

Literackie Nadwisłocze - proza

str. 51-88 - Jadwiga Buczak, W Cieniu
Łopienki.

str. 89-92 - Izabela Sekulska, Estera.

str. 93-96 - Jerzy Stefan Nawrocki, Za-
męt. Fragment Przygotowywanej do
druku powieści „Ścieżka do Wieczności”

Literatura i kultura

str. 97-100 - Stefan Żarów, Ślady utrwa-
lone (O rocznicy 40-lecia Rzeszowskie-
go Regionalnego Stowarzyszenia Twór-
ców Kultury)



Literackie „Nadwisłocze” zaprasza twórców słowa

Mogli z tego skorzystać wszyscy chętni twórcy. Równolegle odbywał się profesjonalny skład komputerowy czasopisma i przygotowania do wydania na początku 2021 r. limitowanej wersji papierowej, drukowanej czasopisma oraz elektronicznej wersji pdf Literackiego „Nadwisłocza”, które zostanie również zamieszczone bezpłatnie w Internecie.

Szczególne podziękowania za pomoc finansową w wydaniu wersji drukowanej Literackiego „Nadwisłocza”, wydawca i Redakcja składa Panu Marszałkowi Województwa Podkarpackiego – Władysławowi Ortyłowi, który objął patronatem honorowym Literackie „Nadwisłocze” oraz Panu Dyrektorowi Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie – Damianowi Drągowi, za finansowe wsparcie wydania. Redakcja składa również podziękowania Pani Prezes Zarządu Związku Literatów Polskich Oddział Rzeszów – Małgorzacie Żureckiej i wszystkim członkom ZLP O/Rzeszów za objęcie patronatem czasopisma, a autorom za nieodpłatne przekazanie swoich tekstów. Dodatkowe podziękowania należą się także osobom współpracującym redakcyjnie w niniejszym wydaniu: Krystynie Gargas-Gąsiewskiej, która artystycznie para się głównie malarstwem i pisaniem ikon, ale też jest autorką i współautorką kilku książek poezji i prozy, zmusznie też pracując przy adiustacji zaprezentowanego wydania oraz Ryszardowi Mściszowi - wiceprezesowi ZLP O/Rzeszów i Ste-

fanowi Żarowowi - członkowi ZLP O/Rzeszów, a także długoletniemu wiceprezesowi Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie, które jest również zaprezentowane na łamach bieżącego wydania Literackiego „Nadwisłocza”

Szanowni Państwo! Od 19 lat jestem członkiem Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie. Osiągnąłem więc dojrzałość pisarską w tym szacownym stowarzyszeniu twórczym. Za swoją twórczość poetycką i wydawniczą dwukrotnie zostałem uhonorowany nagrodą „Złotego Pióra” ZLP O/Rzeszów, w tym jako wydawca Kwartalnika „Nadwisłocze”. Czasopismo to ukazuje się od 2003 r. Na jego łamach przewinęło się kilkudziesięciu literatów, a niektórzy w nim nawet debiutowali, a dziś mają duży dorobek twórczy i osiągnęły sukcesy literackie. Także w latach 2004-2014 „Nadwisłocze” wspólnie z Wojewódzką Biblioteką Pedagogiczną w Rzeszowie Filia w Mielcu było organizatorem Ogólnopolskiego i Polonijnego Turnieju Poetyckiego o „Srebrne Pióro”, którego współpatronem początkowo był senator, a potem marszałek Województwa Podkarpackiego Władysław Ortyl. W związku z tym bieżącym wydaniem nawiązujemy do najlepszych literackich tradycji „Nadwisłocza”

Dr Włodzimierz Gąsiewski
Redaktor Naczelny „Nadwisłocza”

kontakt@promocja.mielec.pl

Szanowni Państwo. W 2020 r. przypadała 100. rocznica Związku Literatów Polskich. Pośrednio w związku z tym narastała lokalna i regionalna twórczość literacka. Ukazywało się wiele nowych książek poezji i prozy. Odbywały się liczne spotkania promocyjne i autorskie, którym zwykle towarzyszyły koncerty artystyczne, wystawy malarstwa, fotografii itp.

Tak było do wiosny 2020 r., kiedy to pandemia koronawirusa i ograniczenia z tym związane miały ogromny wpływ także na realne życie literackie i artystyczne, które w miarę możliwości przeniosło się do Internetu. W związku z tym czasopismo „Nadwisłocze” powróciło do swojej sprawdzonej roli promocji literackiej i innych form twórczości artystycznej. Właśnie zwłaszcza ze względu na kolejne lock downy Literackie „Nadwisłocze” ukazywało się na bieżąco w Internecie, na stronie www.promocja.mielec.pl oraz na dedykowanej stronie Facebooka <https://www.facebook.com/nadwislocze/>. Były tam zamieszczane przesyłane przez autorów utwory poetyckie i prozy, recenzje, omówienia, eseje, relacje ze spotkań itp., ilustrowane grafikami, obrazami, fotografiami bądź innymi formami graficznymi.



Małgorzata Żurecka, *Z perspektywy wieku*

Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku został ZLP zawieszony, zaś w roku 1983 rozwiązany na mocy ówczesnego prawa o stowarzyszeniach i pod koniec tego roku założony ponownie jako ZLP. Od 1989 roku w wolnej III Rzeczypospolitej Polskiej Związek działa jako organizacja niezależna, zarówno w wymiarze ogólnopolskim jak też i regionalnym.

Spory wkład do tego dorobku wniósł Oddział w Rzeszowie. Rozpoczął on działalność 26 listopada 1967 roku. Skład pierwszego Zarządu przedstawiał się następująco: Jerzy Pleśniarowicz — prezes, Stanisław Orzeł — wiceprezes, Tadeusz Sokół — sekretarz, Roman Turek — skarbnik. Członkiem Oddziału był jeszcze Stanisław Stefan Gębala.

Klimat środowiska w początkach jego istnienia tworzyły liczne spotkania autorskie, biesiady literackie, konkursy, organizowane sesje literackie, poświęcone W. Machowi, S. Piętałkowi, J. Wiktorowi, J. Przybosiowi oraz pisarzom Kresów Wschodnich. Szczególną popularnością cieszyły się „Czwartki literackie”, organizowane wówczas przez Jerzego Pleśniarowicza w klubie „Turkus”. Spotkania te integrowały twórców i entuzjastów literatury z środowiska rzeszowskiego.

Obecnie Oddział Związku Literatów Polskich w Rzeszowie liczy 38. członków, reprezentujących regionalne środowiska literackie, skupione wokół Rzeszowa, Mielca, Stalowej Woli, Krośna, Przemyśla, Lubaczowa, Brzozowa. Wśród nich są: Adam Decowski, Celina Depa, Anatol Diaczyński, Włodzimierz Gąsiewski, Zdzisława Górska, Edward Guziakiewicz, Wiesław Hop, Ryszard

Jaśkowski, Włodzimierz Kłaczyński, Bogusław Kotula, Halina Kurek, Krzysztof Kwasiżur, Krzysztof Lechowicz, Agata Linek-Jaroszak, Mieczysław Arkadiusz Łyp, Mariusz Marczyk, Tadeusz Maśłyk, Barbara Mazurkiewicz, Zbigniew Michalski, Ryszard Mścisz, Mieczysław Mularski, Jerzy Stefan Nawrocki, Mirosław Osowski, Teresa Paryna, Marek Petrykowski, Edyta Pietrasz, Anita Róg-Bindacz, Dawida Ryll, Bogdan Stanogrodzki, Maria Stefanik, Jerzy Sułkowicz, Andrzej Talarek, Waclaw Turek, Lesław Jan Urbanek, Mirosław Welz, Izabela Zubko, Stefan Żarów i Małgorzata Żurecka. Wszyscy członkowie legitymują się znaczącym dorobkiem w zakresie różnorodnych gatunków literackich, który cechuje wysoki poziom artystyczny. Twórcy Oddziału zajmują się poezją, prozą, eseistyką, krytyką literacką, przekładami literatury pięknej, literaturą science fiction, działalnością wydawniczą. Są też wśród nich także osoby zajmujące się malarstwem, rzeźbą, fotografią artystyczną, piosenką literacką.

Twórczość literatów oddziału rzeszowskiego jest bardzo różnorodna - każdy z nich jest na swój sposób indywidualnością, osobą niepowtarzalną, w odmienny sposób wyrażającą siebie poprzez literaturę. Łączy wszystkich sięganie do korzeni i tradycji, do historii małych ojczyzn, w których są biograficznie osadzeni, problem tożsamości, który także ma swoje podkarpackie piętno. Ponadto dominuje w ich utworach refleksja nad przemijaniem, kruchością życia, twórczość członków Oddziału wpisuje się w odwieczne pytanie: kim jesteśmy i dokąd zmierzamy, jakie są najważniejsze wartości człowieka, zwłaszcza współ-

100 lat Związku Literatów Polskich 1920 – 2020

czesnych pokoleń. Wydaje się, że istotnym elementem, czynnikiem twórczym ich utworów jest także przyroda, wrażliwość na piękno stron, z którymi połączyło ich życie.

Od roku 2020, ze względu na stan izolacji z powodu panującej pandemii, zmieniła się forma działalności Oddziału. Spotkania autorskie zastąpiły filmowe relacje internetowe, często na żywo, a publikacje autorskie znalazły miejsce przede wszystkim na literackich portalach internetowych, na Facebooku, gdzie tworzą się grupy autorów i czytelników, dokonuje się popularyzacja dorobku twórczego. Nie oznacza to jednak, że nie są wydawane w tym czasie kolejne książki twórców, almanachy czy inne publikacje.

Wydane przez Włodzimierza Gąsiewskiego z okazji jubileuszu 100-lecia Związku Literatów Polskich „Literackie Nadwisłocze 2020” funkcjonuje w formie cyfrowej w Internecie, jednak dzięki wsparciu finansowemu instytucji samorządowych, zaistniała możliwość wydania wersji papierowej w określonym nakładzie. Ten szczególny numer „Literackiego Nadwisłocza 2020” jest ważnym świadectwem pracy twórczej członków rzeszowskiego Oddziału ZLP. Dzięki jego wydaniu zaistniała możliwość dotarcia do wielu czytelników, co z racji skromnej ilościowo w obecnych czasach prasy literackiej, jest bardzo istotne. Twórczość członków Oddziału, jako jego prezes, z całą mocą polecam. Zachęcam do poznania ich dokonań twórczych - choćby kierując się znaną zasadą: cudze chwalcie – swego nie znacie...

Małgorzata Żurecka - prezes

Historia Związku Literatów Polskich jest bardzo burzliwa i ma za sobą wiele zwrotów, będących najczęściej pochodną przemian politycznych. Za jego początki należy uznać założenie 14 maja 1920 roku Związku Zawodowego Literatów Polskich. Dokonało się to z inicjatywy Stefana Żeromskiego podczas Zjazdu Literatów Polskich w Warszawie. Do 1935 roku była to federacja niezależnych stowarzyszeń literackich - od roku 1928 nieformalnie kierowanych przez zarząd związku warszawskiego.

Po okresie okupacji reaktywowany został w roku 1944 na Walnym Zebraniu w Lublinie, choć praktycznie była to już nowa organizacja. Prezesem Tymczasowego Zarządu został Julian Przyboś. Obecną nazwę związku przyjęto w styczniu 1949 roku na IV Zjeździe Literatów Polskich w Szczecinie, kiedy na kilka lat nastąpił w literaturze polskiej okres socrealizmu. W obrębie ZLP nie brakowało różnych sprzeczności, tendencji rozłamowych - bardzo widoczne były one w latach 60. Na nadzwyczajnym zebraniu Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich w roku 1968 - po wystawieniu „Dziadów” Kazimierza Dejmka - przyjęto napisaną przez Andrzeja Kijowskiego rezolucję pisarzy polskich przeciwko cenzurze, potępiając politykę kulturalną PRL.

Spora część członków Związku Literatów Polskich wyznawała z czasem poglądy opozycyjne, nie brakowało wśród jej członków ideowych różnic i sporów. Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku został on zawieszony, zaś w roku 1983 rozwiązany na mocy międzywojennego prawa o stowarzyszeniach. Pod koniec tego roku jednak, z inicjatywy władz, część członków rozwiązanego Związku Literatów Polskich zarejestrowała nowy związek pod tą samą nazwą.

Po 1989 roku ZLP działa już na nowych zasadach - jako związek samorządny i samofinansujący się. Po reaktywacji odbudowano jego strukturę organizacyjną. Obecnie oddziały związkowe działają we wszystkich miastach wojewódzkich.. Zrzesza on ponad 1300 członków. Jego prezesami byli kolejno: Halina Auderska, Wojciech Żukrowski i Piotr Kuncewicz. Obecnie funkcję tę pełni Marek Wawrzekiewicz.

Mimo trudnych realiów finansowych i dość skromnych możliwości Związek Literatów Polskich prowadzi bogatą działalność wydawniczą, inicjuje wiele imprez o charakterze literackim, sesji naukowych i rozmaitych przedsięwzięć o wymiarze ogólnopolskim, regionalnym i lokalnym. Dorobek Związku Literatów Polskich tworzą także jego twórcy dzięki swoim indywidualnym dokonaniom.

Sporo wkład do tego dorobku wniósł Oddział w Rzeszowie, którego obecnym prezesem jest Małgorzata Żurecka. Rozpoczął on działalność 26 listopada 1967 roku, a jego pierwszym, historycznym prezesem był Jerzy Pleśniarowicz.

Ryszard Mścisz

Literaci z Mielca i nie tylko na III Świątecznych Targach Książki w Rzeszowie

W dniach 22-23 listopada 2019 r. w Centrum Kulturalno-Wystawienniczym Millennium Hall w Rzeszowie odbywały się III Świąteczne Targi Książki, na których oprócz wielu innych wystawców/wydawców stoisko miało także Związek Literatów Polskich O/Rzeszów. Podczas dwóch dni targów swoje książki zaprezentowało i z powodzeniem sprzedawało kilkudziesięciu literatów podkarpackich. Z Mielca byli to: Włodzimierz Gąsiewski z małżonką Krystyną Gargas-Gąsiewską m.in. z ich wspólną debiutancką książką „Bieszczadzkie szlaki ikon Droga do Łopienki” oraz Zbigniew Michalski, Andrzej Talarek i Stefan Żarów. Byli także inni literaci. m.in.: Edward Bolec, Celina Depa, Anatol Diaczyński, Agata Linek, Mieczysław Arkadiusz Łyp, Ryszard Mścisz i inni. Duszą literackiego stoiska była Małgorzata Żurecka – wiceprezes Zarządu Oddziału, która przez dwa dni nie tylko organizacyjnie czuwała nad prezentacją książek, ale jeszcze zachęcała zwiedzających do przeglądania wystawionych publikacji i ich zakupu.

Oczywiście na targach było wiele innych wydawnictw oraz ciekawych spotkań autorskich. Rzeszowskie targi należy zaliczyć do bardzo pożytecznych i udanych imprez kulturalnych. ZLP wzięła w nich udział pierwszy raz i to z dużym powodzeniem. Warto więc kontynuować takie przedsięwzięcia, a być może organizować je także w innych miastach Podkarpacia.

Włodzimierz Gąsiewski

Galeria zdjęć: <http://promocja.mielec.pl/literaci-z-mielca-i-nie-tylko-na-iii-swiatecznych-targach-ksiazki-w-rzeszowie/>



oraz na otwarciu nowoczesnej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Mielcu

Wizja „szklanych domów” z „Przedwiośnia” spełniła się w Mielcu

Domy ze szkła [stali i betonu], łączące w sobie elementy nauki i sztuki w „nowej cywilizacji” w wyzwolonej ojczyźnie, to wizja Cezarego Baryki z powieści „Przedwiośnie” Stefana Żeromskiego, która powstała w 1925 r. W dniu 25 października 2019 r., blisko 100 lat od jej ukazania się, po otwarciu nowoczesnego gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Mielcu, można śmiało powiedzieć, że marzenia bohatera przedwiośnia spełniły się w futurystycznym obiekcie mieleckiej księżnicy. Przestronne halle, sale biblioteczne, audiowizualne i wiele innych pomieszczeń świadczą o rozmachu projektanta i pomysłodawców budowy nowego budynku biblioteki, m.in. w osobie śp. prezydenta Mielca Daniela Kozdęby, który w swojej decyzji wybiegł daleko w przyszłość architektoniczną i kulturalną.

Otwarcia nowej biblioteki dokonał obecny prezydent Jacek Wiśniewski oraz przedstawiciel Marszałka Województwa Podkarpackiego, którego Urząd Marszałkowski wsparł finansowo inwestycję. Przecięciu wstęgi towarzyszyła posłanka Krystyna Skowrońska i wiele innych osób, przedstawiciele samorządu miasta i powiatu, szkół, placówek kulturalnych i innych instytucji. Oddaniu do użytku biblioteki towarzyszyły koncerty, spotkania autorskie i wystawy.

Na otwarciu gmachu biblioteki byli obecni literaci uwiecznieni na zdjęciu obok w osobach, od lewej: Edward Guziakiewicz, Andrzej Talarek, Zbigniew Michalski, Włodzimierz Gąsiewski oraz Stefan Żarów. Ich książki poetyckie, prozy i historii są w księgozbiorze bibliotecznym. W nowym budynku równoległe może odbywać się kilka imprez i już w dniu otwarcia odbyło się spotkanie z felietonistą Michałem Ogórkim, a w następnych tygodniach w specjalnej sali audio-wizualno-widowskiej miały miejsce indywidualne i grupowe spotkania z literaturą. Na parterze w specjalnej przeszklonej galerii zagościły wystawy sztuki, tak że nawet mimo obostrzeń pandemii 2020 r. można było oglądać je wprost z ulicy. Funkcjonowała też wypożyczalnia książek. Należy tylko mieć nadzieję, że tak będzie w następnych post pandemicznych miesiącach, biblioteka będzie znów tętnić życiem i zapraszać różne osoby od dzieci po seniorów atrakcyjną ofertą czytelniczo-kulturalną.

Inf. i fot. Włodzimierz Gąsiewski

<https://www.facebook.com/nadwislocze/>



Jubileusz RSTK – wyjątkowe 40-lecie w 2020 roku

W dniu 15 października 2020 r. w Wojewódzkim Domu Kultury w Rzeszowie miała miejsce uroczystość obchodów 40-lecia powstania Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie. Z uwagi na szczególne okoliczności – gwałtownie rozszerzającą się epidemię, uroczystość została skrócona do niezbędnego minimum, przy znacznie ograniczonej liczbie gości, zachowaniu zasad bezpieczeństwa i właściwie bez części artystycznej, podczas której miała śpiewać utalentowana solistka – Julia Nowak, wychowanka Anny Czenczek.

Obecni na uroczystości mieli możliwość obejrzenia wystawy kilkunastu obrazów z „Narodowej Galerii Niepodległości Polski 100”, której pomysłodawcą jest prezes RSTK – Stanisław Dworak. Obrazy przedstawiają portrety osób, które przyczyniły się do odzyskania niepodległości naszej Ojczyzny. Autorami obrazów są m. in. malarze zrzeszeni w RSTK. Były tam: „Maria Konopnicka” – Wioletta Cieleckiej, „Julian Ursyn Niemcewicz” i „Juliusz Kossak” – Jadwigi Buczak, „Henryk Rodakowski” – Grażyna Sordyl, „Antoni Petrykiewicz” – Emilii Wołoszyn, „Ks. Ignacy Skorupka” – Mieczysława Kołodzieja i inne.

Zaprezentowano również wystawę książek literatów Stowarzyszenia. Wśród nich znajdowały się dwa almanachy: „Antologia Sekcji Literackiej RSTK w Rzeszowie” (2017) oraz „Antologia na 40-lecie RSTK w Rzeszowie” (2020), jak również album „Zaproszenie do Rzeszowa” promujący miasto wierszami Barbary Śnieżek i obrazami Wioletty Cieleckiej.

Uroczystość poprowadziły Jadwiga Buczak i Ewelina Łopuszańska, witając imiennie najważniejszych gości. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: Robert Godek - dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego, Małgorzata Żurecka – prezes ZLP oddział Rzeszów, Damian Dług – dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury, dr hab. Paweł Soroka – przewodniczący Rady Krajowej RSTK, który przyjechał z Warszawy oraz prezes rzeszowskiego RSTK – Stanisław Dworak. Oprócz wyżej wymienionych osób, uroczystość zaszczyli swoją obecnością: Marek Jastrzębski – długoletni dyrektor WDK, Józef Tadla – kierownik ODK „Karton” RSM, Stanisław Rusznica – przedstawiciel TPR i zespołu redakcyjnego „Echo Rzeszowa”, Maria Kornaga – dziennikarka Polskiego Radia Rzeszów oraz Antonina Migała – była prezes RSTK.

Odczytano listy gratulacyjne od: Tadeusza Ferencza - Prezydenta Miasta Rzeszowa oraz od przedstawicieli z Centrum Kulturalnego w Przemyślu, Robotniczego Stowarzyszenia Twórców



40 lat RSTK Rozpoczęcie uroczystości.



RSTK 40 LAT Paweł Soroka przewodniczący Zarządu Rady Krajowej RSTK.

Kultury w Przemyślu, Mieleckiego Towarzystwa Literackiego, Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej, Osiedlowego Domu Kultury „Karton”.

Podczas jubileuszu nastąpiło wręczenie honorowych odznak „Zasłużony dla Kultury Polskiej” od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, przez przewodniczącą Rady Krajowej RSTK dr hab. Pawła Sorokę. Odznaczenia otrzymali: Stanisław Dworak – poeta, prezes RSTK, Katarzyna Błaszczuk – poetka, kier. Sekcji Edukacyjno-Pedagogicznej, Ewelina Łopuszańska – poetka, skarbniczka RSTK, Teresa Glazar – poetka, Anna Kocór – poetka, Agnieszka Niemiec – poetka, animatorka kultury, Józef Pałac – rzeźbiarz, Grażyna Sordyl – poetka i malarka, Barbara Śnieżek – poetka, kier. Sekcji Literackiej. Natomiast Stefan Michał Żarów – były wieloletni wiceprezes RSTK i obecny wiceprezes Mieleckiego Towarzystwa Literackiego, został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi w działalności na rzecz rozwoju i upowszechniania kultury przez



Gosia Szeplak przy książkach.



B. Śnieżek przedstawia działalność RSTK z pokazem zdjęć.

Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – Andrzeja Dudę, a Jerzy Stefan Nawrocki – wieloletni członek i aktywny działacz RSTK, były kierownik Sekcji Literackiej, został uhonorowany Dyplomem Rady Krajowej Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury za szczególne osiągnięcia w dziedzinie twórczości i upowszechnianiu kultury.

Oprócz tego wszyscy członkowie Stowarzyszenia otrzymali pamiątkowe dyplomy.

Barbara Śnieżek obszernie przedstawiła historię, zasługi i działalność



Odnaczeni Zasłużony dla Kultury Polskiej i wyróżnieni.

Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie, popartą licznymi zdjęciami prezentowanymi na ekranie, podczas odczytu.

Prezentacją wiersza „Epitafium dla Józefa Kawalka” autorstwa i w wykonaniu Katarzyny Błaszczuk oraz minutą ciszy, uczczono członków Stowarzyszenia, którzy już odeszli.

Następnie Barbara Śnieżek przedstawiła zredagowany przez nią almanach „Antologia na 40-lecie RSTK w Rzeszowie”, w którym we wstępie, wraz ze Stefanem M. Żarowem opisała działalność całego Stowarzyszenia, przedstawiła utwory niektórych literatów, z ich biogramami oraz galerię zdjęć z różnych akcji członków RSTK.

Pod koniec zaprezentowano kilka okolicznościowych wierszy Marii Rudnickej, Teresy Glazar i Katarzyny Błaszczuk, natomiast Barbara Śnieżek po zaprezentowaniu swojego wiersza „Akwarelowa czarodziejka” o Wioletcie Cieleckiej z wyświetleniem kilku jej obrazów, zaapelowała o pomoc dla syna Wioletty, Jakuba, który jest obecnie na rehabilitacji po tragicznym wypadku lotniczym.

Na podsumowanie jubileuszu, prowadzące uroczystość: Jadwiga Buczak i Ewelina Łopuszańska podziękowały gościom za przybycie, podkreślając wagę tej obecności podczas tak wymagających czasów dla współczesnej kultury polskiej.

Małgorzata Szeplak



Katarzyna Błaszczuk czyta wiersz o J. Kawalku

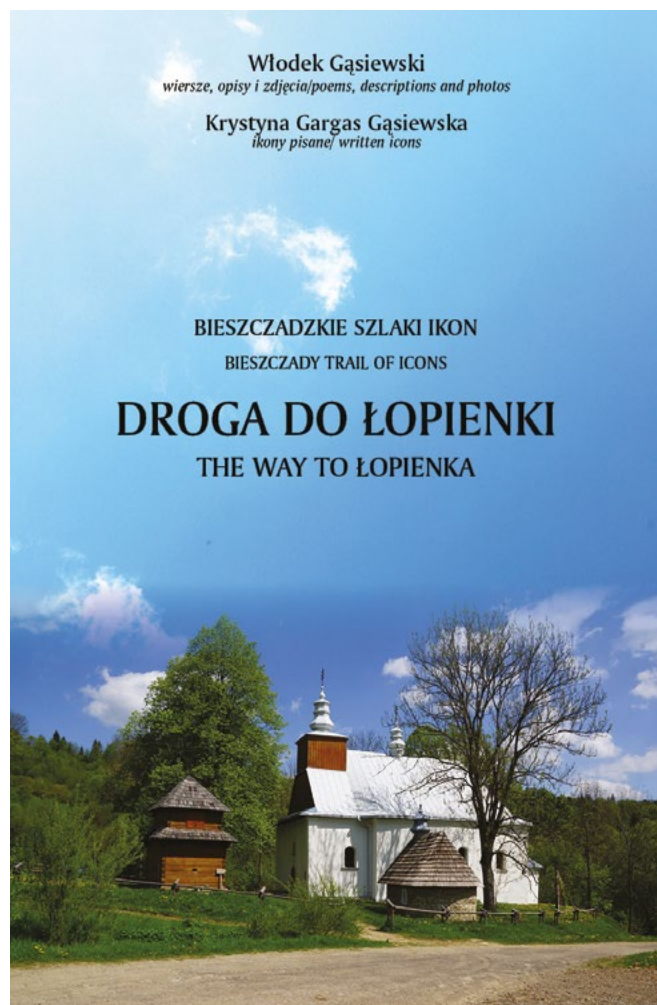


Sala widowiskowa WDK



Wystawa obrazów.

Włodek Gąsiewski i Krystyna Gargas Gąsiewska
BIESZCZADZKIE SZLAKI IKON
DROGA DO ŁOPIENKI
 Przewodnik poetycko-artystyczny



W listopadzie 2019 r. ukazała się kolejna publikacja Agencji Wydawniczej „Promocja” w Mielcu, autorstwa Włodka Gąsiewskiego (wiersze, opisy i zdjęcia/poems, descriptions and photos) oraz Krystyny Gargas-Gąsiewskiej (ikony pisane/ written icons), pt. „BIESZCZADZKIE SZLAKI IKON BIESZCZADZY /TRAIL OF ICONS/ DROGA DO ŁOPIENKI /THE WAY TO ŁOPIENKA/”, tłumaczonej na język angielski przez Olę Markowską.

Jest to przewodnik poetycko-artystyczny, który jest plonem wspólnej bieszczadzkiej wyprawy do Łopienki i Cisnej w 2015 r. oraz kilku lat ikonopisania małżeństwa: Krystyny Gargas-Gąsiewskiej – ikonopisarki i Włodka Gąsiewskiego – autora wierszy i opisów. W wydanym tomiku jest więc poetycki opis drogi do cerkwi w nieistniejącej już bieszczadzkiej wsi Łopienka, na trasie do której jest m.in. kapliczka „Szczęśliwego powrotu”, retorty do wypalania węgla drzewnego znane z „Siekierzady” Edwarda Stachury, a w samej cerkwi ikona Matki Boskiej Dobrej Miłości oraz monumentalny rzeźbiony w drewnie Chrystus Bieszczadzki. Potem jest już tylko Cisna ze znanym barem bieszczadzkich zakapiorów zwanym „Siekierzadą” oraz pracownia ikon Jadwigi Denisiuk znanej ikonopisarki, która napisała kopię ikony do cerkwi w Łopience. Do tego dochodzą jeszcze malownicze zdjęcia bieszczadzkie oraz ikon napisanych przez współautorkę publikacji. Na zakończenie jest opis i zdjęcia bardzo mało znanej ikony Matki Boskiej Niewiednący Kwiat, m.in. na podstawie przedwojennego Akatystu/Hymnu wydanego przez cerkiew z Warszawy w 1926 r.

Wydawnictwo sygnowane Łopienka, Cisna 2015 – Mielec 2019 ma format 15×23 cm i zawiera 44 strony, w tym 22 kolorowe. Druk wsparli finansowo: Zakład Metalowy Teresa i Stefan Drozdowski Pławo/Borowa k. Mielca oraz Hotel Atena, a estetycznego druku dokonał Zakład Poligraficzny Z. Gajek w Mielcu, za co autorzy serdecznie dziękują. Należy także dodać, że realnym przewodnikiem po bieszczadzkich szlakach ikon i nie tylko, w tym do Łopienki i Cisnej był Leon Chrapko, znany bieszczadzki malarz i poeta, za co mu również serdecznie dziękujemy.

Publikacja miała swój debiut na stoisku Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie podczas Świątecznych Targów Książki w Rzeszowie, które odbywały się w dniach 22-23 listopada 2019 r. w Centrum Kulturalno -Wystawowym Millennium Hall w Rzeszowie.

Spis treści:

- Z Soliny do Łopienki i Cisnej/From the Solina to the Łopienka and Cisna (5)
Kibakowa droga Szczęśliwego Powrotu/ Kibakowa's way of Safe Return (7)
Drogą drwali i smolarzy/ The way of woodcutters and tar makers (9)
Szlakiem siekierozady/ The trail of Siekierzada (11)
Pomiędzy łopianami/ Between the burdocks (14)
Droga bardów, pisarzy i malarzy/ The way of bards, writers and painters (16)
W odgłosach walk i wysiedlenia/In the sounds of fighting and displacement (18, 20)
Bezdrożami szabrowników i bezbożników/ Wasteland of looters and wicked (22, 23)
Matka Boska Łopieńska pisana przez Jadwigę Denisiuk/ Mother of God from Łopienka written by Jadwiga Denisiuk (24)
Od zakapiorów do restauratorów/ From bums to restaurateurs (25)
Łopieńska Droga Krzyżowa/ Stations of the Cross of Łopieńska (27)
Nowe zwiastowanie / New Annunciation (29)
Moja Droga Ikony / My Icon Way – Krystyna Gargas-Gąsiewska (30, 31)
Ikony pisane temperą jajową na desce przez / Icons written with egg tempera on wooden board by Krystynę Gargas-Gąsiewską (32, 33, 35, 37, 39, 41)
Ręką ludzką i duszą pisanie / Writing with the human hand and soul (34, 36)
Akatyst Łopieński / Łopienka Acathist (38)
Ikona Matka Boża „Niewiędzący Kwiat” Ikona Bożiej Matieri „Nieuwiadajemyj Swiet”/Икона Божьей Матери „Неувядаемый цвер” / Mother of God icon „The Unfading Flower” (42-43)
Krystyna Gargas-Gąsiewska, Włodek Gąsiewski – biogramy artystyczne / artistic biographies (44)
Zdjęcia / pictures (4, 6, 8, 10, 12, 13, 15, 17, 19, 21, 26, 28)

Książkę można nabyć w antykwariacie – galerii – pracowni ikon: 39-300 Mielec, ul. Jana III Sobieskiego 1/1, tel. 17 7411527, 602 776197. Można ją także zamówić telefonicznie z przedpłatą na konto lub za pobraniem lub przez allegro w opcji kup teraz: <https://allegro.pl/oferta/bieszczadzkie-szlaki-ikon-droga-do-lopienki-10019483196>

Teresa Paryna

Szlakiem bieszczadzkich wędrowek DROGA DO ŁOPIENKI

O Bieszczadach napisano już wiele na różne sposoby ukazując niezwykle walory tego miejsca - bogactwo przyrody, historię, kulturę, jak również dramat wojny i zamieszkującej tu ludności. Od wielu lat artyści – malarze, rzeźbiarze, literaci chętnie czerpią z tego źródła natchnień. Wielu też porzuciło hałaśliwe aglomeracje miejskie i przeniiosło się na stałe w ten piękny rejon Polski, gdzie wciąż jeszcze nie skażone powietrze, czyste strumienie, dziewicze lasy, cisza, spokój sprzyjają pracy twórczej. O ile takie miejscowości jak Solina, Cisna, Polańczyk, Ustrzyki są ogólnie znane, to już zdecydowanie mniej wieś Łopienka, z której wysiedlono mieszkańców i dzisiaj jedynie cerkiew świadczy, że kiedyś toczyło się tu zwyczajne wiejskie życie. Nazwa pochodzi od łopianów obficie porastających te tereny, dziś niestety już coraz rzadziej spotykane w wiejskim pejzażu. Właśnie do wędrowki DROGĄ DO ŁOPIENKI zapraszają nas autorzy książki – przewodnika, małżonkowie: Krystyna Gargas - Gąsiewska i Włodek Gąsiewski. Jest to niezwykle interesujący i trafny dwugłos literacko – ikonopisar-ski bowiem Bieszczady, to ziemia cerkiewna. Wydanie książki jest dwujęzyczne - w języku polskim i angielskim, zawierające wiersze, opisy i zdjęcia autorstwa Włodka Gąsiewskiego oraz ikony pisane przez Krystynę Gargas – Gąsiewską. Ikonopisarstwo, to trudna i wymagająca sztuka, łącząca umiejętności malarskie z duchowością twórcy, gdzie ręce natchnione wiarą piszą w modlitewnym skupieniu pragnienia, prośby i nadzieje, oddając cześć i chwałę Bogu. Książka obok bogatej galerii ikon pisanych przez Krystynę Gargas – Gąsiewską przedstawia szereg poetyckich obrazów pióra Włodka Gąsiewskiego. Całość tworzy liryczną panoramę miejsc, wydarzeń i legend tego urokliwego regionu.

Główną przewodniczką na drodze do Łopienki jest otoczona czcią ikona Matki Bożej z Dzieciątkiem, której przybycie do tu-tejszej cerkwi datuje się na 1756 r. Możemy poznać zawile losy tej otoczonej wielkim kultem bieszczadzkiej ikony oraz ludzi, staraniem których ocalała zarówno ikona jak i cerkiew. W proponowanej przez Włodka Gąsiewskiego poetyckiej wędrowce serpentynami Bieszczadów, pojawiają się coraz to nowe obrazy i zdarzenia, rozbrzmiewają echa przeszłości. Mowa gór, odgłosy przyrody mieszają się z cerkiewnym biciem dzwonów, ze stukotem toporów drwali, z ich przekleństwami, ze śpiewem i gitarą bieszczadzkich bardów, wędrujących turystów i codziennym

twardym życiem mieszkańców. Powoli odchodzą w zapomnienie resztki dawnych zabudowań, głuche studnie opustoszałych wsi. Mimo upływu lat wciąż jeszcze gdzieś w lasach są widoczne zarośnięte w pniach drzew kule i odłamki - ślady toczonych tu walk. Mijamy charakterystyczne dla bieszczadzkiego pejzażu pocięte kłody drzew ułożone w sągi, gotowe do wypalenia na węgiel drzewny, zużyte traktory, przerdziała beczki wypełnione smolistą mazią lub ropą, która tu i ówdzie się sączy. To wszystko posłużyło Poecie do stworzenia aktualnego obrazu Bieszczad. Każdy z pomieszczonych tu wierszy, to inna droga i odrębna historia, a wszystkie tworzą uzupełniającą się i przemyślaną całość. Ta piękna liryczna opowieść ukazująca niepowtarzalny czar Bieszczadów jest pełna zadumy nad odchodzącym już światem, bo przecież także i tu brutalnie się wdziera nowoczesność nie zawsze dobra, przyjazna i piękna. Coraz mniej tu dzikich ostępów, gdzie nie dotarłby człowiek. Zadziwia wnikliwość obserwacji jak i trafność oceny historycznych wydarzeń i zjawisk. Poeta nie skupia się jedynie na opisach przyrody, a poetyckim słowem tworzy je niezwykle plastycznie i pięknie. Sięga głębiej, do dramaturgii wojny, pogmatwanych i tragicznych losów Łemków, Romów i innych mieszkańców tej ziemi, odnosi się również do eschatologicznych znaczeń. Trudno tu nie wspomnieć o panu Leonie Chrapko – poecie, malarzu i Bieszczadniku oraz Jadwidze Denisiuk, którzy mocno tu zakorzenieni służyli autorom swoją pomocą i radą w poszukiwaniu najciekawszych miejsc na bieszczadzskich szlakach. Warto sięgnąć po tę wyjątkową pozycję, która poezją słowa i obrazu wprowadza nas w piękne bieszczadzkie klimaty.

Przemyśl, listopad 2020 r. **Teresa Paryna**

Droga bardów, pisarzy i malarzy

Prowadzi nas pan Leon Chrapko z nazwiska
Z chrapliwym głosem Nie ze swojej winy
Który wielką siłą trwania i tworzenia żyje
Jak legenda tych stron malarz i poeta Bieszczadnik
Podróżnik polonin i kto tam jeszcze
Wydawałoby się
Że z powodu problemów z głosem
Będzie mu trudno
Przekazać co by chciał i co wie o tych stronach
Ale wystarczyło się tylko wsłuchać
Aby doskonale rozumieć jego każde słowo
Które tak jak szum wiatru
Szmer strumienia, szelest liści
Kwilenia ptaków, krzyk zwierząt
Potrafią opowiedzieć wszystko

Pan Leon zna tu każde wzgórze
Każdy kamień i drzewo i cerkwie i budowle
I opowiada jak kiedyś to wszystko było wypełnione
Także głosem miejscowych ludzi
Prostych, szorstkich
Ale mocnych mieszkańców gór
Którzy nie z własnej woli opuścili rodzinne strony
Chociaż nie wszyscy

Pan Leon został, bo ktoś musiał
Żeby opowiadać potem słowem i obrazem...
Ale za nim przyszli inni
Z wielkich miast i miasteczek z nizin i gór
Znad jezior i dalekiego morza
I tak przez lata wypełnili puste drogi
Zasiedlili stare i zbudowali nowe chaty
Zagościli w karczmach i nowoczesnych hotelach
Można ich spotkać wszędzie
Posłuchać, popatrzeć i poczytać
Jak sławią tę ziemię bieszczadzką
Że stała się słowna i odwiedzana
Nie tylko dla piękna gór
Ciszy i spokoju lecz także dla jej nastroju

The way of bards, writers and painters

Mr. Leon Chrapko by name is leading us
With a hoarse voice Not his fault
Who lives with a great power of continuance
And creation
Like the legend of these parts painter
And poet Bieszczadnik
Polonintraveler and who else there
It would seem
That because of voice problems
It will be difficult for him
Tell what he would like
And what he knows about these parts
But all you had to do was to listen
To perfectly understand his every word
Which just like the sound of the wind
Stream murmur, rustle of leaves
Wailing birds, scream of animals
They can tell everything

Mr. Leon knows every hill here
Every stone and tree, Orthodox churches and buildings
And he tells how once it was all filled
Also with the voice of local people
Simple, rough
But strong people of the mountains
Who did not leave their homeland of their own free will
Although not everyone

Mr. Leon stayed because someone had to
To tell later in words and paintings...
But others followed him
From large cities and towns of lowlands and mountains
From the lakes and the distant sea
And so they filled empty roads for years
They settled in old cottages and built new cottages
They came to taverns and modern hotels
You can find them everywhere
Listen, look and read
How they praise this Bieszczady land
Which became famous and visited
Not only for the beauty of the mountains
Their peace and quiet but also for the mood

**Józef Witek o „Drodze do Łopienki...” Włodka Gąsiewskiego i Krystyny Gargas-Gąsiewskiej
Włodek Gąsiewski, Krystyna Gargas Gąsiewska – Bieszczadzkie szlaki ikon – droga do Łopienki**



*Włodek Gąsiewski i Leon Chrapko przed cerkwią w Łopienka
in front of Orthodox church in Łopianka*



*Krystyna Gargas Gąsiewska i Włodek Gąsiewski
przed cerkwią w Łopienka in front of Orthodox church in Łopianka*

Nowości, recenzje i omówienia

Józef Witek o „Drodze do Łopienki...” Włodka Gąsiewskiego i Krystyny Gargas-Gąsiewskiej

Do czytania niewielkiej książki autorstwa Włodka Gąsiewskiego i Krystyny Gargas Gąsiewskiej przystąpiłem z pewną dozą emocji. Co było przyczyną takiego nastawienia psychicznego? Otóż w 1964 r. byłem uczestnikiem obozu wędrownego po bieszczadzkich szlakach, zorganizowanego przez Liceum Pedagogiczne w Mielcu. Przemierzając ten piękny, ale dzięki i tajemniczy zakątek Polski, z narastającym smutkiem mijaliśmy porośniętą wysoką trawą i krzewami resztki spalonych lub zdewastowanych zagród, tu i ówdzie niewielkie przydomowe sady ze zdziczałymi drzewami, a bywało, że i kompletnie zniszczone urządzenia, trudno określić, do czego służące.

Co jakiś czas napotykaliliśmy mocno zniszczone cerkiewki i resztki cmentarzy. Przykre i nie dające się zapomnieć widoki. Napotykanymi nielicznymi mieszkańcami zbywali nas stwierdzeniem: „tu byli wszyscy przeciwko wszystkim, ale po co wam to wiedzieć” lub nie chcieli odpowiadać na pytania: co tu się działo? Pamiętam, że zorganizowaliśmy ognisko z programem artystycznym dla mieszkańców wsi Solina na rzecz kąpieliska Solinka. (Niedługo potem wysiedlono mieszkańców i po powstaniu zapory wsi Solina znalazła się na dnie Jeziora Solińskiego.) Po zakończeniu imprezy jeden z mężczyzn opowiadał, że w pierwszych latach po II wojnie światowej tereny bieszczadzkie były miejscem krwawych porachunków, wza-

Nowości, recenzje i omówienia

jemnych oskarżeń, żądań rewizji granic itp. Słuchaliśmy tego z pewnym niepokojem, bo mówił też, że jeszcze do dziś (tj. w 1964 r.) krążą po lasach grupy nieznanymi ludźmi, czasem przychodzących do mieszkańców po jedzenie i zostawiających listy z pogrózkami.

Teraz, po kilkudziesięciu latach, wspomnienia tamtych czasów odżyły we mnie po lekturze książki „Droga do Łopienki”. Autorzy z godną podziwu dbałością o szczegóły, w niezwykłym – poetyckim stylu opisują swoje spotkanie ze współczesnymi Bieszczadami, ale też poprzez sugestywny opis resztek dawnych wsi przywołują wydarzenia z lat 40. XX w. Autorzy snują przejmujące refleksje związane z historią odwiedzaną przez nich miejsc (niektóre z nich powtarzając – zapewne dla podkreślenia własnych emocji), ale każda strona przemawia do czytelnika. Ich fascynacją tym jedynym w swoim rodzaju zakątkiem naszego kraju. Podziw budzi także część publikacji dotycząca pisania ikon przez wybitną artystkę Jadwigę Denisiuk w Cisnej. Nie dziwi mnie to, bo przecież Współautorka książki Krystyna Gargas Gąsiewska jest naszą mielecką „Denisiuk”, a pisane przez nią ikony są podziwiane nie tylko przez mielczan. Spotkanie obu pań w Pracowni Ikon w Cisnej zostało przepięknie opisane przez męża – poetę. Atutem książki są też zdjęcia, zwłaszcza ikon. Po zamknięciu książki z pełnym przekonaniem można ją polecić do czytania i przeglądania. Nie raz, nie dwa – wielokrotnie. Dopiero wtedy możemy w pełni docenić jej wartość i talent Autorów.

Józef Witek

*Józef Witek o „Drodze do Łopienki...” Włodka Gąsiewskiego i Krystyny Gargas-Gąsiewskiej
Włodek Gąsiewski, Krystyna Gargas Gąsiewska – Bieszczadzkie szlaki ikon – droga do Łopienki*

W odgłosach walk i wysiedlenia

Tymczasem kamienna droga do Łopienki
Z miejscowego tłucznia i gliny
Wpisująca się zupełnie naturalnie
W zieleń łąk i przydrożne chaszczki
I w łopiany na poboczach
Które z parasolami wielkich liści
Kłaniają się od podmuchu wiatru
Niczym czapkująca biedota
Gdyby przejeżdżał
Jakiś miejscowy pan
Pielgrzymujący na odpust
Do Bieszczadzkiej Pani do łopieńskiej cerkwi

Teraz najczęściej wita nas już tylko
Szum wiatrów i szmer strumienia
Czasem droga prosta lub
Z łukami zakrętów
Z dziurami i wybojami
Jak zdrapywanymi wciąż ranami
Pozwala wprawdzie iść lub jechać
Ale raczej wolno
Bez pośpiechu
Żeby zobaczyć resztki starych domów
I gospodarskich zabudowań
Wypędzonych i opuszczonych wsi
I studni głuchych i ślepych
Do wpół zasypianych
Do których nawet nie można wskoczyć
I utopić się z rozpaczy

Wiatr i szmer opowiadają historie
Dawnych mieszkańców
O ich codziennym ciężkim
I twardym życiu w górach
O ich codziennych sprawach
Przyjaźniach i miłościach
Które dawały następne pokolenia

In the sounds of fighting and displacement

Meanwhile, a stone road to Łopienka
From local crushed stone and clay
Fit in completely naturally
In the green of meadows and roadside thicket
And in burdock on the side of the road
Which with big leaf umbrellas
They bow from a gust of wind
Like a the poor doffing their hats
As if some local lord was passing by
Some local gentleman
Pilgrimaging for indulgence
To the Bieszczady's Lady
To the Orthodox church in Łopień

Now most often only we are greeted
By wind noise and stream murmur
Sometimes a straight road or
With bows of road bends
With holes and potholes
Like still scratched wounds
Helps me to go or drive
But rather slowly, no rush
To see the remains of old houses
And farm buildings
Expelled and abandoned villages
And deaf and blind wells
Half covered
To which you can't even jump into
And drown with despair

Wind and murmur tell stories
Former residents
About their everyday hard
And tough life in the mountains
About their everyday cases
Friendships and loves
Which next generations have given

Akatyst łopieński

Matka Boska Bieszczadzka
Wciąż Pięknej Miłości
W cerkiewce z Łopienki
Dziś w surowych murach
W cudownym obrazie i pięknej ikonie
Miej wzgląd na pątników i zwykłych turystów
Wędrowców po wzgórzach idących dla zdrowia
A także dla ducha, w spiekocie słonecznej
W deszczu albo śniegu
Albo górskim i siołkącym wietrze

Daj nadzieję wszystkim, nawet gdy nie proszą
Wyproś dla nich zdrowie, nawet kiedy nie chcą
Uspokój ich myśli, nawet jeśli wolą gdy są rozbiegane
Biednym przydad więcej, choć wolą być skromni
Bogatym daj radość innych obdarzania
Choć zawsze stronili od dawania innym
Sprawiedliwych nagród, choć nie chcą nagrody
A grzesznym i skazanym, pozwól być niewinnym
Samotnym ulatw znaleźć przyjaciela
A wrogów, choć nie chcą, doprowadź do zgody
Wątpiących umocnij, choć wolą zwątpienia
Błądzących poprowadź, choć chcą zagubienia

Jezu Chryste Bieszczadzki
W starej cerkwi w Łopienki w pniu drzewa rzeźbiony
Patrzący na Matkę w ikonie na ścianie
Zgarbiony od krzyża, ze śladami bicia i diemi korony
Z drewnianym różańcem i laską wędrowcy
Wszystkim kluczącym ich drogi wyprostuj
Wierzącym dodaj wiary, nawet tylko w siebie
Zbyt pewnym przypomnij o *memento mori*
Sierotom znajdź ojca oraz czułą matkę
I nawet gdy nie chcą bądź z wszystkimi zawsze.

Włodek Gąsiewski
Łopienka, Cisna – Mielec 2015-2019

łopienka Acatist

Bieszczady Mother of God
Still Beautiful Love
In the church in Łopienka
Today in the rough walls
In a wonderful image and a beautiful icon
Take care of pilgrims and ordinary tourists
Wanderers on hills going for health
And also for the spirit, in the sun
In the rain or snow
Or mountain and chopping wind

Give hope to everyone, even when they don't ask
Ask for health for them,
even when they don't want to
Calm their thoughts,
even if they prefer when they are scattered
Help the poor, even if they prefer to be modest
Give the rich the joy of giving away
Although they have always avoided this
The righteous reward, though they do not want a prize
And sinners and the sentenced, let be innocent
Make it easy to find a friend who is lonely
And make enemies to work things out,
though they don't want to
Strengthen the doubts, though they prefer to doubt
Lead the erring, though they want to be lost

Jesus Christ of Bieszczady
Carved in the trunk of an old church in Łopienka
Looking at Mother in the icon on the wall
Hunched from the cross, with traces of a whip
and a crown of thorns
With a wooden rosary and a walking stick
Straighten up all those who wander their way
Add faith to believers, even only in themselves
Too sure, remind of the memento mori
Find orphans father and tender mother
And even when they don't want to be with them forever.

Włodek Gąsiewski
Łopienka, Cisna - Mielec 2015-2019



Matka Boska Łopieńska / Mother of God from Łopienka
Ikonę pisała Krystyna Gargas-Gąsiewska

Mirosław Osowski, *Notatnik liryczny* – omówienie

Metaformozy

Są osoby, którzy swoją przygodę literacką zaczynają od pisania wierszy, ale z czasem świadomie wybierają twórczość prozatorską, czując się w niej o wiele lepiej niż w poezji. Do nich zapewne należy także Mirosław Osowski, autor powieści i opowiadań. Wydany niedawno tomik poetycki co prawda nie jest jedynym w jego dorobku twórczym. Z zamieszczonego z tyłu na okładce niedawno wydanego „notatnika lirycznego” możemy się dowiedzieć, że ma za sobą także 2 inne tomiki zatytułowane „Jesień” i oznaczone liczbą 1 i 2, wydane rok po roku w latach 2008-9. Oba tomiki obrazują „stan duszy” w jesieni życia, gdy człowiek powoli zbliża się do swego kresu i nie ma już złudzeń, jaka czeka go przyszłość. Dzieli się więc swoimi refleksjami nad życiem z innymi. Dlatego „notatnik liryczny” jest w jakimś sensie nawiązaniem i kontynuacją „Jesieni”, nazywanej niekiedy „późną jesienią”.

Osowski ma coraz większą świadomość, że jego życie powoli dobiega kresu i że „trzeba be wszystkim się rozstać”, i ze wszystkim rozliczyć, zarówno z ludźmi, jak i ulubionymi przedmiotami czy miejscami, a nawet z tym, co się nagromadziło za życia. Podchodzi do tego „wyroku historii” całkiem spokojnie. Już nie wadzi się z Bogiem jak dawniej, gdy był „poszukiwaczem prawdy”, kontestatorem, „rewolucjonistą”, chcącym naprawić świat bez Boga. Obecnie nadszedł czas rozliczenia, refleksji nad przeszłością. Dawną postawę prometejską, buntowniczą, zastępuje postawa franciszkańska, pokory i pogodzenia się ze światem. Autor „notatnika lirycznego” zapewnia, że ze swego życiorysu nie wymaże niczego, nie upiększy i nie wyprze swoich błędów. Byłoby to nieuczciwe. Na usprawiedliwienie ma tylko jedno, że taka jest zawsze młodość: pełna szaleństwa, zmagania się z sobą i światem. Pierwszy rozdział zatytułowany „portrety ze skazą” to refleksja nad życiem wielu wybitnych polskich poetów i pisarzy, pokazaniem ich skomplikowanego i nietłatego curriculum vitae. Bo przecież Osowski jako polonista uczył literatury w szkole i żył się z tymi postaciami. Były mu one bliskie i towarzyszyły od młodości aż po „późną jesień”, nawet wtedy gdy już nie uczył w szkole, a zajął się, będąc na emeryturze,

dziennikarstwem i twórczością literacką. Musiał ciągle jednak do nich wracać, być z nimi na bieżąco, jak z lasem czy parkiem, gdzie chodził na swoje długie „filozoficzne” spacery. Zapewne w młodości był nimi zafascynowany, urzeczony dorobkiem i talentem, być może byli nawet dla niego wzorcami, wskazaniem drogi, którą należy iść. Ale z czasem, gdy coraz bardziej zagłębiał się w literaturę, poznając przy okazji biografie tych, którzy weszli do podręczników, zapewne zrozumiał, że twórczość, nawet ta literacka, tak mu bliska, nikogo nie czyni świętym. Pisarze, poeci, to ułomny lud, taki sam jak wszyscy, z tymi samymi zaletami i wadami. Jest to swoistym przyznaniem się do własnej niedoskonałości i błędów, jakby jednocześnie autor tłumaczył się sam: spójrzcie, oni, ci wielcy też mieli „skazy”, czy mogłem być inny? Kolejny rozdział „dulce et decorum est...” poświęcony refleksjom nad ojczystymi dziejami, rozważaniom nad naszym polskim rodowodem, określeniem własnej tożsamości.

Osowski szuka w nich odpowiedzi na pytanie: kim jesteśmy jako społeczeństwo i naród? I co nas odróżnia od innych? Dlaczego nasze dzieje są tak tragiczne? Czy nie ukształtowały one naszej osobowości? W „myślach przewrotnych” snuje refleksje natury ogólniejszej, filozoficzno-moralnej, zastanawia się nad racją i sensem naszego bytu, nad przemianami życia i wartościami moralnymi, które są ponad historią. Kulminacją tego jest część zatytułowana „memento”, inspirowana śmiercią osób bliskich, między innymi swego przyjaciela. Są w tych wierszach gorzkie refleksje na temat sensu życia i przemijania. Śmierć nie zawsze jest uwięzieniem tego, co się już spełniło czy dokonało. Bywa niekiedy tragiczna, niespodziewana, zbyt wczesna, jak w „lamencie matki”. Kolejny rozdział „pomiędzy mną i bogiem” jest świadectwem zmagania, jakie towarzyszyły poecie, szukania odpowiedzi na pytania egzystencjalne. Są to refleksje a posteriori, jakby wysnute z życia. Z tych zmagania wychodzi poeta obronną ręką, z pokorą przyznaje się do swoich porażek i klęsk. Z pokorą jednak wyznaje, że odnajduje wreszcie po latach sens życia, normalnego, prostego, szarego, wśród zwykłych ludzi. A najważniejsza, najcenniejsza rzecz, jaka mu została to wewnętrzna wolność. Życie skromne, z daleka od tłumy, splendoru, zapewniające wewnętrzny spokój. Część końcowa tomiku zatytułowana „wspomnienia” jest powrotem do wiejskich czasów dzieciństwa spędzonego na wsi, tradycyjnej, typowo polskiej, gdzie kalendarz wyznacza przyroda i liturgia

kościelna. Tam odnajduje tę upragnioną prostotę, wyciszenie, ukojenie po latach buntu, zmagani i walki. Wie dziś jako człowiek dojrzały i doświadczony, że zmiany ustrojowe, filozofie nie zmieniają natury człowieka. Zawsze po czasie jest tak, jak było. A dawni „bohaterowie”, niegdyś wynoszeni pod niebiosa, odchodzą do lamusa albo są brutalnie wyrzucani na śmietnik historii. Potwierdzają to zresztą współczesne media. Zamyka tomik skromne „wyznanie”, swoiste credo na temat sztuki poetyckiej. Jest to nie tyle program, jak pisać, co hołd złożony ars poetica, literaturze, sztuce pisania, co było sensem i celem jego życia.

Tytuł tomiku „notatnik liryczny” świadczy, że poezja w twórczości Osowskiego pojawia się doraźnie, w formie wierszowanych zapisków, refleksji i uwag. I zapewne nie stanowi zasadniczego trzonu jego twórczości, ale uzupełnia jego całkiem już okazały dorobek literacki, napisany prozą, zawarty w powieściach i opowiadaniach oraz wspomnieniach. Jest jakby nową, dodatkową jego odsłoną.

Mirosław Głowala

Mirosław Osowski „Notatnik liryczny”, Stalowa Wola 2020. Książka ma stron 125, projekt okładki wykonała Edyta Lisek.

Mirosław Osowski biogram: <https://zlp.rzeszow.pl/osowski.htm>



Mirosław Osowski, ur. W 1942 r. w Grabowie k. Łęczycy, jest autorem utworów prozatorskich: powieści „Tomasz”, „Domki z kart” zbioru opowiadań „Tamte lata”, „Świniobicie”, wydanych w latach 2002-2005. W roku 2006 wydał także powieść autobiograficzną „Powołanie”, a w 2007 – „Z nieba do piekła”, zaś w 2010 „Szychtę i inne opowiadania” – osnute na fcie pracy w kopalni. W wydał także 2 tomiki poezji – „Jesień” i „Jesień 2”.

W 2012 r. wydał książkę wspomnieniową „W krainie dzieciństwa”, a w 2013 r. – „Uniwersyteckie lata”. W latach 2014-17 wydał zaś 4 części „Sagi rodu Oryszów” (Powroty, Zawiedziona miłość, Człowieczy los, Światło w mroku), opisującej dżęje wielopokoleniowej chłopskiej rodziny, zamieszkującej na ziemi łęczycyckiej. W roku 2017 wydał także powieść satyryczną „Nowe czasy” i „Siłwę”. W 2018 r. wydał „W bliskim kręgu” – zbiór recenzji i biogramów pisarzy, i poetów związanych z naszym regionem, a w 2019 – zbiór opowiadań „Wilki morskie na lądzie”.



ISBN 978-83-943668-7-2

Mirosław Osowski
NOTATNIK LIRYCZNY

NOTATNIK
LIRYCZNY

Mirosław Osowski



Stefan M. Żarów, *Podkarpackie Ślady Pegaza*

Podkarpackie Ślady Pegaza, to nowa pozycja wydawnicza na podkarpackim rynku wydawniczym. Książka ukazała się pod patronatem Związku Literatów Polskich O/ Rzeszów. Autorem i pomysłodawcą tej interesującej publikacji jest Stefan M. Żarów, były długoletni wiceprezes Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.

W słowie wstępnym skierowanym do czytelnika pisze: „Podkarpacie poprzez swoje uwarunkowania historyczne stanowi magiczne miejsce. Składają się na to różne czynniki, a o jego specyfice decydują w dużej mierze wielopokoleniowe rodziny zamieszkujące jego tereny. Ich obecność sprzyja podtrzymaniu tradycji kulturowej, co ma istotny wpływ na powstającą tu literaturę”. W niniejszej pracy Autor przedstawia własne odniesienia z zakresu poezji, prezentując twórców działających w grupach literackich, oraz wybrane dynamicznie funkcjonujące środowiska literackie i stowarzyszenia o charakterze kulturotwórczym. Ma również nadzieję, że przedstawione zagadnienia znajdą kontynuację w kolejnych wydaniach. Książka ta jest jego autorskim projektem, a podzielona została na trzy części: Eseje, Krytyka i omówienia oraz Z kart historii. Podział ten wynika z przedstawianego zakresu pracy i wiąże się z próbą klarownego usystematyzowania jej treści. Przyświecały mu dwa cele: zapoznać czytelnika z tematyką literacką, zwracając szczególną uwagę na twórczość poetycką z jej specyfiką oraz zarazem przybliżyć podkarpackie środowisko kulturowe.

Część I. Eseje

Ta część książki składa się z trzech esejów tj. Kategorie tworzenia, Pamięć, nieistnienie i konieczność rekonstrukcji oraz

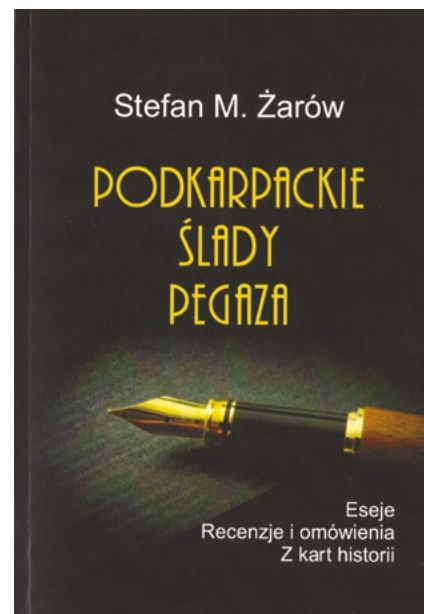
Poeta i jego poezja. Są one przedstawieniem odniesienia Stefana M. Żarowa do roli poezji, a zarazem stosunku twórcy do powstającego utworu. Zwraca uwagę na odpowiedzialność poety wynikającą ze słowa zawartego w wierszu, a w szczególności na siłę oddziaływania Słowa na czytelnika.

Część II. Krytyka i omówienia

Zawiera próbę analitycznego podejścia do szesnastu wybranych autorów i tytułów ich książek, które ukazały się drukiem w ostatnich latach na terenie Podkarpacia. Należą do nich znani i utytułowani twórcy, jak również adepci pióra, którzy mają w swoim dorobku zdobyte nagrody i wyróżnienia w ogólnopolskich konkursach literackich: Janina Ataman, śp. Marian Berkowicz, Stanisława Bylica, Adam Decowski, śp. Józef Kawalek, Joanna Klaczyńska, Ewelina Łopuszańska, Jolanta Michna, Edyta Pietrasz, Aleksandra Piguła, Marek Petrykowski, Jolanta Szal-Mach, Michał Warzocha, Bogusław Kotula, Jerzy Stefan Nawrocki i Maria Rudnicka.

Część III. Z kart historii

W artykule pt. Zastanawia mnie ta droga Autor przedstawia patrona Podkarpackiej Izby Poetów, jakim był Stanisław Harla. W Izbie w jej ponad dwudziestoletniej działalności prezentowało się ponad stu twórców z terenu Podkarpacia. Charakterystyczne jest to, że Izba rozpoczęła swoją działalność od wspomnienia twórczości nieżyjącego już wówczas Stanisława Harli z ziemi mieleckiej i zakończyła ją na spotkaniu innego jej przedstawiciela, poety Zbigniewa Michalskiego. Kontynuacją Izby ale już w zmienionej formule jest Podkarpacki Salon Literacki, autorski pomysł Marka Jastrzębskiego dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury w Rzeszowie. Mielecki Klub Młodych Pisarzy to przed-



stawienie fenomenu kulturowego, jakim była jego działalność w latach osiemdziesiątych minionego wieku, a z którego to wywodzi się kilku twórców do dzisiaj uprawiających działalność literacką.

Kolejny artykuł to Mielczanie w Podkarpackiej Izbie Poetów, co jest odzwierciedleniem dynamicznego środowiska literackiego tego miasta. Na zakończenie przedstawiono wspomnienie ze Światowego Dnia Poezji w Rzeszowie, zainicjowanego i od wielu lat organizowanego przez Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury.

dr hab. Paweł Soroka

Stefan M. Żarów. Podkarpackie Ślady Pegaza. Oddział ZLP Rzeszów 2019 r. Recenzja z Własnym Głosem, Pismo Społeczno- Kulturalne Nr 4/2019/109.

Stefan Żarów biogram:
<https://zlp.rzeszow.pl/zarow.htm>

dr Jan Wolski

Rozkoszując się wielopostaciowością

Stefan Żarów to poeta, który w interesujący sposób nawiązuje do tradycji literackiej, nie tracąc przy tym swego podmiotowego stylu i współczesnej jak najbardziej formy wyrazu.

Słowo jego wierszy, oczywistego przecież materiału poety, jest słowem wyciszonym emocjonalnie, pozornie tylko precyzyjnie chłodnym w swym wyrazie. Sądzę, że to nie tyle podpieranie się tradycją, co rodzaj podskórnie demonstrowanej albo lepiej: wyrażanej wiary, że są w życiu rzeczy i stany trwałe, niezmienne, piękne, a przez to po prostu do życia tegoż niezbędne – tyleż osobistego, co w równej mierze społecznego.

Nie jest to poezja, która wdziera się do świadomości odbiorcy, lecz uwagę jego i przychylność zdobywa, ujmując go swą delikatną zadumą, obficie dopełnianą pewnego rodzaju nostalgią. Ale i w tym nastroju dominuje swoisty hymn pochwalny na cześć życia. Mimo jego ograniczeń i nieodwracalnego, bezpowrotnego przeżywania.

Poeta bazuje na własnych doznaniach i doświadczeniach, ale w ten sposób poddaje nas próbie wrażliwości, czy potrafimy dostrzec to, co jest naszym wspólnym, ludzkim przeżyciem i poznaniem.

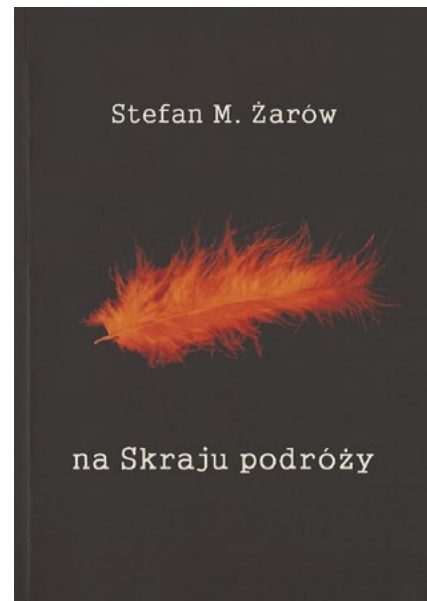
Wydaje się, że podstawową kategorią rozpoznawalną w tomie *na Skraju podróży* jest pamięć. Można powiedzieć, że ustala niejako ścieżkę lektury, podpowiada, że zadaniem poety jest wędrówka do przeszłości i pamiętanie o prywatnej mitologii. Nieprzypadkowo, w nietypowym miejscu, bo na stronie przedtytułowej zamieszczony został fragment eseju poety poświęconemu właśnie pamięci. Widzieć więc w tym należy świadomą wskazówkę.

Skoro tak, to zdefiniowany został sposób postrzegania świata przez poetę, jak i ścieżka lektury dla czytelnika. Takie, pod pewnymi względami, programowe działanie uzasadnia pojawienie się w tomie licznych wierszy autotematycznych, mówiące o tym, jak lub co należy opisywać. Sztuka poetycka kieruje się prostą dyrektywą: *Dotknij ulotnych śladów*. Poeta zdaje też relację z procesu twórczego, wie, że: *Kilka wierszy pisze się chwilę / Jeden całymi latami*. Uważa, że *Poeta notariusz znaczeń*, ma właśnie takie zadanie i *Pozostaje notariuszem / Odmierzającym czas / nakreślającym nowe kręgi znaczeń*. O świetnym wyczuciu swoich możliwości poetyckich, ale raz jeszcze świadomości ograniczeń, a zarazem potencjału poetyckiej wypowiedzi, świadczy liryk *Jest taki wiersz*. Ten najważniejszy, jeszcze nie zmaterializowany wciąż czeka na swój czas: *Wiem / Że jest we mnie / taki nienapisany wiersz*. Ale jeszcze ciekawsze jest dookreślenie jego kształtu, a mianowicie ma to być

*Wiersz minimum słów
Przy maksimum obrazów*

*Wiersz
Milczenia*

Często bywa tak, i jest to nie tylko cecha omawianego tomu, ale generalny parametr stylu Stefana Żarowa, że poszczególne kręgi tematyczne, łączą się i uzupełniają w obszarze jednego, tego samego utworu, jak choćby w wierszu *Retrospekcja*, gdzie można dostrzec i egzystencjalny niepokój, i wskazanie już choćby poprzez sam tytuł pamięci jako źródła poznania, i kolejny raz określenie zadania poety,



który musi poza daniem świadectwa swoim czasom, być w stanie *ponieść pamięć tych co przede mną*, a kiedy temu podoba, *Przemówić językiem ich milczenia*.

Innym, bardzo ważnym i wręcz narzucającym się uwadze czytelnika obszarem doznań, skojarzeń, odniesień poety jest Lazurowe Wybrzeże. Zdziwiająca jest to przywiązanie do dawnej Galii Zaalpejskiej, do prowansalskich krajobrazów. Zdradzają je, bez interpretacyjnego wysiłku, same tytuły wierszy, na przykład: *W cieniu lawendowych pól*, *Route Napoleon* czy *Nocna burza od Alp*. W naszym codziennym bytowaniu istotne znaczenia mają miejsca geograficzne. Poeta przywiązanie do nich manifestuje w niejednym wierszu tego tomu. Znaczące jest dla przykładu choćby to, że każda strofę wiersza *W cieniu lawendowych pól*, rozpoczyna wers: są miejsca urokliwe. Brzmi to jak mantra i zarazem stanowi bardzo silne wyznaczenie miłości do nich, jak w wierszu

Recenzje i omówienia

szu *Tęskna rzeka*, w którym znajdujemy zwierzenie poety: *moje miejsce przypisane do wąwozu Verdon*. W *Powrotach mojego miasta* ponownie sięga myślą i przypominą *Miasto powrotów i wyciszenia / Nad wodami Verdon*. Pojawia się plaża w Nicei, opactwo Sénanque pod Gordes, górskie zbocza Vercors, droga do Russillon, rzeka Durance, dopływ Rodanu, obszar od Rougon aż do Moustiers-Sainte-Marie, itd. Obszar geograficzny zostaje trwale naznaczony, a ściślej został już kiedyś w przeszłości, być może wielokrotnie, ale teraz wciąż na nowo odżywa w pamięci, przypomina swe istnienie, którego zapomnieć nie można. Można by sądzić, że jest to jakaś mityczna kraina, obszar ucieczki, w której poeta może się schronić, gdzie jest szczęśliwy i bezpieczny. I zapewne tak jest, ale to nie jedyne takie miejsce, bo oto trafiamy na równie intensywne emocjonalnie deklaracje związków z innym miastem, z Rzeszowem. To *Miasto które we mnie / Witam z każdym przebudzeniem*, gdzie wciąż powraca, gdzie czuje się w domu, bo jest miejscem codziennych wędrówek, wspomnień, bo poeta wrósł w nie, może z nim rozmawiać, bo ono pozwala mu żyć i jest świadkiem powstawania jego wierszy, bo jak wyznaje: *Oddycham tym miastem*. Takie personifikowanie to aż nazbyt czytelny dowód przywiązania. Jedną z jego ulic ma moc wyjątkową, bo jest *Codziennym traktem przemyśleń*, a spacer po niej sprzyja spisaniu ulotnych śladów zdarzeń, choć równie dobrze można gdzieś w jej ciągu *Przysiąc i pomilczeć*.

W tytułach kilku wierszy tego tomu, i w nich samych, pojawia się tajemnicza postać „Inez”. To postać emblematyczna, rodzaj interlokutorki, albo raczej rodzaj jeszcze innego, może bardziej wewnętrzznego głosu poety. Zazwyczaj poja-

wiające się w jej kontekście tematy mają wymiar, można powiedzieć, estetyczny, dotyczące ulotnej istoty sztuki, szczególnie plastyki, *igraszki barw*, ale także literatury i poezji. Kim jest Inez, to sekret, który pozostanie chyba nierozwiązany, ale warto zwrócić uwagę na takie właśnie jej usytuowanie i rolę. I ponownie można skojarzenia z nią związane odnosić do problemu pamięci, wspomnienia, ulotności ludzkich myśli i uczuć, zmysłów, zapachów, tajemnicy istnienia, przesłanek i dyrektyw służących tworzeniu, bez względu na dziedzinę sztuki.

I jeszcze jedna warstwa tego tomu, bo taki kształt nadał mu poeta, złożona z wierszy, które nazwać można wierszami-napomnieniami, które nierzadko mają ponadto charakter prorocत्व. Dotyczą one fundamentalnych doświadczeń człowieka i niekiedy miewają charakter religijny. Są to utwory takie jak: *Przedśpiew, Cupiditas, To moje życie*, czy choćby *Aeternitas*, z którego pochodzi pytanie: *Kim jestem?* I właśnie pytania są w tych wierszach najważniejsze. Ciekawsze, gdy nie znajdują łatwych lub w ogóle jakichkolwiek odpowiedzi, dając tym samym czytelnikowi większe pole do własnych przemyśleń. Bywa, że przynoszą one wyraźne deklaracje i rozstrzygnięcia, czego przykładem wiersz *Ze słów i liczb wyrosłem*. To właśnie ta konstatacja zda się być, jak chce poeta, *kluczem mojego być*.

Tom zamyka znamienny wiersz, opatrzone tytułem *Expeririadire*, bo w nim zda mi się koncentrować wszystko to, co stanowi o sile i specyfice poezji Stefana Żarowa, przywołuje ważne dla niego tematy, jak odwołania do pamięci, diagnoza współczesności, zadania poety, przenikanie zmysłowych i intelektualnych doznań oraz próba ich opisu, także w wymiarze metafizycznym. Znamienny

Stefan M. Żarów, *na Skraju podróży*

jest niejednoznaczny sens łacińskiego tytułu, który można przekładać jako: *stara ją się słuchać*, co odnosiłbym do poetów właśnie lub inna wersja, która może mieć brzmienie: *nie chcą słuchać, lecz mówią*. Mamy więc tu do czynienia tyleż z paradoksem, co głębokim rozpoznaniem kondycji poety i kondycji człowieka, a co ujęte zostało w słowach: *To moje widzenie / Zapisane* i kilka wersów dalej: *To moje widzenie / Utrwalone*, bo warto *rozkoszować się wielopostaciowością / Bytu*.

Gdyby na koniec pokusić się o podsumowanie zawartości całego tomu *na Skraju podróży*, spróbować przypisać mu jakiś jednolity charakter, to powiedziałbym, że jest on opowieścią-przenosiącą wywołującą, po leśmianowsku mówiąc: *zaświat*. Jest ewokacją poznawczej dociekliwości, może nie w przypadku każdego wiersza, ale na pewno rzetelną i własną. To nic złego, bo przecież nawet poetycka wnikliwość staje nierzadko przed niemożnością wypowiedzenia i nazwania tego, co nie jest do wyartykułowania możliwe, ale co czujemy, że jest, prawdziwe i rzeczywiste, a nie fikcyjne i tylko wymyślone.

Najkrócej mówiąc: tom, o którym mowa, to godna uwagi opowieść o życiu i o urodzie świata. Cóż, że przemijającego. Od tego nie ma ucieczki, ale możemy wędrować i być może błędzić z wierszami Stefana Żarowa, a jednak także korzystać z szansy, by za ich pośrednictwem, próbować odczytywać swoisty palimpsest, jakim jest życie. Pełne smaków, barw, zapachów, piękna, ale bywa też, że kłęsk czy rozczarowań. Kompletne.

Stefan M. Żarów, *na Skraju podróży*, 2017.

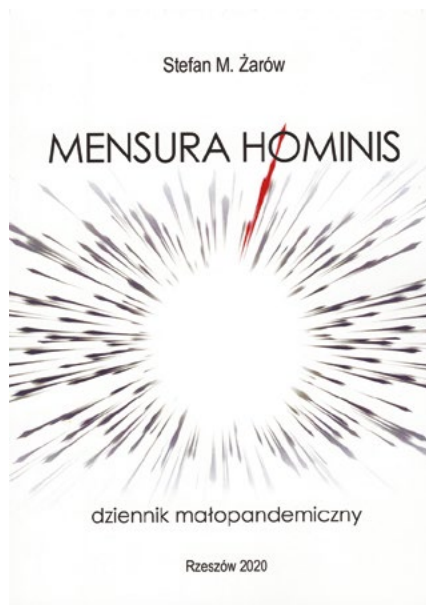
Recenzja z Akant, Miesięcznik Literacki Nr 12/259/2017

Stefan M. Żarów
MENSURA HOMINIS

dziennik małopandemiczny

Wypadki roku przestępnego 2020 po raz kolejny w historii cywilizacji spowodowały, że nagle życie z dnia na dzień może mieć absurdalny wymiar egzystencji. Wszystko co ziemskie ma formę przemijającą, lecz by dar życia posiadał najwyższą rangę nie należy nam godzić się na zło nawet na najmniejszy jego przejaw. Pandemia Covid-19 jest obecnie przejawem kolejnej formy zła w skali globalnej bez względu na fakt przyczyn jej wywołania. Codzienny trud jednostki wystawiony został na ryzyko utraty zdrowia, a nawet śmierci. Ponownie został zachwiany odwieczny rytm zdobywania przysłowiowego szczytu pchania mitycznego kamienia.

Działanie to sens naszej ziemskiej wędrówki - tu i teraz, sedno naszego być, w którym odnajdujemy cel podejmowanych czynności, kreację rzeczywistości. Jeżeli nie będziemy w stanie pokonać pandemii w chwili obecnej, to doraźnie wymusi ona na nas zmianę pewnych nawyków i przyzwyczajzeń, a w dłuższej perspektywie może prowadzić do powstania nowych wzorców kulturowych.



Historia ludzkości wskazuje, że nie powinniśmy spocząć, poddać się, zaprzestać walki z niewidzialnym wrogiem. Pandemię czy jakąkolwiek inną formę zła nie można niczym usprawiedliwić. Jak trafnie ujął to Albert Camus autor perły w światowej literaturze Dżuma, „W miarę możliwości nie należy być po stronie zarazy” dodałbym - w jakiegokolwiek jej przejawie i na jakiegokolwiek płaszczyźnie. Nie wolno nam przyzwyczać się, okazywać inercję. Czy to aż tak wiele by nadal przeciwstawiać się i poszukiwać rozwiązania? Stron 70, format: B5, wydawca: Mieleckie Towarzystwo Literackie.

Stefan M. Żarów

Ludwik Filip Czech

Historia wierszem spisana

Poeta **Stefan M. Żarów** wydał w tym roku swój nowy zbiór wierszy „*Mensura Hominis*” z dopiskiem „*dziennik małopandemiczny*”. Autor jest animatorem kultury, publicystą, krytykiem literackim. Publikuje w prasie krajowej i zagranicznej. Jego najnowszy tomik jest wyjątkowy, składa się bowiem z utworów, dla których inspiracją był czas aktualny, czas pandemii. To ona jest ich spoiwem i rdzeniem. Nie byłoby tego zbioru, gdyby nie ona. Można rzec, że w każdym z tych wierszy eksploduje covidowy wirus. Jego impet przypomina lawinę schodzącą ze szczytu. Poeta świadczy tej tragedii, jest jej dokumentalistą, komentatorem. Wyciąga odważne wnioski. Jest zaangażowany, gdyż nie traktuje obecnej sytuacji w kategoriach epizodu. Jest pewien, że zmieni ona oblicze dzisiejszego świata. Że jego cywilizacyjny kurs wymagać będzie korekty. Podobnie jak nasza wiara w bezpieczną, przewidywalną przyszłość. Ta dramatyczna perspektywa odcisnęła się na stylistyce tych wierszy. Mają w sobie pasję, żywiołowość, tupet. Ich energia mogłaby oświetlić ulice niejednego, wojewódzkiego miasta. Przykładem niech będzie „*Zostań w domu*” *zostań w domu/ zostań w domu/ wychodź w maseczce/ ubieraj jednorazowe rękawiczki /zachowaj dystans/ nie odwiedzaj staruszków/ osobników w podeszłym wieku/ unikaj dotyku rąk/ nie całuj relikwii/ wielkopostnego krzyża/ krucy-*

fiksu Zbawiciela/ dezynfekuj ciało/ klamki poręcze/ toalety/ klawiaturę/ zostań w domu/ zostań w domu/ zostań w domu// O ironio!

Czas pandemii sprzyja nie tylko społecznej izolacji. Narusza też wspólnotowe związki, ustanawia pauzę w odwiecznym rytmie obrzędów, świąt, rytuałów. Wiara zostaje wystawiona na próbę, jej symbole i wota przechodzą swoisty post. Stają się nietykalne, wręcz nieczyste. Są ofiarami surowych praw kwarantanny. Czytamy o tym w „Zostań w domu”, ale i w „Niedzieli Palmowej”, gdzie typową mszę zastępuje jej telewizyjna relacja. Dopełnieniem tego żalosego spektaklu są „*milczące figury*”, odarte z człowieczeństwa i duchowości. Wiara i Bóg stają się w tym chaosie wyspami spokoju i nadziei. Jedynymi pamiątkami po dawnym porządku. Przywoływane przez autora, wplątane w wiersze, przypominają o naszym chrześcijańskim źródle. Świat sztuki jest dla artysty kolejną, oczywistą deską ratunku. Jest zatem w jego wierszach Antonio Gaudí i Picasso („*Blejtram codzienny*”), z zakamarków dzieciństwa wyłania się Samuel Beckett („*Piaskowy Beckett*”), Arystoteles z „*Epidemicznej lekcji*”. Ikony dawnych mistrzów są zatem wiecznie żywe, są opoką. I co najważniejsze - nadzieją na ciągłość tradycji. W „*Murze wyobraźni*” spektakl został odwołany, ale pomimo obostrzeń i zakazów trwa nadal. W innej scenografii, może nie w światłach rampy, pewnie za kulisami, ale jednak. Oto ten wiersz: *teatr nie uległ destrukcji/ ciągle odsłonięta kurtyna/naga scena/ porozrzucane białe kuleczki/ reżyser zapadł na koronawirusa/ teatr królewski ma/ zapewnione fundusze/ jeszcze chichocze stary Fredro mistrz roasty/ w komedii standupowej umęczony bohater szyderczym ujadaniem komików/ jedni biesiadują z Hamletem/ drudzy pod rękę z Papkinem/ osaczeni w domach/ w roli Rejenta i Cześnika/ emocjonalni z ekranowym przekazem// O ironio!*

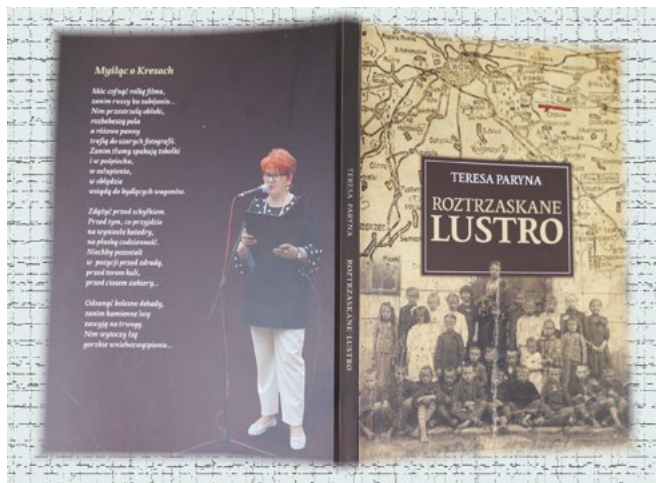
W wierszu „*Zmaganie z ciszą*” mamy jeszcze ogród. Kolejny azyl, tym razem bardziej prywatny. Nie wiemy, czy naprawdę istnieje, czy jest imaginacją, kwiatem wyobraźni, jak oszroniona w nim róża. „*Tego świata już nie będzie*” pisze autor i dodaje - „*pozostała poezja*”. Ta jednak nie ma łatwo, musi się bowiem konfrontować z demonami dzisiejszości. Z ofensywą cywilizacyjnych pokus. W „*Gorejącej planecie*” oglądamy tę współczesność, zdominowaną przez brak umiaru, chciwość i zysk. Dobra materialne, bezużyteczne przedmioty, niezaspokojone ambicje, wreszcie ludzka głupota są zapowiedzią globalnej porażki. Jej przedsmak odnotował

poeta w „*Niewolniku botów*”. Mamy tutaj „*zniewolone umysły*”, które szczute przez historyczne media oczekują już tylko „*nadzwyczajnych zdarzeń*”. Stonowane emocje odchodzą na dalszy plan. Są zbyt letnie dla fanów agresywnych portali. Tytuł innego wiersza - „*Elektroniczna epidemia*” - dobrze podkreśla tą diagnozę. Ten tekst można odebrać na kilka sposobów. Ale jest on spisem tych obaw, jakie nurtują autora tej książki. Przytoczę wspomniany wiersz: *cyberprzestępcy/ namnażają wirusa/ definiują korelacje liczb/ koronawirusa i cyberataku/ pandemicznie/ przejmują użytkowników// O ironio!*

Wiersz „*Czasy zarazy*” podąża tym samym tropem. Mamy w nim „*zamgloną atmosferę*”, która sięga aż po horyzont. Poeta „*opancerzony w maseczce*”, zmęczony skalą rygorów, wychodzi do ogrodu. Przycina w nim kwiaty, wspomina dobre czasy, snuje plany. Może wtedy układa w głowie wiersz pokoleniowy „*W objęciach obojętności*”. To podsumowanie dokonanych własnych i rówieśników, rodzaj życiowego bilansu. Towarzystwą mu zakrety historii, skompromitowane ideologie, smak porażek. Ale i zwykła codzienność płynąca wartko w cieniu pogrzebów, awansów, karier. Gorycz tych refleksji jest przyprawiona szczyptą wiary. Oczekiwaniem na kogoś, kto wyjdzie poza nawias przeciętności i okaże się „*jednym sprawiedliwym z biblijnej przypowieści*”. Ktoś, kto zechce wskrzesić dawne wartości, stojący po stronie godności, szlachetności i prawdy. Fragment tego wiersza: *odrzućmy naleciałości egzystencji/ zrobimy pierwszy krok w nowy wiek/ nie trafimy do nekropolii pandemii zamykającej stare stulecie!.../ wielu z nas pomarło/ wielu zatraciło w gabinetach/wielu z nas zapomnianych/ wielu z nas w przyćmawionych togach/ wielu z nas na krzywiźnie zdarzeń wielu z nas uśpionych/ wielu z nas wątpiących/ wielu z nas oślepto/ wielu z nas czeka/ czy znajdzie się jeden sprawiedliwy/ z biblijnej przypowieści// O ironio!*

Tomik „*Mensura Hominis*” pisany był w twórczej gorączce. Temperaturę każdego z tych wierszy studzi, moim zdaniem, zwrot „*O ironio!*”. Brak tej poetyckiej klamry niczego by nie ujął tym tekstom. Są czytelne, pełne werwy, energetyczne. Ten zbiór przysłuży się w przyszłości socjologom i historykom. W pewnym sensie jest im dedykowany. Będzie doskonałym świadectwem naszych czasów. **Stefan M. Żarów** trzyma rękę na pulsie współczesności. Jak każdy liczący się artysta. Książkę polecam.

Stefan M. Żarów „Mensura Hominis” - „dziennik małopandemiczny”. Rzeszów 2020, ss. 70



Włodzimierz Gąsiewski

Kresy utracone czyli „Roztrzaskane lustro” podróż sentymentalna Teresy Paryny

Jak przedstawić książkę, żeby nie zgubiła się w setkach, a może nawet w tysiącach kresowych wydawnictw, nie tylko z Podkarpacia ale i Lubelszczyzny, Podlasia, a nawet z całej Polski, gdzie wszędzie rozsiani są potomkowie mieszkańców polskich Kresów i w najprzeróżniejszy, artystyczny sposób wracają do krain swoich rodziców i dziadków, nie mogąc się wyzbyć bólu z okaleczenia pięknej części Ojczyzny, której dzikie pola odłmano od Macierzy brutalnie niczym tafłę lustra...

Teresę Parynę znam oczywiście jako koleżankę z rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, ale też raz, czy dwa spotkałem ją właśnie na Kresach. W ukraińskim Zadwórzu, polskich Termopilach, gdzie kilka setek żołnierzy, w tym gimnazjalnych uczniów opierało się w 1920 r. bolszewickiej nawaie. W większości zginęli, ale zbawiennie opóźnili marsz czerwonych kozaków na Warszawę. Pani Teresa z wielkim zaangażowaniem uczestniczyła wówczas w rocznicowych, sierpniowych uroczystościach. Ja byłem bardziej obserwatorem, reporterem i po trochu kronikarzem. Jako urodzony na Mazowszu, Kresy, czy to obecnie ukraińskie, czy

białoruskie, gdzie również byłem, traktowałem bardziej jako kolebkę polskiej historii i kultury, a nie miejsce jako moje rodzinne strony. Tymczasem wystarczy tylko zagłębić się w notkę biograficzną Teresy Paryny, która „urodziła się w Sośnicy Jarosławskiej, w rodzinie przesiedleńców z miejscowości Czystki koło Lwowa, od 1974 r. mieszka w Przemyślu...” Tylko w tym jednym zdaniu wyrwanym z życiorysu zawiera się los Kresowian i ich dzieci, w tym także autorki „Roztrzaskanego lustra”.

Poetka z Przemyśla opublikowała blisko dwadzieścia książek poetyckich, w tym kilka jako drugie wydania. Swoje wiersze drukowała w ponad 60 almanachach, antologiach i prasie poetyckiej, jest laureatką kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursów poetyckich, a ponadto równolegle zajmuje się twórczością plastyczną i wielokrotnie wystawiała swoje prace. Oczywiście za swoją twórczość otrzymała liczne wyróżnienia i odznaczenia, w tym m.in. medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, który nadaje Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wydaje się więc, że Teresa Paryna powinna być twórczynią spełnioną i spoczywać na słusznie zasłużonych laurach. Tymczasem w swojej ostatniej publikacji z 2020 r., nie tylko poetyckiej, bo przeplatanej krótkimi opowiadaniemipisanymi prozą, podejmuje kolejny wysiłek twórczy i wraca do źródeł, do ojczystych stron i przeżyć swoich rodziców, którymi wypełniło się jej dzieciństwo, młodość i dojrzałość.

Autorka sama pisze we wstępie: „Sięgam tu czasem w głąb lat przedwojennych, w okres dzieciństwa i młodości rodziców – świat beztroski, niemal sielski, jak również niejako dla przeciwwagi w dzieciństwo moje i rodzeństwa, naznaczone powojenną biedą, trudnościami i ograniczeniami m.in. ustrojowymi. Kresowy świat, o którym jest ta literacka opowieść roztrzaskała druga wojna światowa oraz układy polityczne po jej zakończeniu. Tematami najtrudniejszymi i jakże bolesnymi są: Katyń, Sybir, Wołyń. Holokaust...” Ten fragment jest jakby skróconym spisem treści, bo tak się potem układają poszczególne wiersze w książce. Wprawdzie może nie według tej kolejności, ale wszystkie te wątki możemy tu odnaleźć.

Wydaje się, że kluczem do odczytania zamysłu autorki jest pierwszy wiersz „U progu kresów”, w którym zawiera się całe kresowe credo poetki:

*U progu Kresów stanąć z kufierkiem podróżnym
Pożyczonym od Konopnickiej.*

(...) Gdzie liście dębu wciąż jak u Orzeszkowej,

(...) Ech za Niemen, za Niemen do Justyny i Jana

(...) *Do bezkresnych stepów, stanic i kurhanów.
[gdzie]
Matka jeszcze tak młoda rozplata długi warkocz,
Ojciec na organkach smętną dumką się żali...*
(...) *Nim spadnie na Kresy nocy czarna ćma.*

Potem są już tylko przedwojenne, a może nawet starsze Kresy. Jest więc: „Muzyka Kresów”, „Fotografia – Lwów – 1910”, „Pastelowy rapsod”, „Wokół Lwowa”, „Świat babci Walerci”, „Rusinki z Podbereżec”, „Dołożył Bojko śliwkę” i jest „Wielkie zadumanie”. W każdym z tych wierszy ujrzymy świat rodziców Teresy Paryny w różnych kolorach, może spokojnych pastelowych, albo odcieniach sepia ze starych fotografii.

Ale oto kresowa „sielanka” wybija się na wyższe tony strof i wierszy: „Orlątom”, „Przy pomniku Orląt” i „Na krwi Orląt”, na której:

(...) *krzepła nasza wolność.
Wytyczała na mapie świata
Nową sieć niepodległych dróg...*

Które niestety po wrześnieowej klęsce zadanej przez Niemców i sowieckiego sąsiada zawiodły wielu mieszkańców Kresów do „niehumanitarnej ziemi”. Teresa Paryna w swoich wierszach pisze: „Sybir widziałam”, „Sybir – Tylko kwiaty”, „Sybir – Biała cisza”, „Sybir – Sen”, „Sybir – nadzieja”, a utwór „Sybiracy” dedykuje przemyskim Sybirakom, pisząc:

*W ich oczach
Już na zawsze zostaną –
Chłodna biel,
Syberyjska dal
Jak szeroko rozwarła
Paszczka śmierci.*

Na tym jednak nie koniec poetyckich, dramatycznych pieśni. Kolejna jest więc „Katyńska ballada”, „Katyń ostrzega”, „Huta Pieniacka”, jeszcze jedna „Ballada o Hucie Pieniackiej” gdzie:

(...) *życie jak łachman
Wrzucono w żar płomieni
I podstępnie stworzono
Ludziom piekło na ziemi.*

W historii Kresów jednak bardzo bliska jest droga od Katynia do Wołynia, którą w poetyckiej martyrologii opisuje autorka poprzez „Dekalog nienawiści” *W 70. Rocznicę ludobójstwa na Wołyniu*, tak dosadnie, że aż trudno powtarzać, ale jednak...:

(...) *I zamęczyli miasteczka,
Rozbebeszyli wioski.
Tobie Chryste,
Odrąbali ręce...
Tak stałeś się znakiem
Prawdy o męczeństwie.*

Kolejne wiersze również ociekają zbrodnią, jak: „Wołyń”, „Na Wołyniu”, „Bo jestem Polakiem”, „Na cmentarzu w Podkamieniu” i „Zabici dwa razy”, gdzie autorce:

(...) *trudno wybaczyć,
Trudno zapomnieć...*

Ale czy wybaczyła i zapomniała? Jeśli pisze „trudno” to być może to zrobiła, a te wiersze pisze:

(...) *na świadectwo,
ku przestrodze.*

Po takiej serii niemal męczeńskiej poezji, poetka trochę cofa się w czasie, jednak ku pokrzepieniu serc, do orężnych czasów sławy i chwały, wprawdzie przegranej bitwie pod Zadwórzem w sierpniu 1920 r., ale jednak przyczyniającej się do odzyskania polskiej niepodległości. Autorka tworzy wiersz:

*„Jak podcięte róże”
Pod Zadwórzem...*

Gdzie:

*Broczy krwią wojenna rocznica
Pruje błękit cmentarna blizna.
Słodka śmierć, co przywraca życie
Świątym słowom: Bóg, Honor, Ojczyzna...*

Dlatego więc poetka poległym oferuje „Kwiaty Zadwórzca”, a Marii Mireckiej-Loryś – kobiecie legendzie niepodległościowego podziemia dedykuje wiersz „W 95 rocznicę walk pod Zadwórzem”.

Wiersze „Zadwórzowskie” kończą cykl dramatyczno-patriotycznej poezji w tomiku. Przez następną więcej niż połowę książki tonacje są nadal wprawdzie liryczne i smutne, ale już bardziej spokojne. Rozpoczyna je „Kresowa ballada”, w której:

Gdzieś w dalekim świecie tęsknią za swym Lwowem...

(...) *... jak w dzikim stepie kresowa ballada.*

Do wyrażenia nastroju wspomnień, w których ludzie „(...) Byli biedni, ale mieli szczęście...” Autorka sięga do formy krótkiego opisu prozą. Wprawdzie nadal pobrzmią tam wołyńska rozpacz, a w wierszach „Wyrok bez winy” i „Wspomnienie z uroczystości poświęcenia „Polskiej Kwa-

tery Pamięci”, dziś już w ukraińskich, ale przecież rodzinnych Czyszkach” wciąż wraca ból po utraconych bliskich. W wierszach pojawia się jednak także „Nowy ład”, „Podróż do korzeni” i inne wiersze „lwowskie”. Potem znów jest proza: „Twarze dzieciństwa”, w której na zaledwie trzech stronach autorka streszcza swój kresowy rodowód i wspomina: (...) *Dzień po dniu, z dziupli staro- zegara, kukulka wyrzucała leniwe godziny. Czas powoli rzeźbił mapę twarzy ojca, przemalowywał warkocz matki, nas prowadził w upragnioną dorosłość”*.

Tutaj autorka raz prozą, raz poezją opisuje swoje nastroje. Stąd też kolejne utwory poetyckie m.in.: „Obrazek z matką”, „Dlaczego” i „Koleiną dzieciństwa” I i II, gdzie:

(...) *Świat spokojny, ufny
Podskakuje, tańczy,
Płynie jasną orbitą
Twoich oczu Mamo.*

W dalszej części książki, aż do jej zakończenia będziemy przechodzić od krótkich opowiadań takich jak m.in. „Niebieskie trzewiczki”, „Mynia”, „Wspomnienie o cioci Józefce”, „Anielka”, „Pierwsza żarówka” i innych do strof wierszy, gdzie znów jest „Ciotka Józefka”, „Ciotka Marynka”, „Ciocine pączki”, „Konfitury cioci Frani” i „Kartka z dzieciństwa”. Jest też opowiadanie o zwykłej „Sieni”, wiersz o „Wiejskich chłopcach” i o „Modlitwie przy figurce MB Różańcowej w Czyszkach”. Po prostu jest „Szczęśliwy czas”, zadedykowany Mamie, jest „Kolęda, kolęda” i są Kresy, jakie chcielibyśmy pamiętać i znać. Jednak wciąż pobrzmiewają jeszcze inne: „Kresy – prawda zakazana” i „Wyklęci – Niezlomni” i „Ruiny kościoła na Kresach”. Takie są właśnie Kresy, i piękne i zdruzgotane. Każdy,

kto tam był widział i jedno i drugie.

Teresa Paryna pod koniec książki pisze:

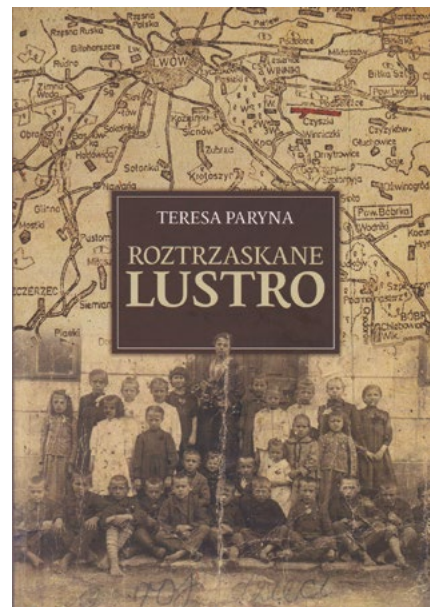
„Zamykam oczy”
*Nie zgubiłam klucza,
Zawsze mogę tam wejść.*

Wspomina też ojca: (...) *Siedzę i myślę nad podobieństwem naszych ról. Ojciec nie pisywał wierszy ale dziś wiem, że był poetą. Był człowiekiem niezwykle wrażliwym na prawdę, piękno, na ludzką krzywdę, niesprawiedliwość. Były w nim duma i honor człowieka prawego. Kochał Boga, Ojczyznę i swoją rodzinę. Wojna przekreśliła jego marzenia i plany, zadała rany które miały nie zagoić się nigdy.*

Tak Ojcze! Jak Ty kiedyś z ziemią, tak ja teraz, zmagam się ze słowem, przygotowuję grunt pod zasiew. Płon mojej pracy równie niepewny...

Książka Teresy Paryny z poezją i prozą „Roztrzaskane lustro” wydana dla *Pamięci Rodziców*, z jednej strony jest bardzo osobista, ale też i uniwersalna. Jest swoistym lirycznym przewodnikiem historii Kresów XX wieku i tej pięknej i tej tragicznej. Jej uniwersalność polega m.in. na tym, że każdy może odnaleźć w niej coś dla siebie, jeśli nawet nie był związany z tą częścią Rzeczypospolitej. Autorka nie na próżno na początku przywołuje Marię Kopnicką pochowaną na Lwowskim Łyczakowie i Elżę Orzeszkową związaną całe życie z kresową Grodzieńszczyzną. One to właśnie poezją i prozą tworzyły dla pokrzepienia serc i wydaje się, że takiemu współczesnemu pokrzepieniu serc Kresowian i nie tylko, może służyć „Roztrzaskane lustro” Teresy Paryny.

Książka w formacie 16,5x23,5 cm, liczy 128 stron i jest sygnowana/datowana: Przemysł 2020. Zawiera ilustracje



autorki i fotografie z jej zbiorów. Redakcji technicznej i łamania dokonała Agencja Reklamowo-Wydawnicza JM, a korektę Elżbieta Stojanowska-Franków i Stanisława Żak. Druk wykonał: Geokart International, Rzeszów.

Więcej o autorce na stronie:

<https://zlp.rzeszow.pl/paryna.htm>

Autor recenzji – Włodzimierz Gąsiewski, jest doktorem nauk humanistycznych w zakresie historii. Należy do Związku Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie, gdzie dwukrotnie jako literat i wydawca uzyskał nagrodę „Złote Pióro”. Jest m.in. redaktorem naczelnym kwartalnika/rocznika „Nadwisłocze” oraz autorem wielu książek historycznych, poetyckich, powieści i artykułów prasowych.

Recenzje i omówienia

Listy za Ocean / Letters over the Ocean książka małżeństwa Krystyny i Włodka Gąsiewskich



Pod koniec 2020 r. ukazała się kolejna, druga już wspólna książka literacka autorstwa małżeństwa Krystyny Gargas-Gąsiewskiej i Włodka Gąsiewskiego, w której jak sam tytuł wskazuje znajdują się listy obojga małżonków podczas pobytu Krystyny w USA w 2000 r. oraz wiersze Włodka, wysyłane w tym czasie do żony, jako forma poetyckiej korespondencji. Do tego dochodzi jeszcze kilka e-maili oraz listów i kartek pocztowych dzieci małżonków oraz siostr Krystyny. Publikację ilustruje kilkanaście związanych z nią zdjęć oraz kilka akwarel współautorki. W ten sposób powstała książka, z jednej strony bardzo osobista, ale z drugiej też uniwersalna, wyrażająca nastroje i tęsknoty tysięcy Polaków, którzy w różnych celach wyruszają w podróż za Ocean aby na własnej osobie doświadczyć snu o Ameryce,

a przy okazji odwiedzić licznych krewnych w Stanach Zjednoczonych, którzy niemalże znajdują się w każdej polskiej rodzinie. Książka przetłumaczona jest także na język angielski i niejako dedykowana dla licznej Polonii w Ameryce, ale też i na całym świecie. Zapraszamy do lektury „Listów za ocean”, szczególnie w czasach internetu i smartfonów, gdy zwykłych listów już prawie nikt nie pisze – sprzedaż i wysyłka możliwa jest na cały świat.

Krystyna i Włodek Gąsiewscy

Więcej: <http://promocja.mielec.pl/listy-za-ocean-letters-over-the-ocean-kolejna-książka-malzenstwa-krystyny-i-wlodka-gasiewskich/>

Na zdjęciu po lewej Bogumiła Kleszczewska siostra autorki



Beata Kedziorek, USA – występująca w listach...



Marcelina Kedziorek, USA – występująca w listach...



Maria Wrobel, USA – występująca w listach...

Listy za Ocean - recenzja z za morza / Letters over the Ocean - review from overseas

Przeczytanie tej książki było dla mnie emocjonalnym i intelektualnym doświadczeniem. Książka jest napisana w bardzo unikalnym i interesującym gatunku, którego od dawna nie widzieliśmy na półkach. Łączy w sobie kilka dyscyplin literackich i artystycznych, które zmuszają czytelnika do dalszego czytania książki i nie zatrzymywania się w środku. Utwór jest mieszanką minimalistycznej poezji przepełnionej słowami płynącymi z serca. Treść książki składa się z listów wysłanych ze Stanów Zjednoczonych do Polski przez Krystynę, żonę Włodka, oraz korespondujących z nimi listów z Polski do Stanów Zjednoczonych napisanych przez męża Krystyny. W tle artystyczne obrazy, które delikatnie malują delikatnymi pociągnięciami pędzla doświadczenia, przeżycia Krystyny w Stanach Zjednoczonych, a dla podkreślenia siły obrazów przedstawione są również fotografie.

Kompilacja gatunków; wiersze, listy i obrazy opisują codzienne życie Krystyny. Ona sama bardzo szczegółowo opisuje drobne, pozornie błahe sprawy z jej codziennego życia w USA, odwiedzanie członków rodziny, praca w domu, opieka nad dzieckiem, opisy świąt i obyczajów amerykańskich, wyjazdy do znajomych i więcej i więcej. Poezja często zawiera opisy przyrody, mgły, mew, wschodzącego słońca i nie tylko. Codzienny opis, który czasami wydaje się uproszczony, banalny, a czasem nieistotny, w wyjątkowy sposób, potęguje tęsknotę między parą. Pomysł dzielenia się codziennymi wydarzeniami namacalnie pokazuje szczególną więź między parą, wielką miłość, która jest przekazywana w każdej linii. Znaczenie ma również nazwa książki i wyodrębniając Ocean w tytule, Włodek używa oceanu jako metafory dla dużej, rozległej, pełnej niebezpieczeństw przestrzeni, wielkiej odległości, jaką ocean dzieli między Polską a Ameryką. Jedyнным sposobem na zmniejszenie dystansu jest pisanie o tęsknocie, wspomnieniach, a zwłaszcza o miłości między małżonkami. Dysonans między wielkim oceanem a tęsknotą i miłością między mężem, rodziną, przyjaciółmi i krewnymi jest istotą książki. Historia codziennego życia poprzez poezję i listy nadaje wyraz i piękno wspaniałej relacji Krystyny i Włodka.

Zafrira Malovany Shmukler - Tel Aviv-Jafa, Izrael

Rodzice autorki recenzji przed wojną mieszkali w Pułtusku, rodzinnym mieście współautora książki - Włodek Gąsiewskiego. Pani Zafrira jest przewodniczącą Stowarzyszenia Pułtuszczyków w Izraelu oraz stowarzyszeń dialogu Żydów i Polaków w Pułtusku i Janowie Lubelskim. Jest także emerytowaną nauczycielką literatury szkół w Izraelu. Była też instruktorem konsultantów edukacyjnych w Ministerstwie Edukacji Izraela oraz współautorem książki „Life Skills”, która jest nauczana we wszystkich instytucjach edukacyjnych w Izraelu.

<https://www.facebook.com/nadwislocze/>

While reading the book I had an emotional and intellectual experience. The book is written in a very unique and interesting genre that we have not seen the likes of which for a long time the bookshelves. It has a combination of several literary and artistic disciplines that compel the reader continue to read the book and not pause in the middle. The work is a blend of minimalist poetry suffused with words flowing from the heart. The body of the book is composed of letters sent from the United States to Poland by Krystina, Wlodek's wife, and the corresponding letters from Poland to the United States written by the husband Wlodek. In the background are artistic paintings that gently paint with delicate brush strokes her experiences in the United States, and to accentuate the power of the paintings, photographs are also taken.

The whole complex of the genre, the poems, the letters, and the paintings describe the everyday life that Krystina experiences. She describes in great detail the small seemingly insignificant matters of her every-day life in the US, visiting family members, work at home, childcare, descriptions of American holidays and customs, trips visiting friends and more and more. The poetry often contains portrayals of nature, fog, seagulls, rising sun and more. The daily description that sometimes seems simplistic, trivial and sometimes irrelevant in the unique way intensifies the longing between the couple. The idea of sharing the daily events tangibly shows the special bond between the couple, the great love that is conveyed through each and every line. The name of the book also has meaning and by singling out ocean in the title, Wlodek uses ocean as a metaphor for a large, wide space, full of danger, the great distance that the ocean separates between Poland and America. And the only way to reduce the distance is by writing about the longing, the memories and especially the love between the couple. The dissonance between the great ocean and the longing and love between the husband, family, friends and relatives is the essence of the book. The story of everyday life through poetry and letters gives expression and beauty to the wonderful relationship of Krystina and Wlodek.

Zafrira Malovany Shmukler - Tel Aviv Jaffa Israel

Before the war, the author's parents lived in Pułtusk, the hometown of the co-author of the book - Włodek Gąsiewski. Ms. Zafrira is the president of the Pułtuszczyków Association in Israel and the associations for dialogue between Jews and Poles in Pułtusk and JanówLubelski. She is also a retired teacher of literature from schools in Israel. She was also an instructor for educational consultants at the Israeli Ministry of Education and co-author of the book „Life Skills”, which is taught in all educational institutions in Israel.

Recenzja almanachu **Antologia na 40-lecie RSTK w Rzeszowie**

W 2020 roku, mija czterdzieści lat istnienia Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie. Niestety, już w marcu zaczęły się w Polsce poważne ograniczenia związane z rozszerzającą się epidemią koronawirusa. Wszystko zostało zatrzymane – zakaz wszelkich spotkań i zamknięcie społeczeństwa w domach, stawało pod wielkim znakiem zapytania możliwość uroczystych obchodów, tak ważnego dla nas – członków RSTK, jubileuszu. Aby jednak w jakiś sposób uczcić i zaakcentować w środowisku naszą 40-letnią obecność, postanowiliśmy wydać okazyjny almanach.

W sierpniu br. ukazała się „Antologia na 40-lecie RSTK w Rzeszowie”, opracowana przez Barbarę Śnieżek – kierowniczkę Sekcji Literackiej, w której we wstępie, napisanym przez redaktorkę wraz ze Stefanem Michałem Żarowem, została przedstawiona historia Stowarzyszenia oraz ogólny zarys jego funkcjonowania aktualnego i z ostatnich kilkunastu lat. Almanach ten zawiera wybór twórczości kilkunastu autorów, wraz z ich biogramami. Znajdują się tam wiersze Jadwigi Buczak, Stanisławy Bylicy, Urszuli Czyż-Wysokińskiej, Stanisława Dworaka, Teresy Glazar, Anny Kocór, Eweliny Agnieszki Łopuszańskiej, Agnieszki Niemiec, Grażyny Sordyl, Zdzisława Stokłosy, Małgorzaty Szepelek, Iwony Szeteli, Barbary Śnieżek, Władysława Waltosia, Stefana Michała Żarowa. Jest przedstawiony fragment aktualnie pisanej powieści Jerzego Stefana Nawrockiego pt. *Ścieżka do wieczności* i fragmenty powieści Marii Rudnickiej *Szepty przeszłości* na ulicach Lwowa oraz nowela Duży Jadwigi Buczak, a także fragmenty scenariuszy widowisk teatru plenerowego „Imaginacja” Agnieszki Niemiec do sztuk: *Legenda o smoku wawelskim*, *Flet zaczarowany*, *Jak to ze Inem było*. Opracowanie zamyka Galeria zdjęć, przedstawiających różne działania wszystkich członków naszego Stowarzyszenia: uroczystości, spotkania, wernisaże, wystawy, plakaty, stoiska z wieloraką twórczością.

Zamieszczamy recenzję najnowszego almanachu rzeszowskiego RSTK, napisaną przez prof. dr hab. Marka Nalepę z Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Barbara Śnieżek

Marek Nalepa

„Rubinowy” jubileusz Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie

Dedykuję Artystom

Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie.

1. „pożeglować jeszcze/ po bezmiarze wyobraźni” (Stefan M. Żarów, *wolność*)

Od ponad dwóch stuleci naturę przeciwstawia się kulturze, jako szczególnej formie aktywności człowieka polegającej na oswajaniu i zdomawianiu najpierw ziemi, ostatnio też kosmosu. Powracające co jakiś czas epidemie (niektórzy uważają, iż w sposób cykliczny) zadawały kłam tym uzurpaczom, udowadniając, że kultura jest ledwie drobną częścią natury, podporządkowaną jej rytmom i kaprysom. Człowiek więc może marzyć o kolejnym locie na księżyc, o pierwszym na Marsa, o wysłaniu sond kosmicznych na obrzeża Układu Słonecznego, o zasiedlaniu niedodkrytych planet, wystarczy jednak uaktywnienie się maleńkiego wirusa („jakiegoś feleru”, jak czytamy w wierszu Stanisławy Bylicy) pokrytego osłoną białkową z brunatnymi wypustkami, aby to wyobrażenie o ludzkim dorobku nadwyreżyć i wskazać człowiekowi „sięgającemu gwiazd” jego miejsce, nie tyle we wszechświecie, ile w robaczywiejącym jabłku, jak nazwał „planetę ludzi” Wolter. Jedną z autorek antologii tak owe ograniczenia scharakteryzowała: *Nie masz wpływu na kulistość Ziemi i bieg historii*. Urszula Czyż-Wysokińska, *Masz wpływ*. Tym sposobem marzenie o podboju nieba zamienił ów maleńki biologiczny podróżnik w marzenie o przyrodzonym, jak już twierdzili pisarze osiemnastego wieku, prawie wolności, ignorowanym na co dzień, podobnie jak zdrowie: *Zamarło miasto, w mieszkaniach ciasno –Marzymy o wolności*. Barbara Śnieżek, *Panie, ratuj!* Niektóre wiersze zgromadzone w *Antologii na 40-lecie RSTK* uznać można z współczesną formę suplikacji, aczkolwiek zdarzają się tu też głosy frustracji, zamaniestrowane *expressis verbis*, choćby w taki sposób: *Areszt domowy tej wiosny?/jedni z różańcem,/ w boleści,/ inni w złości*. Stanisława Bylica, *Bóg Jedyny wie*. Zresztą w ogóle w omawianym zbiorze frekwencja wierszy modlitewnych jest stosunkowo duża, zwłaszcza adresów ekspacyjnych i błagalnych, kierowanych do Boga, Maryi i aniołów stróżów.

Przyciąga uwagę swoim tonem scenka Małgorzaty Szepelak, dająca asumpt do przypomnień fragmentów wierszy Poświatowskiej, Szymborskiej, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej – o trwaniu kobiety w „pięknych przyzwycajeniach”, mimo dramatycznych okoliczności: *Biegnę w maseczce ochronnej/ Iwmijanychoknachiwitrynachsprawdzam/Czymiwniejdotwarzy/ W maseczce jej do twarzy*. Ukrywanie w sobie wirusa poprzez maseczkowanie ust i nosa wykorzystane zostaje przez niektórych twórców, jako synekdocha rzeczywistości (zamaskowanego świata) albo okazja do przypomnienia antropologicznych skojarzeń tego motywu, najbardziej znanych z prac Julii Kristejev. Niektóre maski, jak twierdziła bułgarska badaczka, doskonale przylegają do wybrzuszeń i wgłębień twarzy, inne radykalnie do nich nie pasują, tworząc schizofreniczne przestrzenie obcości między tym, co pokazywane, niekiedy maskowane, a tym, co skrzętnie utajniane. Tak owe związki i wykluczenia scharakteryzowała Urszula Czyż-Wysokińska: *Budzisz się i zakładasz maskę/ Płaczu lub (u)śmiechu//Próbujesz zrozumieć powody i przyczyny/ Myśli doprawiasz/krztyną cynizmu z dwoma uncjami ironii/i kuśtykasz w labiryncie substytutów prawd//Kładziesz się./Nie zdejmujesz maski –/przyda się jutro, by zrozumieć życie/Maska*.

Poeci RSTK dostrzegają wagę zmian nie tylko gospodarczych czy zdrowotnych związanych z „morowym powietrzem” 2020 roku, ale przede wszystkim kulturowych, wzbudzających procesy nieprzewidywalne i niepoddające się jakiegokolwiek kontroli. Tym razem bowiem nie zbrojni „barbarzyńcy” decydują o owych przemianach i przełomach, ale mały krętek w koronie zakładający swoje królestwo w ludzkim ciele, wiskający się podstępnie w płuca, serce, wątrobę, gałki oczne. Rzeszowscy twórcy przewidują więc, że wyjdziemy z pomoru zdziczali, zmęczeni, poranieni, jeszcze bardziej samotni niż przed marcem tego roku, bardziej milczący, nieobliczalni, egoistyczni, niezdolni do korzystania z dobrodziejstw kultury w sposób utrwalony stuleciami, przede wszystkim zaś techno- i biurokratyczni. Jakież mężczyzna po ustąpieniu pandemii pocałuje dłoń kobiecą? Może w ogóle zmienią się radykalnie gesty przywitań i pożegnań, może wystarczą ludziom kontakty online – sąsiedzkie, zawodowe, „zajęcia online/ wpisy online/ indeksy w chmurze” (Stefan Michał Żarów, *śródmiejskie on-*

line).Może też przetrwają i nową funkcję otrzymają maseczki zakrywające twarz, z których jednak będą musieli zrezygnować *hooligansi*, aby zachować swą tożsamość i nadal wyróżniać się wśród zwykłych zjadaczy chleba. Wirus piętrzy stopnie samotności, dotąd raczej „jednoimiennej”, szarej i powszechnej towarzysze codzienności. Pisze Ewelina Agnieszka Łopuszańska: *najbardziej samotna/ jestem we śnie/sama sędzią w swojej sprawie/bez słuchacza zwierzeń/nocą czuвам w muszli miasta/ słuchając odgłosów/ wysp bezludnych*. To znów Grażyna Soryl skarży się na samotność czterech ścian, o które jej kobiecość i potrzeba „drugiego” „kaleczy” się co rusz: *Chciałam kupić dom z krzywymi oknami/ Ale nie mam z kim w nim zamieszkać/ Więc musi mi wystarczyć/ Ten pusty pokój/ Gdzie samotnością się duszę*. Samotność osłabia jednak wolę i duszę. Niedaleko stąd już do skrajnych sytuacji bycia człowiekiem, o których tak pisał Joseph Conrad: „[...] niepodobna dać komuś żywego pojęcia o jakiegokolwiek epoce swego życia – o tym co stanowi jej prawdę, jej znaczenie – jej subtelność i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak jak śnimy – samotni...”. Pojawia się też w kilku wierszach pragnienie wytchnienia we śnie, odpoczynku od jawy, takiego jakiego u schyłku życia pragnął Norwid („[...] coraz łatwiej przychodzi powiedzieć./ Ze snu się budząc: «Wróćmyż znów do snu»”). Tymczasem w morowym szumie medialnym jest wszystko: przestroga, złe wróżby, przeklinanie, zastraszanie, pokazywanie palca – języka już nie, bo usta maseczką zasłonięte – apele, modlitwy, pogarda, bunt, wściekłość, cynizm, ironia. Panika epidemiczna zaprawia wszelkie dziennikarskie sprawozdania i relacje treściami naddanymi, nie tylko politycznymi, ale też religijnymi oraz obyczajowymi czy nawet gospodarczymi, mniemaniami o tym, że, cytując klasyka, „Moja jest tylko racja i to święta racja. Bo nawet jak jest twoja, to moja jest mojsza niż twojsza. Że właśnie moja racja jest racja najmojsza!” (*Dzień świra*). Z kolei potwierdzeniem „mojej racji” stają się tłumy na ulicach, a jeszcze częściej ściany równiutko poukładanych książek, na tle których najchętniej pozują jej apologety i nosiciele. Ten nadmiar bitów i informacji prowadzi do marzenia o wyłączeniu się z rzeczywistości mediów, na które skazany jest człowiek w czasach morowego powietrza. A uciec można jedynie w Norwidowski sen lub wyobraźnię. W powieści Borysa Pasternaka jej tytułowy bohater opuszcza zrewolucjo-

nizowaną Moskwę i chroni w rodzinnym majątku w Warykinie, gdzie w nieogrzewanej izbie, przy siarczystym mrozie, schylony nad oszronionym biurkiem zapisuje swe najważniejsze, jak się okaże, wiersze, uwalniając wyobraźnię od okowów okrutnego porządku społeczno-politycznego. Podobny sens ma zamieszczone w antologii RSTK opowiadanie Jadwigi Buczak *Duży*, którego protagonistka Joanna również opuszcza miasto dla „dwóch miesięcy spokoju i ciszy”; „dwóch miesięcy bez makiżaju, w ulubionym rozciągniętym swetrze i wytartych dżinsach”. I Duży i Joanna zostają jednak brutalnie wyrwani ze swojego poetyckiego azylu i ponownie wtrąceni w świat, od którego chcieli odetchnąć, gdyż każdy człowiek potrzebuje pauzy intymności, schronienia się we własnym kokonie, szczególnie w czasach narzucających ekstrawertyzm jako najskuteczniejszą społecznie postawę wobec świata zewnętrznego. W 1801 roku Fryderyk Schiller pisał do swojego przyjaciela w wierszu *Początek nowego stulecia: Musisz uciec od nacisku zdarzeń/W cichą serca twojego świątynię:/Wolność jest jedynie w kraju marzeń,/Piękno w pieśni zakwita jedynie.* (przeł. Mieczysław Jastrun).

2. „Świat jawi mi się jako miejsce pełne obietnic” (Małgorzata Szepelak)

Czasy morowego powietrza dają okazję do podobnej izolacji, choć nie jest ona ani wyborem ani tym bardziej wyrachowanym eskapizmem. Izolacja ta uaktywnia twórcze poczucie wolności, które w poprzedniej antologii RSTK, zredagowanej przez śp. Józefa Kawalka, nazwane zostało „przestrzeniami wyobraźni”. Jakie są więc owe „przestrzenie” poetów rzeszowskich w ich liryce powstałej wiosną 2020 roku lub w wierszach z wcześniejszych lat, których wybór motywowała zapewne nowo kształtująca się przed kilkoma miesiącami sytuacja egzystencjalna? O procesach osvajania się z ukoronowanym wirusem oraz o modlitwach na czas moru już wspomniano. Wraz z nimi wybija się w zbiorze problematyka regionalna. Już tytuły wierszy: *Rzeszów; Bieszczadzki świt; Bieszczadzki koncert; Na bulwarach Wistoka; Leopold Lis-Kula; Uroki Podkarpacia; śródmiejskie online, Cafe bar Murzynek; Na przyszły lub niedoszły pomnik Szajny*; nie pozwalają czytelnikowi mieszkającemu w stolicy Podkarpacia przejść obok niej obojętnie. Najcenniejsze w tej grupie

utworów są jednak te, które operują treściami niedosłownymi, lecz dystynkcjami wyobraźni regionalnej, wskazującej na szczególny związek pisarza z miejscem swego zamieszkania (czy niekiedy także urodzenia). Nie jest więc w nich ważna onomastyka, nazwy geograficzne czy administracyjne czy konkret historyczny, lecz treści z reguły nieuświadomione, implikowane lub czasami w ogóle niewyrażone, pozasłowne albo międzysłowne (zob. wiersz *międzysłowie* Stefana M. Żarówa). Badacz literatury podkarpackiej Józef Nowakowski pisał przed laty: Regionalizm i prowincjonalizm są immanentnymi zasadami twórczości literackiej. W tym sensie każda twórczość literacka, a szczególnie poezja, może być traktowana jako regionalna, a więc ograniczona pamięcią twórcy zespolonego zakreślonym miejscem i czasem – narzucających się wyobraźni ze szczególną siłą. Przyjęte wzorce kulturowe nie potrafią stłumić owych pierwszych wzruszeń, lecz jedynie służyć mogą za narzędzie wnoszące owo regionalne „napiętnowanie” treści do rangi uniwersalnego znaczenia. Kraj lat dziecięcych, tak żywy w twórczości każdego autentycznego poety, jest ową „wyspą błogosławioną”, „czarodziejską ziemią” pierwotnych, naturalnych, nieskażonych sposobów odczuwania. Region w znaczeniu określonego miejsca na ziemi obrasta historią, tkanką zdarzeń i przedmiotów. Typy ludzkie i wytwory kultury tworzą osobliwy koloryt ziemi. W tym sensie strój, gest, twarz ludzka, rytuał obyczajowy zamknięty w magii słów zasłyszanych, zapamiętanych i dogłębnie przeżytych wchodzi do poezji jako element regionalny. Treści z tego nurtu wydobyte mają często w poezji niecodzienną moc oddziaływania, są podstawą sądów wartościujących, sądów o autentyczności przeżyć i podstaw twórczych. Oczywiście nie idzie tu tylko o tematyczne i czysto opisowe nawiązanie do pejzażu stron rodzinnych, co jest również wyraźnym dowodem mocy owych pierwszych wzruszeń i „świętego, czystego kochania”, chodzi zaś o te elementy wyobraźni, które niezależnie od tematyki żyją w strukturze poetyckich utworów często, jako składnik nieuświadomiany sobie i przez twórcę, i przez odbiorcę poezji. *Motywy rzeszowskie we współczesnej poezji.*

W najnowszej antologii RSTK mamy więc wiersze z wyraźnym zaznaczeniem regionalnej, podkarpackiej perspektywy myślenia o przestrzeni własnego w niej udziału i uczestnictwa. Często są one nacechowane postrzeganiem i doświadczaniem

wielozmysłowym. Na przykład w wierszu *Zaraza* Agnieszki Niemiec wrażliwość poetycka autorki wyraźnie zostaje wpisana w holistycznie ujęty „krajobraz serca”: *Od jakiegoś czasu wydało mi się, / że już od dawna mam spakowaną walizkę / i jakby co – mogę stąd bez żalu odlecieć, / bo i tak nie było tu nigdy dla mnie miejsca / (Dla tej małej, wrażliwej dziewczynki, którą w sobie noszę). / Ale kiedy nagle przyszła zaraza / i nie wiadomo było / czy jutro będziemy jeszcze mogli być, / zrobiło mi się żal, że nie zdążę zobaczyć, / jak seledynowa, wiosenna mgła / siada na brzozy za domem. / A co z kaczeńcami w olszynie – / przecież tyle czasu czekałam na nie – a one na mnie. / Czy już nigdy nie pójdę boso / po rozgrzanym piasku na mojej polnej drodze... / Zrozumiałam wtedy, / że tak naprawdę, nigdy nie będę gotowa / stąd odejść.* Obecny tu motyw spakowanej walizki od dawna mnie fascynuje; zawsze byłem gotowy do podróży dalej lub bliżej, tej z wyboru oczywiście, przekonany, że wyjazd jest najważniejszą formą uporządkowania – jakiegokolwiek: emocjonalnego, gospodarczego, egzystencjalnego i przede wszystkim duchowego. Inna rzecz, że nigdy walizki, nawet na kółkach, nie miałem... W kilku utworach antologii wyobraźnia regionalna organizowana jest na interesującej strategii – wpisywanie muzyki w podkarpacką przestrzeń lub rozpoznawania tam jej obecności. Tak ma się rzecz choćby w *Kresowym tangu*; *Bieszczadzkiem koncercie*; *Dzikiej melodii* czy *Suicie anioła*. Kiedy indziej regionalizm wyraża się poprzez dosłowność zaakcentowaną doraźnością i okolicznościowością (zob. wiersze Stanisława Dworaka). Niewątpliwie najwięcej uroku w omawianym zbiorze mają liryki autorstwa Zdzisława Stokłosa, tchnące magiczną i surrealistyczną wyobraźnią. Muszę ze wstydem wyznać, iż dopiero dzięki antologii poznałem twórczość tego poety, na co dzień zatrudnionego w firmie samochodowej. W swoich wierszach rezygnuje on z estetyki mimetycznej na rzecz kreatywnej, subiektywizującej opisywaną czasoprzestrzeń; elementy realizmu przeplata z baśniową fantastyką, groteską, humorem i regionalnym folklorem. Stokłosa umie oczarować czytelnika poetyckimi rozbłyskami w postaci oryginalnych skojarzeń i sugerowanych związków znaczeniowych, wykluczających się wzajemnie na poziomie dosłowności. Ta magia i alchemia słowa rzeszowskiego pisarza przypominać może księżycową wyobraźnię Konstantego Ildefonsa Gałczyń-

skiego (np. „Dopiero gdy księżyc wszędzie...”; „A kiedy noc otworzy się jak brama...”; *Księżyc* czy Andrzeja Bursy (np. „Zgaśnij, księżycu...”). Stokłosa także, jak poeci krakowscy, ma w swoim dorobku cykl księżycowy. Jego bohater jest tu psotnikiem dokuczającym chmurom, to znów włóczęgą niebieskim zagląającym przez okna do ludzkich domostw, urealniania i ukonkretniania marzenia „zawieszona na rogaliku małym”, zakochuje się „występną miłością” w najjaśniejszej gwiazdzie itd.). Stokłosa jest jednak przede wszystkim malarzem krajobrazu – dynamicznego, niekiedy rozpędzonego, rozedrganego dźwiękami kakofonicznej muzyki i tańcem. Oto próbka jego niebanalnych umiejętności w tym względzie:

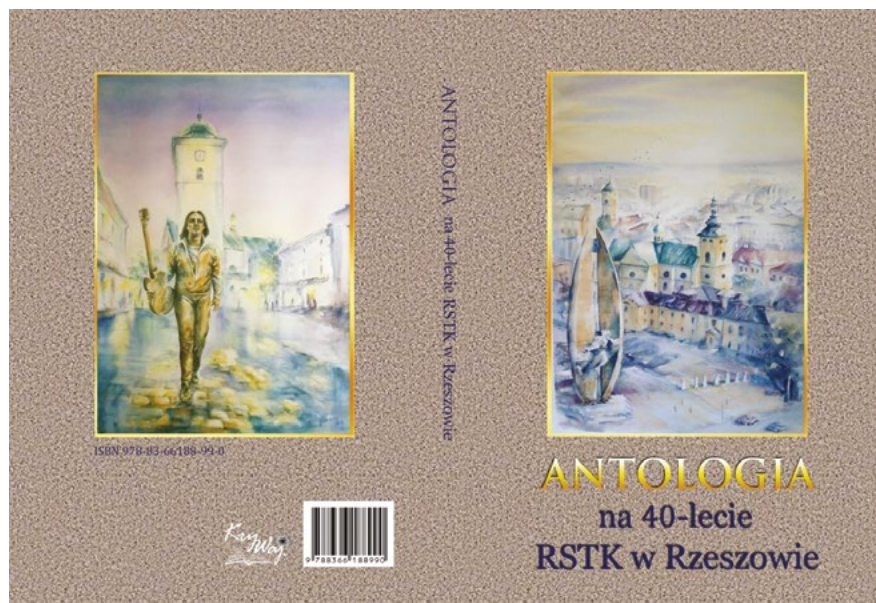
tu wiatr wirtuoz, niewidzialnym smykiem, / na strunach zbóż wygrywa suitę, / komar sopranem, altami pszczoła / a trzmiel basami pieśń podchwyci, / tenorem świerszcz etiudę nuci, / chór żab próbuje go zagłuszyć. / Wróble, wśród krzewów gęstych kiści, / wtórują w takt szelestu liści, / mistrz słowik, głosem ćwiczy frazy, / by nocą koncert dać bez skazy. // Zaś rankiem, gdy opadnie mgła, / pośród dojrzałej już zieleni, / na scenie łąki kwiatów barw, / kiedy ją słońce opromieni, / wśród traw, co świeżość swą zyskały w nocy, / wdzięcznie, leciutko, bezszelstnie / taniec swój rozpoczyna – motyl.

3. „profile twórców/ pęczniejących na podkarpackiej ziemi” (Stefan M. Żarów, *dwa wiersze siedzące w mojej głowie*)

W egzystencjalnym poetyckim dezyderacie jego autorka Urszula Czyż-Wysokińska formułuje taki oto postulat: „*Nie pisz / jeśli nie chcesz pieścić liter*”. Jak sądzę, zdecydowana większość wierszy zgromadzonych w jubileuszowej antologii RSTW ten wymóg realizuje. Można uznać, że otrzymały one podwójną kuratelę twórczą ich autorów: talentu i rzemiosła. Są ewokacją wyobraźni podkarpackiej, a równocześnie uaktualniają ów regionalizm do ram 2020 roku. Znajduję w antologii wiele interesujących zestawień składniowych i stylistycznych, sygnałów intymnego zamanifestowania obecności podmiotowo-autorskiej. Może w związku z tym zaskoczę Jadwigę Buczak, gdy dodam, iż wbrew jej pesymistycznym przewidywaniom (*Analiza wiersza*), znajduję też serce wierszy zamieszczonych w tym

tomie, a więc także serce ich twórców; marginalnie natomiast „szczytne ideały/ odezwy/ przesłania/ alleluja”. Ryszard Krynicki napisał kiedyś: *Bój się Boga/ Którego nie ma/ W twym sercu*. Można te słowa na różne sposoby parafrazować, mając na uwadze konkluzję wiersza Jądwigi Buczak, np. „Bój się wiersza/Którego nie ma/W twym sercu” albo „Bój się wiersza/ W którym nie ma/ Twego serca”. Wrażliwość – nostalgiczna, wspomnieniowa – często daje o sobie znać u rzeszowskich poetów. Ukierunkowana jest na drugiego człowieka, przyrodę, kulturę, historię albo własną biografię. Pisze Teresa Glazar w wierszu *Wciąż tęsknię* o intymnych doświadczeniach, a jednocześnie o doświadczeniach typowych dla dojrzałych mieszkańców Podkarpacia, także oczywistych dla mnie, ponieważ ilekroć odwiedzam podrzeszowski Zgłobień i chylącą się ku upadkowi chałupę, przenika mnie ta sama, co poetkę melancholia. Tak charakteryzuje ona rodzinne miejsce po latach nieobecności:

*dom pusty nad losem swym/w ciszy pogrążony/ kiedyś tętnił życiem/ były rozmowy/ beztrocki śmiech dzieci/ czasem śpiew przy rodzinnym stole/ sąsiedzi siadali przed swymi domami/ nucąc razem z nami//a dziś... Podobna wyobraźnia tęsknoty za minionym przenika i organizuje piękny liryk Jarosława Iwaszkiewicza *Odwiedziny miejsc ulubionych w młodości*, który warto przypominać, szczególnie w czasach rozkrzyczanych ulic, mównic i ambon, gwałtownych gestykulacji przywódców, moralistów i mentorów, a dodatkowo zamkniętych drzwi, zastknię-*



tych okien i ust; czasach odchodzenia w pamięć starego świata, jak to się dzieje przy każdej pandemii, i nadziei na nowy świat. *Wilgotne, zimne i groźące deszczem/ Przepływają obłoki – jesienne łabędzie./ Przychodzę tutaj znowu, by zobaczyć jeszcze,/ Czy mnie ten zmarły obraz bardzo wzruszać będzie.//Bez smutku i bez żalu oglądam strumienie,/ Gdzieśmy niegdyś gromadnie roili się nadzy,/ Ściernie runię porośle, zagaję, kamienie,/ Drzewa w górę wyśmięte, ścieżki, drogi, miedze.// Dom chyli się do końca, dąb schnie od wierchołka,// Ogród w las się zamienił, a woda w szuwar,// Gdzie dawniej staw szeroki, dziś wilgotna łąka,/ Każdy kąt teraz cichszy, obcy, bardziej szary.// Woda płynąca rzeczki uniosła widoki/ Dawniejsze, na swej szklistej powłoce odbite,/ Nic nie zostało z tego – tylko te obłoki/ Zawsze w stado pierzaste i pierchliwe*

zbite.//Przeminęło. Zamknięte. Skończone. Na wieki!! Nie wstrzymuję tej wody. Odpływa, odchodzi, Niechże bieży, gdzie giną wszystkie, wszystkie rzeki,/ Stary świat się pochylił, inny dzień się rodzi.// I kiedy, obcy tutaj, przemierzam ugory,/ Patrzę, jak las, świerkowy śpi w zielonym futrze,/ Niżeli dawną miłość, wyblakłe ubiory,/ Wolę ten wiatr dzisiejszy i myśli o jutrze.

prof. dr hab. Marek Nalepa

Antologia na 40-lecie Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie, red. Barbara Śnieżek, oprac. i projekt okładki Krystyna Wajda, akwarela na okładce Wioletta Cielecka, Rzeszów – Koszalin 2020, ss.228.

Stefan Żarów

Wiersze

wypadki wczesnowiosenne roku 2020

rozmawiam z doktorem Bernardem Rieux
wspominamy pierwsze oznaki
tego co miało przyjść później
To co się zdarzyło

polemika skraca czas
płynne przekracza Rubikon

wzrastają liście
wiosnę pokrywa przebudzenie kosa

Oran był miastem bez podejrzeń
na wskroś nowoczesnym
takim jak nasze miasta

obydwa wystrzegamy się drobiazgowości
szczury a nietoperze
wyjątek stanowił brak szerokopasmowego
internetu
taki szczegół
obecnie istotny w okresie pandemii

Rzeszów 2020 r.

mostek w Giverny

zachód słońca
kładzie purpurę na nenufarach
płonie wodna tafla
bieli
różu
kremu

dojrzałe ginkgo i owoce japońskich drzewek
pokrywają nieboskłon
irysy
tuberozy
róże
pomieszkują na blejtramach paletą barw
wędrują strzeliste topole
okalające dotąd nurt rzeki Epte
lato kładzie cienie nadchodzącej jesieni
Monet odłoniwszy świat wodnych dywanów
kreuje mistrzowskie impresje

Normandia - Giverny 2019 r.

dotknąłeś mnie wzrokiem

Janowi Pawłowi II

dotknąłeś mnie wzrokiem
kiedy słońce
wznosiło się nad nami
pomiędzy Wawelem i Skałką
w tłumie wolnych
podniosłem głowę

dotknąłeś mnie wzrokiem
kiedy zagubiony
porozwieszany
w przestrzeni irracjonalności
rozrywany idee fixe
stałem na progu dojrzałości

dotknąłeś mnie wzrokiem
przenikającym spojrzeniem
blaskiem
pośród zaciekawionych
rozmodlonych ludzi
spotkałem przyszłość

dotknąłeś mnie wzrokiem
kiedy za prawdę w bólu
powalony na bruk
uwiarygodniłeś pastuszków
doznałeś ciosu
z ciemnej strony bytu

Kraków 1981 r.

międzysłowie

wspomnienie Juliana Przybosa

Patria
światło Gwoźnicy
energetyczne przenika przestrzeń
wyzwała ekspresję
wypełnia laboratorium języka

skondensowane obrazy cieni
rozbłysków aluzji
wizja poezji
abstrakcyjność zdarzeń
codzienna wędrówka pod strażą witraży
twoich
moich
świtach przebudzenia

czerwień mieni się z rudością blasku
nikłe promienie dopalają codzienność
oczy nadal skierowane na marzenia
wewnętrzna ekspresję
emanację słów

Gwoźnica Górna 1979 r.

KRZYSZTOF KWASIŹUR



KONIEC

młodość przychodzi z wiekiem
wraz z oglądanymi wspólnie zachodami słońca
z roku na rok dłużej zastanawiam się co odpowiedzieć
kiedy mi mówisz Kocham cię
i zawieszasz głos jak gdyby odpowiedź była obligatoryjna.
patrzymy w ten sam punkt w oddali
niewyraźną kropkę na horyzoncie.
kłócimy się.
jeszcze niedawno przepadałem za twórczą wymianą
poglądów
teraz wiem co powiesz, czego nie mówić i czego oboje
nie wiemy.
Starość przychodzi
wraz z końcem miłości.
Siedzimy na huśtawce zatopieni każde we własnych
myślach

byłem zmurszałą łajbą
którą ocean słów przerzucał od bytu do niebytu
jak ciężko zarobiony szeląg

między twardymi palcami kiedy go wydać przyjdzie
złożone w trwodze dłonie chwyciły się brzytwę epitetów
by ciąć na odlew

Stworzenie

tym razem się nie udało,
świat pełen niedoskonałości,
stworzenia niewarte cudów,
tylko mało i mało

kary? ile można karać?
wszak - gdy dziecko nieposłuszne,
krnąbrne i bezduszne -
gdy nie ma za co nagradzać

rodzic traci do niego serce.
zostawię ten świat
i adamowe plemię,
trudno, poniosłem klęskę

niech się sami
sobą zajmują.
ja zajmę się
innymi światami

ZNÓW

Zatem znów, mój Boże wyciągnąłem ręce,
żebyś chwycił je z góry i pociągnął mocno,
bo masz większe niż ja, pojemniejsze serce
i to ja, a nie ty, siłę się na wzniosłość.

Jeśli chcesz położyć na mym garbie ręce,
zrób to, a pobiegnę z bólu wyleczony,
to nic, że znów obiecuję, że nie będę więcej.
Jutro znów przybiegnę, byś przegnał demony.

Krzysztof Kwasiźur biogram:

<https://zlp.rzeszow.pl/kwasizur.htm>

Poezja

Jolanta Michna Wiersze

Korona - wirus

narodził się spodziewanie bądź niespodziewanie
wkroczył pomiędzy żyjące istoty
bawi się tańczy zagląda prosto w oczy
pokazuje człowiekowi jego ułomność i śmieszność

kulista śmierć niczym słońce z rażącymi promieniami
zbiera żniwo przypadkiem
trudna decyzja wyboru walka o życie zbliża i
oddala

kto tak naprawdę w tej grze wygrywa a kto
przegrywa
kiedy nierówne szale wagi uginają się
pomiędzy kolejną niepewnością
3.04.2020

w Twoich ukochanych górach
zabłysło światełko wiary i miłości
jako pamiątka lat przebytych szlaków
stęsknione serce pełne spokoju
przeplecione delikatną wstęgą nadziei
spogląda na ukochane owieczki
na krzyżu pozawieszane słowa
powiewają w takt Barki
a wiatr niesie melodię daleko
po wszystkie krańce na ziemi

w Twoich ukochanych górach
pozostawiłeś święte niezatarte ślady
po to byśmy chadzali nimi codziennie
i tak jak Ty Ojczye niewidzialnie
przenikasz wszystko dookoła
nie raniąc stóp
zmiierzali do jedyne go celu

ukłękli jako niestrudzeni wędrowcy
w pocie czoła oddali głos
Najwyższemu z Najwyższych
2.04.2020

21.37
w 15 rocznicę śmierci Jana Pawła II
niebo rozbłysło promieniami
w Domu Ojca
pośród aniołów Papież Polak
Największy z Rodu Słowian
Patron na trudne czasy
który świat zawierzył
Bożemu Miłosierdziu
niebo rozbłysło gwiazdami
w Domu Ojca
pośród świętych Święty
Nasz człowiek - Wielki Papież
Orędownik u Boga
Syn polskiej ziemi
oddany Maryi całym sercem
zawsze z nami dzisiaj i jutro
2.04.2020

To miejsce
Płacze niebo łzami niepokoju
w strugach deszczu w samotności
idzie placem świętego Piotra
Papież Franciszek Jezuita
wszędzie pusto
jakby to miejsce zamarło
kiedys Jezus też modlił się samotnie
słaba wiara miłość nadzieja
gdzieś w popłochu jak pył przepadły
pod krzyżem Nasz Ojciec hołd
Zbawicielowi oddaje
z kolumny na Rzym i świat
padają słowa błagalne
obudź się Panie obudź
a przecież myśmy spali wtedy i teraz

przeoczyliśmy to co w życiu najważniejsze
czy Bóg będzie dla zagubionego ludu łaskawy
27.03.2020

przymusowy przystanek
zostań w domu nie wychodź
kto by pomyślał
że będzie coś silniejszego
co złamie serce
odetnie drogę
zabierze oddech
skrzywi tok myślenia
i z uśmiechem
pozostawi białą plamę
wewnątrz
24.03.2020

Przyszłam do Twego grobu Jezu
po raz pierwszy i po raz kolejny
pustka uświadomiła mi
że stało się coś niezwykłego
wokół nie było żywej duszy
tylko ja i moja wiara

Przyszłam do Twego grobu Jezu
pomimo dzisiejszych ograniczeń
szalejącej światowej pandemii
zrozumiałam że tutaj znajdę to
co szukam i szukałam
pomiędzy sylabami życia

Przyszłam do Twego grobu Jezu
z sercem pełnym próśb i podziękowań
nic mnie nie powstrzymało
chciałam być blisko miłości
która wybiła się ponad śmierć
odniosła najprawdziwsze Zwycięstwo
12.04.2020



Jolanta Michna - poetka z zamiłowania do poezji. Urodzona w Łańcucie, zamieszkała w Wysokiej k. Łańcuta. Absolwenta TRR w Wysokiej, Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Przemyślu i Wyższej Szkoły Zarządzania w Rzeszowie. Wydała 14 tomików wierszy:

- Nie ma nic bardziej konkretnego jak życie – Bonus Liber, Rzeszów 2012.
- Święteczny prezent – Geokart –International, Rzeszów 2012.
- Co będzie kiedy już mnie nie będzie – Bonus Liber, Rzeszów 2013.
- Na dłoniach nosię życie – Bonus Liber, Rzeszów 2014.
- Pójde w cień za tobą – Bonus Liber, Rzeszów 2014.
- Nienasyce – Miniatura, Kraków 2014.
- Kiedy rano wstaje świt – Bonus Liber, Rzeszów 2015.
- Brzegiem myśli – Miniatura, Kraków 2015.
- Mamy jedno niebo – Sowello, Rzeszów 2016.
- Nocny ślad wierszy – Miniatura, Kraków 2016.
- Pytania otwarte – Pieszycze 2017.
- Nieświadomi procesu ścierania – Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2018.
- Metafory przestrzeni – Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu 2018.
- Miłość z szufflady – Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu 2020.

Jej wiersze ukazały się w licznych antologiach, almanachach, również w czasopiśmie regionalnych, ogólnopolskich i polonijnych (m.in. Głos Gminy Łańcut, Gazeta Łańcucka, Głos Tyczyna, Nasz Dom, Nasz Dziennik, Akant, Gazeta Kulturalna, Radostowa, Biały Orzeł, Bezkrę, Kurier Błażowski, Nasz Przemyśl, Angora). Brała udział w konkursach poetyckich i literackich, współudział w spotkaniach poświęconych poezji. Od kilku lat uczestniczy w Dorocznym Spotkaniu Poetyckim organizowanym przez Centrum Kulturalne w Przemyślu. Prezentowała swoje wiersze na antenie Radia Fara. Jest członkiem Grupy Twórczej Inspiratio działającej przy CKGŁ.

Teresa Paryna

Kiedy przekwitną czarne kwiaty

Kiedy przekwitną czarne kwiaty

Stój.
Nie podchodź!
On tu jest –
czai się w oddechu,
klei się do rąk.
Między nami
dwa metry życia
i góra lęku...

Musimy się rozejść
w naszą samotność.
Niech prowadzą nas
wiera, nadzieja i miłość!

Kiedy już przekwitną
czarne kwiaty tej wiosny,
zatańczymy razem
na zielonej łące
taniec życia,
taniec zwycięstwa!

3.04.2020 r.

Nadzieja nie umiera

Zostań w domu –
inni mają gorzej
po rzęsy zanurzeni w lęku,
wciśnięci w kombinezon



niepewności...

Czy i tym razem się uda?
Na pustych ulicach
zapach wiosny miesza się
z zapachem śmierci.

Czym są teraz wysokie salony,
napuszone elity? –
runęły plany,
padają złudzenia,
trzeszczą w szwach teorie...

Czy to początek
nowej normalności
z respiratorem i maską?

Zostań w domu –
 nareszcie masz czas!
 Napraw co zepsute.
 Nadzieja nie umrze.
 Obiecuje, że już wkrótce
 zdejmiesz rękawiczki
 by założyć pierścionki.

13.04.2020 r.

Koronawirus II

Gdyby nas nie zatrzymał –
 biegli byśmy dalej
 na złamanie karku
 bez tchu i bez sensu...

Wielki Post jakiego nie było!

Zatrzymał się, zwolnił
 świat na krzyżowej drodze –
 w bólu,
 w lęku,
 w gorączce
 szpitali jednoimiennych
 z lekarzem Cyrynejczykiem,
 z pielęgniarką Weroniką,
 z respiratorem i maską,
 z narodowym lamentem...

„Gorzkie żale” pustych kościołów,
 pokuta izolacji,
 gorycz niepewności,
 trwożne milczenie...

Popiół i proch –
 na głowy nasze,
 na serca nasze,
 na życie nasze,
 na ocalenie.

24.03.2020 r.

Zboczem izolacji

Wiosna
 ostrym krzykiem forsycji
 z szarości się dźwiga,
 przechodzi obok,
 za zamkniętymi drzwiami,
 pustą ulicą,
 wyludnionym parkiem,
 zboczem izolacji,
 za szybą,
 za lękiem,
 za wyobraźnią...

Prószy bielą tarniny,
 przebija się seledynem,
 słodko pachnie fiołkami.
 Na kobiercu zawilców
 bez maski i rękawiczek
 pozuje do zdjęć.
 Żaden wirus jej nie zatrzyma.
 Jak przed wiekami
 po Zmartwychwstaniu
 idzie z Chrystusem
 drogą do Emaus.

14.04.2020 r.

Koronawirus

Bez uprzedzenia wymiółł ulice
 miast
 z krzykliwych marszy wolności
 nierównej
 i równości dziwnej.
 Z karnawałowych barwnych koro-
 wodów,
 z tłumów w supermarketach i
 restauracjach.
 Szkoły bez uczniów,
 Teatry bez widzów,
 Stadiony bez kibiców,
 Kościoły bez wiernych...
 Szczelnie zatrzasknięte bramy
 granic.

Stawiamy pierwsze kroki
 w nowej rzeczywistości:
 kupujemy detergenty, zapasy
 żywności,
 lekarstwa i ochronne maski.
 Skrupulatnie przestrzegamy hi-
 gieny
 i zamknięci na cztery spusty lęku
 w klatkach mieszkań
 z zapartym tchem czekamy...
 Nie ważne ile mamy lat –
 pięć, pięćdziesiąt pięć czy sto
 pięć...
 Chcemy żyć! –
 z guzem wątroby, z chorym kola-
 nem,
 z zespołem Downa, z protezą

biodra –
w domu, w sierocińcu, w klaszto-
rze –
po prostu chcemy dalej żyć!

Nagle bez znaczenia marka samo-
chodu,
markowe ubrania, tytuły przed
nazwiskiem,
lista osiągnięć, sława –
chcemy żyć!

Dalszy ciąg będzie pisać ten jeden
maleńki,
co bez zbrojnej armii
teraz niepodzielnie rządzi wielkim
światem.

27.02.2020 r.

Pascha 2020

Święta noc z pełnią księżyca.

Gromadzą się Izraelici
jak my dzisiaj.
Na drzwiach krew baranka –
przejście Anioła Śmierci...
I wyszli z Egiptu –
droga daleka, przez pustynię
przez ogromne morze.
Pascha – przejście z niewoli do
wolności.

Pierwsza wiosenna pełnia księżyca,
taka sama jak wtedy.

Pascha – przejście Chrystusa.
Nagle świat zatrzymał się w biegu...
Puste kościoły,
pełne szpitale,
morze niepewności,
pustynia lęku,
prośba o cud:
„Od powietrza, głodu, ognia i
wojny
wybaw nas...”

Przychodzisz Chryste Zmartwychwstały
z nocy tego świata.
Wchodzisz przez zamknięte drzwi
naszych domów –
Król Życia! Pan śmierci!

Krzyż już tylko
chwalebłą pamiętką.

15.04.2020 r.

**Teresa Paryna urodziła się w So-
śnicy Jarosławskiej. Mieszka i
tworzy w Przemyślu. Jej wiersze
były publikowane w ponad 40
almanachach, antologiach, pra-
sie ogólnopolskiej i polonijnej.
Laureatka wielu konkursów po-
etyckich. Tłumaczona na język
angielski, arabski, białoruski,
czeski, rosyjski, rumuński i ukra-
iński. Jest również autorką ope-
wiałań, prozy poetyckiej i felie-
tonów.**

Opublikowała zbiory wierszy:

- Ziarnkiem prochu, Przemyśl, 1992 r.
- Dotknąć nieba, Przemyśl, 1996 r.
- Obok milczenia, Szczecin, 1998 r.
- Tylko osty, Rzeszów, 2000 r.
- W kwadraturze dni, Starachowi-
ce, 2002 r.
- Z niebieskiej mgły, Szczecin,
2003 r.
- Cienie bliskie i cienie dalekie.
Wiersze wybrane, Rzeszów, 2004 r.
- Z białej ciszy, Jarosław, 2009 r.
- Szlakiem piątej Ewangelii, Jaro-
sław, 2009 r.
- Od bólu do nadziei, Jarosław,
2010 r.
- W porze jaśminowej, Jarosław,
2010 r.
- Piękniejsze od wiersza, Rzeszów,
2012 r.
- Błogosławiony czas, Rzeszów,
2012 r.
- Z paletą dobroci, Przemyśl —
Rzeszów, 2014 r.
- Szlakiem piątej Ewangelii, Wyd.
II, Rzeszów 2014 r.

Więcej o autorce na stronie:

<https://zlp.rzeszow.pl/paryna.htm>

Ryszard Mścisz - *Korona-poezja*

Bóg z pustego kościoła

pusty kościół niósł głos między nawami
na witrażach malowała się zaduma
Bóg nie zachowywał odległości wciąż
był blisko mury ani zarazy nie mogą nic
przeciw niemu podawał upadającym rękę
bez rękawiczek zachował twarz bez maski

msza na odległość obraz którego nie można
dotknąć niczym tęsknota co rośnie w czasie
rozumiem niewierny Tomaszu dotyk jest
jak obecność niekiedy wszak muszą wystarczyć
smutne objęcia oczu

dzwony Zmartwychwstania rezonują
w nas nie ma kwarantanny od Boga
bywają dni gdy przychodzi próba
zapominając że nie wypada w święta

Pandemia

wiersz nie zabija koronawirusa
daje krótką kwarantannę od niego
gdy się rodzi

poezja potrafi zarażać ale nie uśmierca
objawy nie są zbyt uciążliwe odosobnienie
dobrowolne nie wymaga strażników

pisałem kiedyś dom mój azyl
nie wiedziałem że może mieć coś
z więzienia
zamyka razem z bliskimi
ratuje przed śmiercią chorobą
roznoszeniem zła
a jednak wnika do niego ból
przez okno na świat

wirtualny świat może być
bliski dawać radość jeśli
nie jest jedyny przymusowy
nie podaje nieuchwytną ręką
obecności nie czyni obrazem

ręce zniszczone od mycia
jak u Lady Makbet a przecież
nie brały udziału w zbrodni
chciałyby uścisnąć wolność przekazać
znak spokoju w świątyni życia

Korona z głowy...

Kwitło życie towarzyskie, świat cały był otwarty, wiedza siedziała na swym tronie
I nagle dnia pewnego przygasało wszystko, bo tyran wirus przylazł i to w koronie.
No i skończyła się cała dumna wolność, życia swoboda, osobista w sztuce biegleść,
Bo on wymyślił, że dom jest twą twierdzą, człowiek zarazą i to na odległość.
Kiedyś występy, spotkania, oklaski, wycieczki i poznawanie nowych twarzy.
Dziś rękawiczki zdobią ręce a gębę maska - jak złodziejowi, co o łupie marzy.
Miałeś krok rzeński ku wciąż nowym rzeczom, mogłeś planować rok po roku,
Teraz jak wyrok brzmi każdy komunikat, policja karci Cię w dzień i o zmroku.
I tylko przyszłość może kryć nadzieję - choć wciąż się staje jakby bardziej odległą,
Że przed wyrokiem jednak ocalejesz i zdołasz wybić się kiedyś na niepodległość



**Ryszard Mścisz, członek Związku Literatów
Polskich w Rzeszowie.**

Wydane książki:

- Życie to tylko impresje, Nowa Sarzyna 2000, ss. 57
 - Wibracje, Rzeszów 2002, ss. 54
 - Zezem na świat, Stalowa Wola 2002, ss. 147
 - Na strunach lat, Rzeszów 2004, ss. 64
 - Roześnienie, Rzeszów 2007, ss. 71
 - Strumienie poezji, Stalowa Wola 2010, ss. 66
 - Swojski diabeł i inne humoreski, Stalowa Wola 2012, ss. 120
 - Korytarze słów, Stalowa Wola 2014, ss. 84
 - Czytanie nieobojętne, Jeżowe 2016, ss. 140
 - Życie (u)daje szkołę, Jeżowe 2018, ss. 232
 - Kołatanie do wrót nocy, Rzeszów 2019, ss. 66
- Audiobooki
- Humoryski, WiMBP w Rzeszowie, Rzeszów 2014, 04:42:29
- Biogram i kontakt na stronie:
<https://zlp.rzeszow.pl/mscisz.htm>

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)



INACZEJ NIŻ ZAWSZE

No i się doczekał.
Władza okrojona
znacznie.
Teraz na kolanach...
Jeszcze pokrzykuje.
Człowiek.
Zawieszony...
Jak bańka pusta,
pod strzechą
czasoprzestrzeni
Świat.
Zastygł.
Półmartwy chaos
porządkuje
system.
Sztyni.
Obudzeni
w oderwanej
od innej
rzeczywistości.
Cisza.
Pustka.
I nikt
tego nie zauważył.

21. 04. 2020 r. Żyrardów

RETORYCZNIE

Istnieję
Jestem
ale Kim?

Pudłem
Z czymś,
czego nie znam.
Futerałem
Kogoś...
To obce!
Etui
na pustkę
Na krnąbrność
Bezosobowości.

27. 02. 1998 r., Żyrardów

OCZAMI BABCI... ŻYJE

Ciężkie
firanki przeszłości,
lekką unosi
powiew
wspomnień.
Zagrzybiałe
od łez
ściany,
rozjaśnia
zapłakany
uśmiech.
Sufit
choć zmurszały
dzielnie się
trzyma.
Marzeniami
tkany obraz
przyszłości i
wciąż świeży

zapach miłości...
Rozstrzelonej tu
w pokoju.
Ona szyła lalki...
dla mnie też

09. 06. 2019 r. Żyrardów

* * *

Za ścianą
mojego Kraju
głuchy krzyk.
Za ścianą
mojego Domu
ból i strach.
Za ścianą
mojego Serca
walka trwa.
To mógł być
mój Kraj...
To mogłam być
Ja.

Mielec , 13 listopad 2015 r.

Poezja

WOKÓŁ PORTRETÓW MIAST (A)

Setki
smętnych oczu,
wpatrzonych
nigdzie.
Kilka ust,
otwieranych
w pośpiechu i
zamykanych
od niechcenia...
z trzaskiem.
Metalowe
nozdrza,
flikają
nie tylko
w niepogodę.
Bezosbowa postać,
stoi
odziana
w betonowy szlafrok...
Z duszą
niczyją.
Nie tylko On jeden.
Żyrardów (wiersz z 1999 roku)

MAJÓWKA

Wyciął serduszko,
chwycił za uszko
Króliczek mały
kosz malowany.
Kwiatów naręcze
dzwoneczków dźwięcznych,
lili i maków
od Morza po Kraków...

Zbieranych z Naszych
Ojczystych Włości
Zapach pól niesie
Polski po Świecie.
22. 02. 2019 r. , Żyrardów

SPACER

Ups... Znienacka.
Rozrzucone części
mnie
wracają na miejsce.
Tulę do siebie
kurz
falującego jeszcze
chodnika.
I choć przerabiam to
niepierwszy raz...
Dlaczego,
do cholery,
tak trudno się
poskładać?
Na twarzy
zamiast łez,
piasek.
Dłonie
jakby głąskały,
szaro-czerwoną
kostkę...
Tyle twarzy
przeszło.
- Pijana!
- Nie.
Co ty wiesz,
do cholery...
Tylko epilepsja.
Żyrardów , 13 lipiec 2019 r.
(sobota, 04:05)

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych)

Bezsenność
Oczy bołą
od niespania.
Książki
przepychają się
na półce...
- „ Czy ja?”
Sny przychodzą
niecierpliwie...
- „ Poczytaj mi.”
Odrobione zaległości
życia.
Nawiedzają
myśli:
- „ Czy można było
inaczej?”
Dylemat
- nietragedia.
Bezsenność
zabójstwo
na jawie.

Żyrardów, 13 lipiec 2019 r.
(sobota, 04:18)

NA OPAK

Krzykiem ciszy
rozedrę spokój,
jak zmęczone płótno
na sztalugach.
Porządkiem nieładu
ułożę
poplątane nici
życia.
Upokorzę przybite
beznadzieją
marzenia.

Planom
odetnę skrzydła.
Sama
oddam się
Diabłu.
Hmm...
Z rozkoszą.

Żyrardów 2 lipiec 2019 r.
(wtorek, 11:36)

W LESIE

Usłyszałam dziwną mowę.
-Oszkalował Zając Sowę.
Sowa puszy się huka:
- Niech Pan w głowę się popuka.
Szarak na to oburzony:
- Oddaj mi klejnoty żony!
Sowa na to: - Idź do Sroki,
ma korale i breloki.
Zając boczy się i krzyczy:
- Wszyscy wiedzą w okolicy,
żeś jest tutaj całkiem nowa,
przyleciałaś spod Tarnowa.
Na to Szarakowi Sowa:
- I cóż z tego? Nic nie chowam.
Winowajcę przyjacielu,
gościsz w domu od lat wielu.
Żyrardów 9 października 2018r.

TAKIE MIEJSCE

Jest taka chwila,
pomiędzy było a będzie,
gdzie radość
koloru nieba,
gdzie czułość

jak mech aksamitna,
gdzie miłość,
przesycona zapachem żywicy,
spada
złotymi kroplami
na Nagie ciała.
Wypełnia je żarem
i rozpina
na złotych szpilkach,
jak motyle.
Trwamy w bezruchu
i tylko serc łopot,
jak krzyk.

Żyrardów 1996 r.

NIE POZA MNĄ

Obsypana dziurami
- jego.
Przyszedł pusty.
Twarz
wytatuowana bólem
- fiolet
z nutą czerwieni.
To z miłości.
Strach
wiernie stał
- pompując
energię we mnie.
Codzienność.
Łzy zamiast kawy.
Uśmiechnięte
zapłakane buźki.
- Nadzieja?
Wylęknionych
oczu sześć...

- czy już? - kiedy?
Mamciu...
Uciezka
Sen
na ławce w parku
- zimą.
Wtulone buźki
- Ja tylko...
Nie ustałam.
Płaszcz
do ławki przywarł
- lzy do policzka.
Pamiętam:
On...
Dziury...
To nic... To nic.
Żyraardów, środa 28.08.2019 r.

* * *

Beata Hil-Dobrzeńska (Bodych) - ur. 1972 r. w Żyrardowie (mama dwójki Dzieci z niepełnosprawnością). Pisze od młodzieńczych lat. Publikacje zbiorowe: prasa, Antologia Ziemi Żyrardowskiej, Metafora Współczesności - Międzynarodowej Grupy Literacko - Artystycznej „Kwadrat”, Żyrardowskie Zeszyty Literackie. Wyróżniana w konkursach i turniejach poetyckich. Związana z rodzinnym Żyrardowem mimo 8 lat pobytu w Mielcu na Podkarpaciu. Obecnie związana z ŻWL w Żyrardowie po dość długiej przerwie.

Oblicza Białorusi Nowogródek

W białoruskim Nowogródku
mieście rodzinnym
trzech narodów wieszczą
nadal wyziera
historia złowieszczą...

Tekst. i fot.
Włodek Gąsiewski



Włodek Gąsiewski

Akatyst-hymn do Matki Bożej Niewiednący Kwiat w czasie pandemii

Matko Boża niewiednąca
poprzez wszystkie wieki świata
z Synem Twoim
w Twych ramionach
oraz żywym kwiatem w dłoni

Od radości Narodzenia
w betlejemskiej szopie-domu
Synka w żłobku miast w łóżeczku
pośród cieląt i baranków
siana zamiast pierzyn ciepłych
zimnych nocy oraz ranków

Matko biednych i bezdomnych
z dzieckiem co się w chłodzie kuli
Matko wszystkich wypędzonych
co do serca ich przytulisz

Choć przed synem Twym i Tobą
Trzej króle się uklonili
obdarzając Was darami
Chociaż jesteś Panną Świętą
Sławną między niewiastami

Jesteś Matką opuszczonych
zapomnianych i nie chcianych
od rodziców odłączonych
przez los ciężko ukaranych
zabitych lub zniewolonych
w wojnach, które przemijały
Matko grzesznych i złoczyńców
co na krzyżach obok Syna
razem z Nim w mękach konali
co prosili go o wsparcie
albo też i przeklinali

Matko synów marnotrawnych
chciwych oraz mściwych ludzi
co masz serce także dla nich
i sumienia u nich budzisz

Matko Syna tak tuląca
jak kwiat życia swój jedyny
Zbawiciela dla narodów
odpuszczającego winy

Matko Boża niewiednąca
z różą, lilią, gałązkami
wciąż żywymi bukietami



*Matka Boska Niewiednący Kwiat
Ikona pisana przez
Krystynę Gargas-Gasiewską*

Panująca nam w koronie
z Synem na niebieskim tronie

Z nieba już na nas patrząca
Od powietrza, ognia, wojny
chroń nas wszystkich
i choć, nie jesteśmy godni
Wstaw u Syna się za nami

Podczas dobrowolnej kwarantanny
w trakcie pandemii koronawirusa
Mielec 21 III 2020 r.

Barbara Śnieżek

Wiersze

W rocznicę Powstania Warszawskiego (Rondo)

/Z tomiku A ja tańczę... wersami (2018)/

Echo pieśń unosi... Wyrosły namioty
na leśnej polanie. To obóz harcerski.
Tańczą nad ogniskiem, błyszczą jak klejnoty
i lecą pod niebo wesołe iskierki.
Echo pieśń unosi...

Połączone ręce, jako znak wspólnoty,
utworzyły razem jedność krąg wielki.
Otwarte umysły, serca pełne cnoty,
a usta śpiewają żołnierskie piosenki.
Echo pieśń unosi...

Drzewa są zdumione – Skąd tyle tęsknoty
wyrażają w słowach zasłyszane dźwięki?
Nic dziwnego, przecież wspominają o tym,
jak powstaniec bierze karabin do ręki.
Echo pieśń unosi...

04.08.2018

Habemus Papam!

/Z tomiku W zmienności uczuć (2017)/

Był to
niezwykle ważny
dzień...
Nad Placem
Świętego Piotra
wreszcie
pojawił się
biały dym
i wszyscy
spojrzeli na okna.
Habemus Papam! –
lud zawołał
i oczom tłumy
ukazał się
Jan Paweł II –

nowy przywódca
Kościoła.
I nie był to
już
papież włoski,
jak dotąd
było w zwyczaju,
lecz był to
przybysz z Polski –
bardzo dalekiego
kraju.

13.10.2016

Bieszczadzki świt

/Z tomiku A ja tańczę... wersami (2018)/

Bieszczadzki pejzaż budzi się czarami.
Doliny mglistą zasłoną spowite –
tiule rozkłada przeźroczysta pani –
otula pola, łąki, lasy, szczyty.

Oddechem ziemia piersi gór unosi,
drży z podniecenia spragniona pieszcoty,
cichym westchnieniem chłodne niebo prosi,
czeka na słońca ciepły, czuły dotyk.

A ono zsyła promienie złociste,
rozprasza mroki, rozrzedza mgieł woal,
potokom iskrzy powierzchni faliste,
wszystko, co żywe, już do czynów woła.

28.07.2017

Bieszczadzki koncert

/Z Antologii na 40-lecie RSTK (2020)/

I.
Wiatr cichuteńko w liściach szeleści
i niczym werblem dyktuje rytmy,
wierzbowym fletem melodię pieśni,
wreszcie klarnetem takt daje szybszy.
A teraz fagot brzmi coraz głośniejszy,
dochodzą skrzypce i kontrabasy,
wciąż dynamika powoli rośnie,
już grają wokół knieje i lasy.
Refren:
Tańczą Anioły ponad Soliną,
snują się mleczne, zwiewne sukienki

i dolinami wzdłuż Sanu płyną,
a góry tulą woalem mgiełki.
Bieszczadzki Anioł nam opowiada
o dawnych dziejach, faunie i florze,
o Zakapiorach, duchach i zjawach,
o życiu Bojków i ich kulturze.

II.

W gałęziach sosen wiatr gra na harfie,
coraz to więcej dźwięków przybywa
i w zgodnym rytmie drzew struny szarpie –
cała orkiestra leśna przygrywa.
Wtórują buki, jodły i świerki,
dmie coraz silniej w trąbki, puzony –
to niewątpliwie jest koncert wielki –
słychać altówki i saksofony.

Refren:

Tańczą Anioły...

III.

Wietrzna symfonia szumi w Bieszczadach,
drzewa kołyszą się w rytm muzyki
i tańczą solo, albo w gromadach,
w Cisnej, Ustrzykach i w Polańczyku.
Wiją się Pętle: Wielka i Mała,
falują góry i jezior wody,
jest ożywiona kraina cała –
nasze Bieszczady pełne urody.

Refren:

Tańczą Anioły...

Polańczyk 20.02.2020

W tatrzańskiej dolinie

/Z tomiku A ja tańczę... wersami (2018)/

W tatrzańskiej będąc dolinie,
zaszyj się w zieleń jej traw,
gdzie woda żlebami płynie,
a kresem nurtu jest staw.
Zachwycaj oczy szczytami
tnącymi nieba błękit,
upajaj się widokami,
wyłapuj wszystkie dźwięki.

Posłuchaj cichej muzyki,
którą na smrekach gra wiatr
i strumień pluszcze kamyki,
symfonię niosąc od Tatr.

Pośród tej ciszy na łące
z owadów głośnym rojem,
w harmonii wspaniale brzmiącej
ukoisł myśli swoje.

6.08.2017

Mglisty poranek.*/Z albumu Zaproszenie do Rzeszowa 2019)/*

Mgła otuliła miasto uśpione.
Ranek rozrzedza rozlane mleko,
z wolna wylania wieże – zdumione,
że są od siebie tak niedaleko.

Ślą pozdrowienia sobie wzajemnie
dzwony kościołów, dachy kamienic,
łuki pomnika – stoją niezmiennie –
i wszelkie spory spływają po nich.

Liście laurowe – symbol Rzeszowa,
bez nich nie będzie tego uroku.
Zostawcie pomnik! Niech się zachowa,
gdy go zburzycie, będziemy w szoku.

Mgła już opadła, miasto się budzi,
coraz to większy ruch na ulicach,
tworzą się korki i pełno ludzi –
do pracy śpieszą w różnych dzielnicach.

13.02.2018

Jedź do Przemysła*/Z tomiku A ja tańczę... wersami (2018)/*

Na siedmiu wzgórzach, nad rzeką Sanem,
z mgieł się wylania miasto zaspane,
dźwiękiem kościelnych dzwonów się budzi.
Mieszka w nim wielu wspaniałych ludzi.

Tu się jednoczą kultury wschodnie;
na Boże Ciało świętują zgodnie
i prawosławni z katolikami

wspólną procesją są pojednani.

„Ta Jojki” grają lwowskie przyśpiewki,
kocimi łbami wędrują Szejki.
W mowie wychwycisz słów zaciąganie,
a nawet czasem i bałakanie.

Spójrz, kamienice po kosie ściego –
od tyłu wejdiesz na drugie piętro!
Teatr „Fredreum” w Zamku króluje,
w murach przeszłości powiew odczujesz.

Do odpoczynku nęcą cię parki,
do wędrowania – Kopiec Tatarski.
Możesz zobaczyć też Twierdzy forty.
Zimą się wybierz na stok, na narty

lub Narodowe Muzeum zwiedzić.
Latem zaś w Rynku z fajką posiedzieć,
tuż przy fontannie z rodziną misia...
Nie zwlekaj zatem, jedź do Przemysła!

10.08.2017

A jednak Starówka*/Z tomiku A ja tańczę... wersami (2018)/*

Gdy księżyc zapala gwiazdy nad Krakowem,
przychodzą z Zaświatów dziejowi królowie,
przecierają oczy z wielkiego zdumienia,
ze wzruszeniem patrzą, jak ich gród się zmienia,

jak teraz daleko rozciąga się miasto...
A na Starym Mieście wciąż tłumnie i ciasno
przyjeżdżają bowiem nawet z zagranicy,
by bliżej się przyjrzeć tej dawnej stolicy.

Choć wokół powstały urocze dzielnice,
nowoczesne bloki, a nie kamienice,
kampusy studenckie, galerie olbrzymie,
to nadal Starówką Kraków w świecie słynie.

14.03.2018

Maszerują Podhalańczycy

Słychać stukanie kroków miarowe,
równym szeregiem w takt defilują

Podhalańczycy – wojsko polowe –
na sam ich widok oczy się śmieją.

Orkiestra dziarsko przygrywa marsza,
dorodni chłopcy w swych pelerynach
i z orlim piórem na kapeluszach –
nie oprze im się żadna dziewczyna.

To mężne wojsko, z górską zaprawą,
o czym oznajmia biała szarotka,
potrafią wspiąć się pionową ścianą,
żadna przeszkoda nie jest im obca.

Są wysyłani z misją, gdzie wojny,
w krytycznych akcjach zwarci, gotowi.
Również pomocni, gdy czas spokojny,
podczas zwalczania klęsk żywiołowych.

Jesteśmy dumni z naszych żołnierzy,
w czasie przemarszu bijemy brawa,
aby z nich każdy mocno uwierzył,
że służba w wojsku to ważna sprawa.

15.06.2019

Kresowe tango*/Z Antologia na 40-lecie RSTK (2020)/
I.*

Jak bumerang wracają wspomnienia
mojej pierwszej, kresowej miłości,
tam nad Dniestrem zostały marzenia
niespełnione o wspólnej przyszłości.
Czy pamiętasz upojne wieczory
na Podolu, gdzie poznałem ciebie,
te nieśmiałe młodzieńcze amory
w blasku gwiazd i księżycy na niebie?

Refren:

To jest nasze kresowe tango,
pełne miłości, tej sprzed lat,
w pamięci mej na zawsze mam to,
gdy śmiał się do nas cały świat.
Czy te chwile powróci mogą,
by poczuć zapach tamtych traw?
Chcę jeszcze raz zatańczyć z tobą,
tulić na jawie, a nie w snach.

II.

Ty zostałeś w lwowskich okolicach,
 mnie los rzucił w dolinę Wisłoka,
 rozdzieliła nas teraz granica –
 został żal i bezmierna tęsknota.
 W snach podziwiam kaniony nad Dniestrem,
 słucham szumu fal uroczej rzeki
 i jak dawniej znów przy tobie jestem,
 bo do Kresów miłość na wieki.

Refren: To jest nasze ...

10.09.2019

Do tej piosenki jest muzyka skomponowana
 przez Andrzeja Warchoła - nuty obok.

Barbara Śnieżek. Ukończyła studia matema-
 tyczne na UJ w Krakowie, od 1970 mieszka w
 Rzeszowie. Pracowała głównie jako nauczyciel
 młodzieży i studentów. Na emeryturze wydała
 pięć autorskich zbiorów poezji dla dorosłych i
 dwa dla dzieci, a także album Zaproszenie do
 Rzeszowa (2019), promujący miasto jej wiers-
 zami i akwarelami W. Cieleckiej. Jest współ-
 autorką wielu zbiorowych antologii. Od 2014
 jest aktywnym członkiem RSTK, gdzie od 2016
 pełni funkcję kierownika Sekcji Literackiej.



Kresowe tango

sł. Barbara Śnieżek

muz. Andrzej Warchol

em H Em H7

Jak bu - me-rang wra-ca-ją wspo - mnie-nia Mo-jej pier-wszej kre-so-wej mi-

5 Em E7 Am F#

ło-ści tamnad Dnie-strem zo-sta-ły ma - rze-nia niespeł - nio-ne owspól-nej przy-

9 H H7 Em H Em E7

szło-ści Czy-pa mię-tasz u-poj-ne wie - czo-ry na Po - do-lu gdzie po-zna - lem

13 Am H7 C

cie-bie te nie - śmia-łe mło-dzień-cze a - mo - ry wbla-sku gwiazd i księ-ży-ca - na

17 D G Am D

nie-bie To jest na-sze kre-so - we tan - go peł-ne mi - ło ści tej sprzed

21 G G Am D

lat Wpa-mię-ci mej na zaw - sze mam to gdyśmiał się do nas ca - ły

25 G G7 C G D

świat Czy te chwi-le po-wró - cić mo - gą by po-czuć za pach tam - tych

29 G G7 C C#zm G E7 C D

traw Chcę jesz-cze raz za tań czyć zto bą tu-lić na ja - wie a nie

33 1. G H7 2. G

wsnach Ty zo

Otwórz serce

Czy się powtórzy historia cała,
gdy do zamkniętych drzwi zapukała
Maria panienka?

Nikt Jej nie wpuścił, by dać schronienie,
choć się narodzić miało Zbawienie
Dziecina Święta!

Oczyść swą duszę na powitanie
i otwórz serce, niechaj się stanie
słowo miłością.

Wyciągnij rękę i złóż życzenia.
W Wigilię wszystko w dobro się zmienia –
będzie radością!

© Barbara Śnieżek
8.12.2018

Noc Wigilijna

Na granatowym nieba aksamicie
księżyc rozpalił jasną gwiazdę pierwszą.
Spojrzał na Ziemię - oniemiał w zachwycie,
bo tam miliardy różnych gwiazdek świecą!

To miasta iskrzą świateł girlandami;
przybrane domy, drzewa i ulice,
a nuty kolęd słychać za oknami,
gdzie się jednoczą ludzie przy choince.

Noc Wigilijna ileż ma uroku!
Biały opłatek leżący na sianie
potrafi godzić, aby w Nowym Roku
zakwitła miłość, przyjaźń i zbratanie.

© Barbara Śnieżek
17.12. 2018

Feralny rok 2020

O roku ów! Kto ciebie widział w naszym kraju! –
Powtarzam znane słowa wieszczki Mickiewiczki.
Szerzącą się zarazę wszyscy spamiętają,
uwięzienie w mieszkaniach, maski na obliczach.

Wielkanoc bez wzajemnych, rodzinnych odwiedzin,
ten lęk przed niewidzialnym wirusem złowrogim,
co czyha nie wiadomo gdzie i na czym siedzi,
więc zamarły ulice, ludzie pełni trwogi.

Opustoszały sklepy, kina i teatry,
nauka przez Internet – wszak nieczynne szkoły,
nawet zakaz chodzenia do zakładów pracy,
bez dzieci place zabaw, bez wiernych kościoły.

Wstrzymane wszystkie loty, zamknęły się państwa,
odwołane imprezy i wszelkie spotkania,
nie można też pojechać do innego miasta...
A ludzkie żniwo zbiera okrutna pandemia.

Na wycieczkę do miasta z lasu wyszły dziki,
niedźwiedz wspiął się na balkon, zagląda przez okna –
po Internecie krążą niezwykle filmiki,
gdyż ludzie w samotności siedzą w swoich kątach.

Upadek gospodarki, stąd liczne zwolnienia,
wielu zagląda w oczy zwykła, ludzka bieda.
Wreszcie rząd zdecydował – trzeba złagodzenia,
w takich warunkach dłużej wytrzymać się nie da.

Nadszedł okres wakacji, ludzie chcą wypocząć,
dzieci, młodzież zmęczeni są nauką zdalną,
inne zasady życia wprowadzać czas zacząć,
na urlopy wyjechać w zasadzie już wolno.

Na plażach czy weselach o dystans tak trudno –
wzrosły zachorowania, ludzie umierają...
A tu nowy rok szkolny, bez kolegów nudno,
do swoich szkół z radością dzieci powracają.

Pomiar temperatury, maski, odkażanie,
by zwiększyć bezpieczeństwo – przerwy w różnym
czasie,
należy wpajać uczniom nowe zachowanie,
i mimo wszystko, uczyć w tym trudnym okresie.

Jaka nas przyszłość czeka? Któż dzisiaj odgadnie.
Z pewnością nie powróci, to co dawniej było –
zachwiana równowaga, jaki los przypadnie?
Co zrobić, aby w miarę spokojnie się żyło?

Druga fala uderza wraz z przyjściem jesieni –
Polska w strefie czerwonej, znowu zaostrenia,
maski, dystans społeczny na wolnej przestrzeni,
a seniorzy dostali zakaz wychodzenia.

Starsze klasy wracają do zdalnej nauki,
nie ma wesel, zgromadzeń, na wynos jedzenie,
odgórnie nam zmieniają przyjęte nawyki,
źle wpływa na psychikę to odosobnienie.

Niektórzy się buntują, sypią się mandaty,
a wirus coraz większe sieje spustoszenie,
rekordy zachorowań i wciąż rosną straty
w ludziach i w gospodarce. Niezadowolenie.

Człowiek był panem świata i czuł się wszechwładny,
dopóki nie nastąpiło wielkie zagrożenie –
teraz poczuł się mały i taki bezradny,
nie wiedząc w jaki sposób ma zwalczyć pandemię.

Czy nadchodzi kres świata i koniec ludzkości?
Czy będzie trudno znaleźć ślady stóp człowieka?
Te dręczące pytania oraz wątpliwości
nachodzą coraz częściej. Kto wie, co nas czeka...

Na domiar złego doszły sprawy polityczne –
przepychanki wyborcze, zmieniane terminy,
niepomyślne decyzje i bunty uliczne –
społeczeństwo wzburzone mimo epidemii.

Sam Bóg dał przecież ludziom wszystkim wolną wolę
i zdolność rozróżniania złego od dobrego,
nie można nakazywać, kto jaką ma rolę –
każdy musi mieć prawo do losu swojego.

Bolesne doświadczenia niech zjednoczą ludzi,
bądźmy odpowiedzialni, działajmy z rozwagą,
przecież płyniemy wszyscy na tej samej łodzi
wszelkie złe poczynania grożą nam zagładą.

W listopadzie szaleje nieszczęsna zaraza,
znów zamknięto galerie, szkoły, instytucje,
koronawirus coraz bardziej nam zagraża,
brakuje miejsc w szpitalach... Zwiększono restrykcje.

Czy Boże Narodzenie będzie w samotności,
a Wigilia z pustymi przy stole krzesłami?
Nie można nas pozbawiać świątecznej radości.
Maryjo, Matko nasza, przyczyn się za nami!

To jest lekcja pokory wobec Wyższej Siły,
trzeba szanować Ziemię, liczyć się z jej prawem,
nie zakłócać porządków, jakie tutaj były,
przyroda jest nam dana i jest naszym skarbem.

Nie jesteśmy wszechwładni, uznajmy moc Bożą
i z ufnością zawierzmy tym światem rządzenie.
Zadbajmy o naturę, wykażmy się dużą
troską o to, co przejmie po nas pokolenie.

© Barbara Śnieżek
sierpień – listopad 2020

Grażyna Wojcieszko

Gdzieś tam Paryż

gdzieś tam Paryż
et son savoir-vivre
a tu
Błądzim
błądzim paniusiu błądzim
po tych Zarosłach, Pustelniach i Ciemnych Lasach

tam światła Tour Eiffel
i Folie Bergère
a tu
Zamarte
martwe paniusiu wszystko martwe
od Ogorzelin i Zawady po Barłogi

tam kochankowie
wpadają na jedną noc
a tu
Zazdrość
zadrościm paniusiu zazdrościm
w Wymysłowie, w Zapędowie i w Skrajnej

gdzieś tam Paryż
et les chaussures Louboutin
a tu
Błądzim
błądzim paniusiu błądzim
po Czarnej Wodzie, w Białych Błotach i Glinie

tam bąbelki szampana
la VeuveCoquelicot
a tu
Zabijak

Fot. Andrzeja Drelich

Grażyna Wojcieszko

piją paniusiu i codziennie biją
od Nicponi i Ubogiej po Głodowo

tam co rano
inna kawa przy tobie
a tu
Czarna Woda
wodzim paniusiu wodzim oczyma
o Świecie po Szumiącej Grzecznej Pannie

gdzieś tam Paryż
et le boulevard Saint Germain
a tu
Błądzim
błądzim paniusiu błądzim
w Gajewie, na Pastwiskach i w Pięćmorgach

tam wielki świat
i Hotel Ritz
a tu
Zacisze
cichaj paniusiu cichaj i nie otwieraj
Gęby ani w Gluchej ani na Pustelni

tam co rano Paryż
i jego savoir- vivre
a tu
Radzim
radzim paniusiu radzim
jak żyć
w Brzemionach i w Zarosłach
po tych Trudnych Gniewnych paryskich Rozdółach

Grażyna Wojcieszko – poetka, tłumaczka (angielski, francuski), autorka sześciu tomów poetyckich oraz opowiadań zebranych w bestsellerze Animalki. Absolwentka Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego a wcześniej francuskich uniwersytetów: Orsay i Jussieu. Należy do najczęściej tłumaczonych współczesnych poetek polskich. Laureatka wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Autorka tekstów piosenek Mai Koman i Remiego Juśkiewicza.

Prezes Fundacji czAR(T) Krzywogonca – miejsca międzynarodowych spotkań twórczych i działalności artystycznej. W ramach inicjatyw fundacji zainicjowała ogólnopolski konkurs poetycki „O Złotą Pszczolę”, a dzięki niemu utworzyła nową serię wydawniczą „Leśna pszczoła”, zawierającą lirykę współczesnych poetów zainspirowanych przyrodą.

Więcej na stronie: www.grazynawojcieszko.eu

Maria Gibała

Wiersze

Maria Gibała – urodziła się i mieszka w Przemyślu. Jej artystyczne zainteresowania to malarstwo, fotografia, poezja. Należy do RSTK w Przemyślu. W latach 2013-2018 pełniła funkcję wiceprezesa Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Przemyślu. Ma w dorobku kilka wystaw fotograficznych o różnej tematyce. Od marca 2011 r. redaguje rubrykę swojego pomysłu „Przystań Poetycka” w miesięczniku „Nasz Przemyśl”. Jej wiersze ukazały się m.in. w tomikach, Ogólnopolskich Literackich Spotkaniach Pokoleń, Kruszowice – Kobylniki, piśmie społeczno – kulturalnym „Własnym Głosem”, „Naszym Przemyślu”, kwartalniku „Głos znad Sanu”, „Dzienniku Polskim” – rubryka „Wierszowisko” Józefa Barana, Krytyce Literackiej – 2015 pod redakcją Tomasza Marka Sobieraja oraz w tomikach pokonkursowych. W 2013 r. wydała tomik poezji „Klimaty”. W roku 2017 ukazał się jej kolejny tomik poezji pt. „Sto pięćdziesiąt kilo dobroci”. Za tą pozycję otrzymała Honorową Nagrodę Prezesa ZLP w Rzeszowie. W 2020 r. „Palenie pierza”. W swoim dorobku ma nagrody i wyróżnienia w konkursach poetyckich i fotograficznych. W 2011r. na 25-lecie RSTK Przemyśl otrzymała odznakę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Zasłużony dla Kultury Polskiej. W 2018 r. Kapituła Orderu im. Jakuba Wojciechowskiego nadała jej Medal Honorowy „Za Zasługi dla Kultury Robotniczej”.



Co dalej?

kiedy przeżyjesz
wilgoć w domu
sad kwitnących wiśni
jabłka pod stopami
kartofle z ogniska
kłujące żdźbła zżętego zboża
usta na ustach oczy na oczach
pierwszy krzyk dziecka
niemy krzyk urodzonych zbyt wcześnie
ostatnie rozmowy w szpitalu
dotyk stygnących dłoni
wydepczesz te same ścieżki
wypijesz wszystkie samotne herbaty
długie wieczory puste noce

wspomnisz tych których nie ma
odwiedzisz bliskich
wyśmiejesz wyplaczesz wyęsknisz
strach zje cię oczami
napiszesz wiersz pierwszy i ostatni
bunt wypełni cię po brzegi
pustka będzie cię drażnić jak kornik

staniesz na nogi
albo poddasz się bez walki
ktoś zdmuchnie pył
z twojej podłogi

Szał

dla W.

kupiłam go w bramie
na Floriańskiej lub Brackiej
brązowozłoty z ornamentem
otulał mnie przed chłodem
w czas tęsknoty
za spojrzeniem i dotykiem
wszystko wydawało się wtedy takie lekkie
i proste
jak blaszany ptak w promieniach słońca
tego wieczoru kiedy biegłam na spotkanie
w parku przy świetle gwiazd
zawieruszył się szal
pomagałeś go szukać
jakieś dzieci śpiewały
...czy ten Pan i Pani są w sobie zakochani...

zrobiło się zimno
zgubiłam Ciebie i szal

Na wiosnę ptaki łączą się w pary

jeszcze nie pokazałeś mi nieba
po horyzont
jeszcze nie nazbierałam kwiatów
dopiero co powiedziałeś
lubię jak się uśmiechasz
lubię nasze rozmowy
tęsknię i dobrze mi z tobą
jeszcze nie rozpostarliśmy

skrzydeł do lotu a przygotowujesz mnie
na rozłękę
muszę tłumić to co w zarodku
a przecież dziś pierwszy dzień wiosny

- pamiętasz to miały być chwile...
- tak chwile które nie mają końca...

21.03.2020 r.

Chwilo trwaj...

mamy żyć chwilą
tak się umawialiśmy
kwarantanna zabiera i te chwile
tego nie przewidzieliśmy
uświadamiamy sobie że wszystko
co się wydarzyło
trafiło na listę najpiękniejszych rzeczy
a to co przed to najcenniejsze
i żadne odosobnienie
nie zabierze nam tego

20.03.2020 r.

Gra o kawał Ziemi

za stodołą na wydeptanym kawałku ziemi
rysowaliśmy okrąg
wielkie imperium do podziału kto rzucał
celniej ten stawał się władcą
większego obszaru Staszek był mistrzem
w rzucaniu nożem
mnie najczęściej trafiał się mały skrawek
na którym ciężko zmieścić stopy
granice wciąż się przesuwają znaczaliśmy
je grubą kreską
ku zadowoleniu lub rozpacz
duży kawał ziemi Staszka ogranicza się
dziś do pokoju w domu pomocy
i niewielkiego ogrodu przed budynkiem
mój skrawek to wiele miejsc prawie
kalejdoskop
nasze skrawki Ziemi wykroiło życie nie-
równo i niesprawiedliwie

Sobotni poranek

otworzył drewnianą kasetkę
w niej pędzel z miękkim włosiem
mydło w kamieniu
szklanka musztardówka na wodę
skórzany pasek zawiązał
na klamce w kuchni wyjął brzytwę
śmiga nią po nim tam i z powrotem
postawił lustro na stole
zamoczył pędzel namydlił twarz
brzytwą przeciągnął po policzkach
zobaczył kroplę krwi
poślinił bibułkę - przyłożył

- tatusiu policzki masz gładsze od moich

Zapleciona w warkocze

każdego dnia
splatała moje włosy
przewijając je wstążką
potem ja
rozczesywała włosy córki
wpinałam różyczki biedronki
na koniec zaplotłam
srebrzysto-łniane kosmyk mamy

Kiedy odchodzi stuletni człowiek

pamięci Leopolda Kozłowskiego-Kleinmana

mija wiek
umiera epoka

fortepian zamilkł na chwilę

Leopold
przeszedł uliczkami
zajrzał w oczy okien
pożegnaliśmy się na Miodowej
Szalom Alechem!

na Kazimierzu płaczą kamienie
odszedł Sprawiedliwy
ostatni Klezmer Galicji

pulsują tętnice ulic
w synagodze Tempel muzyka
festiwal trwa

SZALOM!

13/25.03.2019 r.

Sanitariuszka Irenka

*Nikt nie ma większej miłości od tej,
gdy ktoś życie swoje
oddaje za przyjaciół swoich.*

EW. wg św. J, 15, 13 - 14

Nizankowice
grudniowy chłód
przeszywa rozgrzanych do obrony
wśród świstu kul
nieugięta
podąża gdzie rany i krew
pomaga młodym orłętom
ranionym w locie
ginie w walce nie odstępując chłopców

znaleziono ją nagą
obrabowaną z godnością
Tarnawska obmyła ciało
ubrała w białą suknię i welon
zaślubioną Przemysłowi
odprowadziła na wieczny sen

Wielkopolanka
legionistka Benszówna
spoczęła między swymi

3.10.2018 r.

Msza katyńska

las
cisza
nawet ptaki nie śpiewają
raz po raz
przebija ciszę
strzał za strzałem
i kolejny
i następny
strzał
i tylko
czasem westchnienie
do Boga
słowa modlitwy
Ojczyzna nasz...
Zdrowaś Mario...
i Jeszcze Polska nie zginęła...
żegnaj...
i znów strzał
i kolejny
i następny
cisza

dziś
pamięć
modlitwa
przebaczenie
rytmiczne uderzenia talerzy
przeszywają brzmieniem
rozrywają sklepienie kościoła
jak strzały
„Dobry Jezu a nasz Panie
daj im wieczne spoczywanie...”
i dźwięk trąbki
wzruszenie
dreszcz
obraz lasu przed oczami
łzy
i echo strzałów
jak rytmiczne uderzenia talerzy
stukot żołnierskich butów
uderzających w kamienną posadzkę
i znów strzał
i uderzenie
i kolejny
i uderzenie ...

i przejmująca
cisza

Jadwiga Buczak

W cieniu Łopienki

„Nikt nie może uciec od samego siebie, gdziekolwiek by uciekł”.

Urszula Sipińska

Moim Rodzicom
i całemu Wojennemu Pokoleniu.

PROLOG

„Halo, halo. Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie 4:45 oddziały niemieckie przekroczyły granicę Polski łamiąc pakt o nieagresji. Opanowały szereg miast. Zaraz usłyszycie państwo komunikat specjalny”.

„A więc wojna. Z dniem dzisiejszym wszystkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przedstawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres wojny. Wsłuchajcie się narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteście żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa”.

– Wojna? Niemcy wypowiedziały wojnę?!

Ludzie pogłaścili radia, wytężali słuch, żeby wśród trzasków nie uronić ani jednego słowa z wypowiedzi prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego.

– Wojna!!! Bandycki najazd armii niemieckiej bez wypowiedzenia wojny!!!

Krzyczeli ochrypniętymi głosami mali roznosiciele gazet. Mieszkańcy Warszawy nerwowo niemalże wyrwali z rąk gazeciarzy „Goniec Warszawski” z 1 września

1939 roku i rzucali 10 groszy, żeby przeczytać: „Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny wróg nasz rozpoczął działania zaczepne wobec Państwa Polskiego, co stwierdzam wobec Boga i Historii. (...)”

Wojna!!!

Wróg zaatakował z lądu, morza i powietrza. Na Warszawę posypały się bomby. Przed atakiem Luftwaffe stolicy broniły pododdziały Ośrodka Obrony Przeciwlotniczej. Niestety, nieskutecznie. Walili się domy. Ginęli ludzie. A był to dopiero początek. Potem była okupacja, rozstrzelania, obozy koncentracyjne, getta, Holokaust.

Nikt nie spodziewał się ataku z drugiej strony. O świcie 17 września rozpoczęła się agresja Związku Radzieckiego na wschodnie ziemie polskie. Rezultatem podpisanego 23 sierpnia 1939 roku paktu o nieagresji między Niemcami a Związkiem Radzieckim zwanym paktem Ribbentrop–Mołotow. Tak więc dokonał się IV rozbiór Polski. Na ziemie zagarnięte przez ZSRR, rozkazem Ławrija Berii, pierwsze wkroczyły oddziały NKWD dokonując masowych aresztowań. Wpadali do domów zniemacka wywlekając oficerów Wojska Polskiego, a rodziny wywożąc na Sybir.

Strach opanował mieszkańców ziem nad Bugiem. Ludzie patrzyli przerażeni jak Armia Czerwona wkracza do miast. Zajęte zostały Wilno, Brześć nad Bugiem, Białystok, Lwów, Łuck, Stanisławów.

Wojna!!!

Okazało się niebawem, że Polacy mają jeszcze jednego wroga, który z dnia na dzień rósł w siłę. Były to nielegalne, faszystowskie organizacje terrorystyczne: Ukraińska Powstańcza Armia i Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów Bandery. Chciały one za wszelką cenę stworzyć Sa-

moistną Ukrainę, a w Polakach widziano największych wrogów stojących na przeszkodzie do osiągnięcia tego celu. Napadały na wieś paląc je i w bestialski sposób mordując ludność cywilną, nie oszczędzając nawet swoich, jeżeli ci ich nie popierali. Członkowie tych organizacji byli dobrze zorganizowani podzieleni na kureny (odpowiednik batalionu) i sotnie (odpowiednik kompanii). Jak pisał Wiktor Poliszczuk „...to, czego dopuścili się OUN–UPA należy kwalifikować jako zbrodnie ludobójstwa”.

Nastała wyjątkowo ostra zima. Temperatura dochodziła do minus 41 stopni C. Mrozy trwały aż do marca.

Wschodnie rubieże Polski opanował mróz i Armia Czerwona. Brak było chleba, opału. W mieszkaniach na ścianach pojawiały się szron.

– Nawet przyroda jest przeciwko nam – mówili ludzie.

– To długo nie potrwa. Nie może długo trwać. Wojna przed świętami się skończy – pocieszali inni.

Łopienka, marzec 1940 roku.

Zima tego roku była wyjątkowo mroźna. Lód skuł bystry potok Łopienka. Na stokach Łopiennika i Korbanii zalegały grube warstwy śniegu chociaż był już marzec. Mała bojkowska wieś w Bieszczadach była odcięta od świata. Zasypane śniegiem chyże sprawiały wrażenie opuszczonych. Niskie, drewniane zabudowania pokryte strzechą przywarły do ziemi, jakby chciały się schować przed zimmem i przeczekać ten ciężki czas. Aby do wiosny. Z niektórych tylko wydobywała się wąska smużka dymu świadcząca o tym, że jednak ktoś tam żyje. Wszystkie były do siebie podobne, czy to Bojków, Łemków, Ukraińców, czy Polaków. A i ludzie nie pytali czyś Rusin, czyś Polak. Jednakowo się żyło. Biednie ale spokojnie. Do jednej cerkwi chodzili, do jednego Boga się modlili.

Dnie wprawdzie stawały się coraz dłuższe, ale ludziom nie chciało się z chałup wychodzić. Bo i po co? W pole nie pójdzie. Owiec na pastwisko nie wyprowadzi. Tylko stara Kawułyczowa nie mogła usiedzieć na miejscu. Okutała się jakimiś szmatami i brnąc po kolana w śniegu zastukała do Drozdów.

– Co tam u was? Dawnoście nie byli w cerkwi.

– W taki ziąb? Dziecka małe to i robota w chałupie zawsze się znajdzie.

Spojrzała z uśmiechem na bawiącą się w kącie czwórkę chłopaków. Jasne główki pochylały się na wystruganymi z drewna zwierzątkami.

– A wasz chłop?

– Ano siedzi i czeka jak lody zejda. Struga dzieciakom zabawki. A wy macie co do garnka włożyć?

Zmieniła temat i spojrzała na chudziutką, zgarbioną kobiecinę. Żał się jej zrobiło. Miała tylko syna, ale ten nie dbał o matkę. Stara wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała.

– Siadajcie przy ławie. Zaraz będzie wieczera.

Strzepnęła przy progu śnieg z butów, zdjęła z głowy chustę, odwinęła się z wierzchnich szmat i weszła do izby zasnutą dymem z pieca. Pociągnęła nosem i uśmiechnęła się do zapachów wydobywających się z garnka pomieszanych ze swojskim i miłym zapachem bydła. Drozdowie, jak wszyscy gospodarze, brali je do chyży na zimę. Bo to i zwierzątka nie zamarną, a i ludzi ogrzeją.

– Wasyl was pozdrawia – spojrzała z ukosa na Mikołaja, który w kącie coś strugał i udawał, że starej nie widzi.

– Podziękujcie – Maria wzruszyła ramionami i postawiła na stole wieczere.

Kawułyczowa rozsiadła się z zadowoleniem i przyciągnęła do siebie miskę z parującą kapustą, żeby łatwiej sięgnąć łyżką.

Mikołaj z ociąganiem wstał ze swego kąta. Nie lubił starej i jej syna ale się nie odezwał. Co robić. Gość w dom, Bóg w dom.

Łopienka, sierpień 1944 rok

Maria stała przy oknie zapatrzona na góry. Jej ukochane góry. Chciała zatrzymać ten obraz w pamięci. Zielone łąki, szumiące drzewa, które niedługo zaczną przybierać barwy złota i czerwieni.

– Jak tu pięknie – westchnęła. Zza góry ukazała się smużka dymu, żeby za chwilę buchnąć czarnymi kłębami. – Znowu jakaś wieś się pali. Już nie drżała na ten widok, nie odwracała głowy. Patrzyła w otępieniu.

– Mikołaj ma rację, trzeba uciekać. Tylko dlaczego tak daleko? Ciekawe jak tam jest? I gór tam nie ma.– Starą się wyobrazić tę wieś pod Lublinem, której nawet nazwy nie mogła zapamiętać. Jakaś samotna daleka krewna jej męża tam mieszkała. Przytuliła mocniej dziecko. To był jej najmłodszy, piąty syn, a tak chciała córeczkę – jak to może być bez gór? A gdzie się pasą owce? – Usiadła na malowanej skrzyni, rozpięła koszulę i zaczęła karmić niemowlę.

– Jedz, syneczku, jedz. Musisz się najeść przed podróżą. Jutro pojedziemy daleko – znowu westchnęła – przed tobą Jasiętku nowe życie. Zupełnie inne.

Tej malowanej skrzyni, co ją dostała jak szła za męża, też nie wezmą. Nie zmieściła się na wóz. Większość tobołków była już zapakowana. Rano tylko konia zaprzęgnąć i w drogę. Potem kolejną dalej – Boże! – przeżegnała się. Widziała kiedyś pociąg

jak była w mieście. A teraz mają jechać tym pociągiem. Jak to wszystko pomieścić w wagonie?

Skrzynia stała pod oknem, więc dalej mogła patrzeć na zielone łąki i czarne kłęby dymu. Zaczęła lekko się kołysać. Najedzone dziecko spokojnie zasnęło. Położyła je na poduszce w koszu pod ścianą, bo i kołyska była już na wozie. Ze ściany spoglądała Matka Boska Łopieńska. Duża ikona wisząca według zwyczaju w świętym kącie czyli we wschodnim rogu izby.

– Widzisz Jasieńku, Matka Boska nad tobą się pochyla, będzie cię strzec.

Wasył Kawułyca wyszedł z chałupy jak już szarzało. Nie chciał, żeby sąsiedzi widzieli jak idzie w stronę gospodarstwa położonego na skraju lasu. Stary Abramow jeszcze przed wojną pojechał do Ameryki. Za przywiezione pieniądze wystawił sobie okazałą chałupę. A dla zwierząt osobne pomieszczenia. Takich chałup w Łopience było cztery.

– Boh w pomoszcz?

– Czego chcesz?

– Ja do waszego dowódcy.

Młody, postawny mężczyzna założył ręce na piersi, stanął w rozkroku i zatarasował sobą wejście.

– Jakiego dowódcy?

– Nie udawaj Nikita. Wszyscy wiedzą, że u was nocuje komandir. A ja mam ważną sprawę.

– Co się tam dzieje?

– Kawułyca chce z wami gadać.

– Dawaj go!

Mężczyzna wrzucił ramionami i zrobił wąskie przejście, tak, że Wasył z trudem się przecisnął. Łypnął tylko na młodego spod oka ale się nie odezwał. – Lepiej z nim żyć w zgodzie – pomyślał – wiadomo, że to pierwszy zabijaka we wsi.

Wszedł do ciasnej, słabo oświetlonej izby. Zmrużył oczy, żeby dojrzeć siedzącego w kącie. Mężczyzna miał nie więcej niż trzydzieści lat. Niegolona od kilku dni broda zasłaniała pół twarzy. W migocącym blasku świecy błyszczały tylko czarne oczy.

– Chaj żywe Bandera!

Siedzący spojrział z ironią na gościa. Pogardzał tym szczerkiem, jak zawsze o nim mówił, ale jego informacje przydawały mu się.

– No co tam Wasył? Co we wsi? Dawno cię nie było.

– Ano, panekomandir, te Polaczki jutro wyjeżdżają. Ludzie mówią, że to przed wami chcą uciekać. Ponoć donieśli na milicję gdzie przebywacie. Teraz mają stracha.

Paweł odgarnął kosmyk włosów z czoła i bacznie przyjrzał



Bieszczady, widok na cerkiew w Łopience, fot. autorki.

się przybyłemu, aż temu ciarki przeszły po plecach.

– Donieśli... – powiedział cicho jakby się nad czymś zastanawiał.

– Rano byli w Baligrodzie. Ludzie mówią, że na milicji.

– Donieśli... – powtórzył powoli – no i więcej Lachy nie doniosą.

W nocy lunął rzęsy deszcz. Ksenia szturchnęła swego męża – obudź się, okno zamknij – ale ten tylko głośniej chrapanął i odwrócił się na drugi bok. Szturchnęła go jeszcze raz bez skutku, więc sama wygrzebała się spod pierzyny i podeszła do okna.

– Matko Przenajświętsza! – Krzyknęła – chałupa Drodzów się pali!

Przeraźliwy krzyk żony obudził Marcina. Jeszcze zaspany podszedł do okna. Pomimo ulewnego deszczu drewniane zabudowy gospodarstwa sąsiadów płonęły. Przerażony koń jakimś sposobem wydostał się ze stajni i jak oszalały popędził w stronę lasu.

– Wołaj chłopów!

Wybiegł z domu. Z innych chałup też zaczęli wybiegać ludzie ratować sąsiadów, ale i też ze strachu o własne domostwa. W ruch poszły wiadra z wodą. Wiatru nie było a ulewny deszcz sprzyjał gaszeniu. Widłami i grabiami zwalili przednią ścianę. Pożar przygasał. Wreszcie udało się go całkiem opanować i zrobiło się zupełnie ciemno. Deszcz powoli ustawał.

Krztusząc się od dymu weszli do izby. Ktoś przyświecił rozżarzoną polanem. Na środku leżeli gospodarze i ich dzieci. W zapadłej nagle ciszy usłyszeli zachrypły głos Marcina

– Nie od pożaru zginęli.

Marcin się przeżegnał i otarł pot z czoła. Inni także żegnali się nabożnie. Ktoś szepnął – zarąbani siekierami.

– Wczoraj znowu spalili jakąś wieś. Teraz Drodzów zamordowali. Dlaczego?

Pytanie zawisło w powietrzu jak groźna gradowa chmura. Każdemu przeszła przez głowę myśl „a kiedy moja kolej?”.

Mieli już wychodzić, gdy coś pod ścianą pisnęło.

Zdawało mi się – pomyślał Marcin.

Pisnęło znowu.

– Myszy?

Odwrócił się. Pod ścianą leżała ikona oparta o duży wiklinowy kosz.

– Matka Boska nie spłonęła. Zabierzcie ją Marcinie. Przecie nie może zostać w tych zgłiszczach.

Marcin Małyniakz należnym świętemu obrazowi szacunkiem uniósł deskę.

– Jasiek! Patrzcie chłopcy, to najmłodszy Maryśki! Żyje!

Wziął delikatnie niemowlę na ręce.

– Cud! Matka Boska go uchroniła. Przytulił dziecko i nawet nie starał się obejrzeć dwóch grubych łez spływających po zaornej zmarszczkami twarzy.

– Cud. Matka Boska go uratowała – powtarzali wszyscy szepem i żegnali się nabożnie.

Stojące przed chałupą kobiety przekazywały sobie z ust do ust wiadomość o cudzie.

Ksenia energicznym ruchem wzięła od męża niemowlę. Owinęła chustą zdjętą z głowy, bo noc była chłodna.

– Co zrobicie z Jaśkiem?

– Ano wezmę do siebie. Mamy czwórkę swoich, to i piąte się wyżywi.

– Dobry z was człowiek Marcinowa – komentowały baby – i odważny – dodawały.

Wrocław, październik 1984 roku.

Jan Małyniak wskoczył w ostatniej chwili do ruszającego z przystanku autobusu. Przecież nie może się spóźnić na wykłady. Nigdy i nigdzie się nie spóźnia. Studenci czekają. Parę miesięcy temu się habilitował. Będzie profesorem. On, chłop, z zapadłej bieszczadzkiej wioski będzie profesorem.

Na korytarzu złapała go za rękaw młoda doktorantka. Jej czarne oczy radośnie błyszczały, a kosmyk włosów wysunął się z upiętego kucyka. Dmuchnęła na kosmyk, który śmiesznie podskoczył i opadł w to samo miejsce.

– Jedziemy w Bieszczady!

– Kto my?

– Nasza grupa od psora Malinowskiego. Zapisałam ciebie. Nie chcesz zobaczyć naszych ziem wschodnich. To przecież kawał historii.

– Helenko – starał się opanować – przecież ja jestem mediewistą.

– Ale historykiem. Nie interesują cię dzieje ziemi ojczystej?

– Interesują – powiedział bez przekonania – ale moja matka niedomaga, nie wiem czy mogę ją samą zostawić.

– Przecież masz rodzeństwo.

– No tak, ale rozjechali się po świecie, a ja chyba byłem najbardziej z matką zżyty – uśmiechnął się z rozrzewnieniem – nawet bracia mieli mi to za złe, ale matka z siostrą bardzo mnie rozpieszczały. Wszyscy byli ode mnie dużo starsi.

– Twoja matka musi być wspaniałą kobietą. Kiedy ją wreszcie poznam?

– Poznasz, kochana, poznasz, ale teraz pędzę na wykład.

Helenka spojrzała na zegarek – o rany! – i pobiegła w przeciwnym kierunku.

Wieś pod Wrocławiem, październik 1984 rok

Ksenia siedziała przy stole i coś szyła czekając na syna. Od czasu do czasu zerkała na telewizor, na piękną koronkową serwetkę, którą Jan przywiózł z Koniakowa i sztuczne róże wyglądające jak prawdziwe. Ładnie to wygląda. Była dumna z ładnie urządzonego domu a szczególnie z telewizora. Lubiła oglądać programy o dalekich krajach i dzikich zwierzętach. Była ciekawa świata, a ten telewizor, och! Jaki to wspaniały wynalazek! Powtarzała ciągle Janowi. – Wczoraj pokazywali słonie. Jakie one mądre! Jak dbają o dzieci! – Mamo, zabiorę cię do ZOO – mówił – zobaczysz słonie na żywo. – Nie. Gdzie ja tam do jakiegoś zoa. Po co? Mam wszystko tu, przed nosem. Nie muszę się z domu ruszać. I pochyliła się nad szyciem. Przerabiała sąsiadkom stare sukienki, nicowała marynarki ich mężom, i wszystko było jak nowe. – Mamo, nie szuj tyle. Nie musisz. Masz za co żyć. – Zawsze się parę groszy przyda – odpowiadała. Czasem nawet tych paru groszy nie brała – a bo wiesz Filipowa ledwo wiąże koniec z końcem. Jan tylko wzdychał. Wiedział, że nie umiała siedzieć beczynnie. Przyzwyczajona była do ciężkiej pracy. Gospodarstwo pod Wrocławiem było większe niż to w Bieszczadach, ziemia lepsza to i łatwiej uprawiać, bo równina. Jan nie pamiętał, jak tu ich przywieziono, jak wysiedli z pociągu, załadowano z dobytkiem na furmankę i zawieziono na miejsce przeznaczenia. Nie było wyboru. Wszędzie ślady wojny. Dom był zrujnowany, bez drzwi, okien, żadnych mebli. Wałaca się stodoła i stajnia. Roboty było mnóstwo, żeby doprowadzić do

ładu. Udało się. Mąż dorabiał w pobliskim pegieerze i żyło się nie najgorzej. Dzieci wyszły na ludzi. Ksenia z dumą o nich myślała. Dwóch najstarszych zostało marynarzami. Jak to życie dziwnie się plecie. Urodzili się w górach a teraz mieszkają nad morzem. Ksenia nawet była u nich. Tydzień u Piotra, tydzień u Stefana. Dłużej nie wytrzymała. Woda i woda i ciągle wieje. To nie dla niej. Te równiny tutejsze też nie dla niej. Z początku ciężko się było przyzwycząić. Tęskniła za górami. Przynajmniej Ewcia wróciła do gór. Wyszła za męża za Górala z Białego Dunajca. Ale to nie te zielone stoki, dalekie przestrzenie i szumiące lasy. Franciszka nie widziała, ile to będzie – zastanowiła się i zaczęła liczyć na palcach – tak, idzie już szósty rok jak wyjechał do tej Ameryki. Tylko Janek został blisko. Usłyszała skrzypnięcie furtki i spojrzała przez okno. Idzie! Wysoki, barczysty, taki inny od pozostałej czwórki. I taki mądry. Pracuje na uniwersytecie a mimo to pomaga w gospodarstwie. Po śmierci Marcina nie dałaby sobie sama rady, no bo i siły już nie te.

– Jak się czujesz mam? Oczy sobie popsujesz, przecież tu jest zupełnie ciemno.

Patrzył z rozrzewnieniem na kobietę zgarbioną, siwą. Wydała mu się jeszcze mniejsza, drobniejsza niż parę dni temu.

– Oczy mam zdrowe syneczku. Nawet lekarz się dziwił, że takie mam zdrowe oczy. I cała jestem zdrowa jakbym miała trzydzieści a nie skończone osiemdziesiąt lat. Matka Boska czuwa. To, że się coraz gorzej czuje, że z trudem wstaje i plecy cały czas bolą nie mówiła. No bo i po co? Zaraz by ciągał po doktorach, a na starość nie ma lekarstwa. Doktory tylko pooglądają, postukają i tak nic nie pomogą. Starość nie radość, śmierć nie wesele.

Spojrzała na ikonę zawieszoną tak jak się wieszalo zawsze, pochylającą się nad mieszkańcami.

– Ciebie uratowała i mnie ma w swojej opiece.

Jan nic nie odpowiedział tylko się uśmiechnął pobłażliwie. Co go podkusiło, żeby powiedzieć Helence, że mama niedomagą. Po prostu nie chce tam jechać. Nie i już. W 47 miał trzy lata jak wyjechali. Nie pamięta nic i niech tak zostanie. Po co wracać do przeszłości, którą i tak zna tylko z nielicznych wspomnień rodziców.

– Wiem, wiem, nie wierzysz w to, a jednak...

Jak żywy stanął przed nią obraz Marcina z Jaśkiem na rękę. Był taki malutki i podduszony dymem. Gdyby nie ta ikona. Ciężka deska spadła na kosz i oparła się o jego brzegi. Córka Kseni miała wtedy osiem lat i razem z matką dbały o małego Jasia. Był taki mizernutki i cichy. Pokochały go jak swego.

– Mam, słyszysz mnie?

Otrząsnęła się z zamyślenia.

– Tak, tak, słucham.

– Zaproponowano mi wycieczkę w Bieszczady.

– Bieszczady. Piękne góry, nigdzie nie ma takich lasów i takiego nieba.

– Mam jechać?

– Jedź, ja nie miałam okazji, a może się bałam tam wracać? Jedź syneczku i zobacz co z naszą Łopienką. Może groby rodziców odwiedzisz?

O tym, że nie jest dzieckiem Kseni i Marcina dowiedział się przypadkiem już tutaj. Miał wtedy dziesięć lat. Franciszek kłócił się z ojcem o motorower.

– Powiedziałem – usłyszał głos ojca – nie dam, bo nie mam.

– Wszyscy koledzy mają motory, a ja tylko ten zdezelowany rower.

– Musimy kupić węgiel na zimę. Janek szybko rośnie. Potrzebne mu palto i nowe buty. A ty mógłbyś wreszcie iść do roboty. Masz prawie dwadzieścia jeden lat, nie uczysz się, nie pracujesz...

– Janek, Janek! – udał, że nie słyszał ostatniego zdania – zawsze ta przybłęda jest najważniejsza. Gdybyście wtedy go nie przygarnęli, nie byłoby teraz tyle wydatków.

Janek znieruchomiał. Stał pod oknem i starał się nawet nie oddychać.

– Jak tak możesz mówić – głos matki był cichy i drżący – nigdy nie robiliśmy między wami różnic.

– Janek jest nasz. Nie ma o czym gadać – ojciec podniósł głos.

Trzasnęły drzwi i Franciszek wybiegł z chałupy wściekły.

– Czego się gapisz gówniarzu – pchnął, aż chłopiec wpadł w maliny.

Wieczorem mama usiadła na łóżku obok niego – wiem, że słyszała Franka – pogłaskała go po głowie i wszystko wytłumaczyła.

Od tego czasu nikt nie poruszał tego tematu. Po jakimś czasie Franek kupił mu pudełeczko klocków.

– To z mojej pierwszej wypłaty, braciszku.

Bieszczady, październik 1984 rok

Był koniec października. Autobus z pracownikami Uniwersytetu Wrocławskiego z trudem pokonywał górskie serpentyny. Wszyscy byli w świetnych humorach. Śpiewali, przekrzykiwali się nawzajem. Adiunkt Zygmunt nie mógł usiedzieć na miejscu. Chodził po autobusie i co rusz przysiadł się do kolegów.

– I co powiesz panie doktorze? – Przysiadł się do Jana i

Helenki – napijcie się ze mną? – Wyciągnął z kieszeni pół litra i kieliszek – za twoją habilitację.

Jan w milczeniu wypił, podziękował i odwrócił głowę w stronę okna. Zygmunt mrugnął do Helenki, ale ta pokręciła przecząco głową.

– Nie, to nie – wzruszył ramionami i z piosenką

*„Hej Bieszczady, hej Bieszczady,
na Bieszczady nie ma rady,
chciałem sobie pokowboić,
a tu krowy trzeba doić”*

ruszył na koniec autobusu. Teraz wydzierało się już kilka osób
*„Na lenistwo nie ma rady.
Nie wchodziła w teb nauka,
pojechałem więc w Bieszczady,
by kowbojskich przygód szukać!
Hej Bieszczady!!!”*

Za oknem przesuwali się pejzaże jak z obrazów impresjonistów. Łagodnie stoki gór pokryte lasami płonęły w październikowym słońcu. Prawdziwa złota jesień. Helenka zachłysnęła się tym widokiem. Wychowała się w mieście. Małe podwórko między blokami wystarczało w zupełności do dziecięcych szaleństw. Były zabawy w Indian, Zorro w czarnej masce zrobionej z jakiejś różowej chustki, kolor był nie ważny, ważne, że Zorro wycinał na murze patykami Z, akcje trzech Muszkieterów albo czterech pancernych. Kolega spod piątki miał nawet kundla Szarika. Były szaleństwa i obite kolana. Ale nie było przestrzeni, zieleni i drzew i tych widoków. Do tej pory wydawało się jej, że złota polska jesień to wydumane przez poetów określenie.

– Jak tu pięknie! – Helenka kręciła się podekscytowana, nie mogła wyjść z podziwu – te kolory! To światło! Gdybym umiała malować, to bym to wszystko przeniosła na płótno! A może zaczęła malować? Tak! Postanowione! Mama zawsze mówiła, że ładnie rysuję.

Jan nie zareagował. Siedział milczący. W głowie mu kołatało: Łopienka, Łopienka.

Wycieczka nocowała w Cisnej. Następnego dnia z samego rana Jan z Helenką okazją dojechali do Suchych Wirów, a potem piaszczystą drogą szli w stronę Łopienki. Po obu stronach szumiał las i ani żywego ducha. Szli wzdłuż potoku, do którego dostępu broniły resztki betonowej barierki i wybujałe zarośla.

– Musiał tu być kiedyś uczęszczany trakt. Dość szeroki jak na większą drogę – zastanawiała się Helenka i oczami wyobraźni widziała jadące wozy załadowane zbożem, warzywami, jabłkami i innymi produktami rolnymi zmierzającymi do pobliskiej miej-

scowości. Wyobrażała sobie tych ludzi ubranych w siermięgi, tak jak na filmie „Chłopi”, którzy pokrzykiwali na konie i jechali na jarmark, żeby sprzedać swoje plony, a w zamian kupić garnki, sól, ubrania. Może kolorową chustę albo korale dla swojej dziewczyny, żony, matki?

– Czujesz ten zapach? Tam się coś dymi – pociągnęła nosem. Biały, ciężki dym snuł się nad drzewami. Doszli do niewielkiej polany otoczonej gęstym lasem starych drzew. Pocięte bukowe kloce ułożone w pryzmy zasłaniały piece. Zauważyli je dopiero jak podeszli bliżej. Helenka z zainteresowaniem patrzyła na te olbrzymie metalowe retorty do wypalania węgla drzewnego. Słyszała, czytała o tym ale nie wyobrażała, że są takie wielkie, monstrualnie wielkie – pomyślała. Podeszli do mężczyzny siedzącego na kłodzie. Mężczyzna spojrział na nich spod oka, rzucił na ziemię niedopałek i przydeptał. Splunął. Rękawem przetarł twarz czarną od sadzy.

– Dzień dobry – Jan odezwał się pierwszy.

– Ano, taki sobie – mruknął smolarz.

– Jak dojść do Łopienki?

– Łopienka? Była tam, prosto jak droga prowadzi.

– Była?

– Ano była – podniósł się i ruszył w stronę pieca. Uznał rozmowę za zakończoną. Miał przecież robotę.

Jan się też nie odezwał tylko pospieszył we wskazanym kierunku. Helenka z trudem mogła za nim nadążyć. Październikowe słońce grzało dość mocno jak na tę porę roku. Wkrótce na lekkim wzniesieniu ukazała się ich oczom maleńka cerkiew.

Tylko cerkiew!

Helenka usiadła pod starą lipą. Na wysokości jej oczu widniała ogromna dziupla. Pomyślała, że dziupla ta przypomina jej kształtem Matkę Boską. Jan wszedł do środka. Ogarnął go chłód. Ściany z rzeźbnych kamieni stwarzały nastrój doniosłości i spokoju. Ukląkł na drewnianym kłęczniku. Twarz schował w dłoniach. Tu był inny świat. Miał wrażenie jakby czas się cofnął. Nie pamiętał, nie mógł pamiętać. Był zbyt mały, żeby pamiętać tę cerkiew z lat czterdziestych ale czuł, że przynależy do tego miejsca. Do tej świątyni, do tej wsi, która została zmieciona z powierzchni ziemi. Zateśknął nagle za rodzicami, których nie znał. Ze ściany patrzyła na niego Matka Boska Łopieńska. Taka sama, jak ta wisząca w domu matki. Ta, co go uchroniła.

Nagle poczuł czyjś wzrok na sobie. Powoli podniósł głowę. Pod ścianą, oparty na miotle stał lekko zgarbiony człowiek.

– Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać w modlitwie – uśmiechnął się zakłopotany – rzadko kto odwiedza to miejsce.

Jego bładniebieskie oczy życzliwie spoglądały na Jana.

– Nie modliłem się. Myślałem o tym miejscu, o tym co tu się kiedyś wydarzyło. I ta ikona... – urwał w pół zdania. Czuł jak mu głos drży.

– To kopia. Oryginał jest w kościele w Polańczyku – mężczyzna wyraźnie chciał porozmawiać.

– Ach tak?

– Czasem tu przychodzę dopilnować remontu, posprzątać – powiedział szeptem odkładając miotłę pod ścianę. Przeżegnał się pospiesznie przed obrazem i stanął obok Jana. W 1983 roku zaczęto remont kaplicy. Jest zrujnowana – westchnął – dach sprzed wojny, co ją Żydzi z Baligrodu kładli zerwano, zniszczono jak całą wieś.

Jan podniósł się z klęcznika i obaj usiedli w ławce.

– Pan tutejszy?

– Tutejszy – w jego głosie słychać było smutek – Wyjechałem z rodzicami do Cisnej w czterdziestym siódmym. Miałem wtedy jedenaście lat. Siostra matki miała tam gospodarstwo. Męża i syna jej zamordowali, to nas przygarnęła.

Zamilkł. Patrząc przed siebie jakby oglądał obrazy z przeszłości.

– Tu nie można było zostać. Front przeszedł w czterdziestym czwartym ale spokoju nie było. „Najpierw Armia Czerwona przeprowadziła pobór do wojska pośród bieszczadzkich Bojków i Łemków, których uznano za swoich, przynależnych Związku Wolskiego. Jeden z mieszkańców Woli Michowej ukrył się przed poborem w strażnicy WOP-u w Łupkowie. Ktoś doniósł i radzieckie żołdacy przyszli po niego i rozwalili za dezercję. Potem pobór przeprowadzała UPA. Ci, którzy nie chcieli iść do lasu, narażali na niebezpieczeństwo nie tylko siebie ale także swoje rodziny. W Smolniku powieszono dwóch Łemków, w Szczerbanówce jednego. W Olszanicu powieć zastrzelił Rusina, bo ten nie chciał mu oddać swojej zapalniczki. Życie człowieka jest niewiele warte, kiedy rozum przyćmi nienawiść”. (A. Potocki: Przystanek Bieszczady. Bez cenzury. Rzeszów 2011, s. 156).

Bandy UPA napadały na mieszkańców. Zaczęły się wysiedlenia w głąb Rosji, to znaczy Związku Radzieckiego, a potem rozpętała się akcja „Wisła”. Wywożono ludzi na poniewierkę. Ukraińców, Łemków, rodziny mieszane, gdzie byli i Polacy. Miało to na celu zlikwidowanie zaplecza dla upowców.

Znowu zamilkł. Wpatrzony gdzieś przed siebie niewidzącymi oczami. Po chwili jakby wrócił do teraźniejszości i zupełnie innym tonem zaczął – w Lesku skończyłem technikum rolnicze i zostałem na roli.

– A co się tu stało? – Jan z trudem wy dobył z siebie głos.

– Wieś opustoszała, to ludzie z okolic brali co było. Deski, cegły, okna wyrwali z framugami. To już nikomu nie było potrzebne.

Zamyślił się. Obaj patrzyli na obraz wiszący w ołtarzu ale każdy zajęty był swoimi myślami. Jan starał się wyobrazić wieś, po której nie zostało śladu. Dom jego rodziców. Obejście Małyniaków, którzy go przygarnęli.

Mężczyzna odgrzebywał w myśli wspomnienia z dzieciństwa.

– Pod koniec wojny – zaczął mówić cicho i pomału – upowcy mordowali w okrutny sposób, palono całe wsie. Nie zważali kto był Polakiem, Łemkiem, Bojkiem czy Ukraińcem. Kto nie był z nimi, był ich wrogiem. Niektórzy Ukraińcy donosili im na innych mieszkańców. Na własnych sąsiadów. Często były to sąsiedzkie porachunki. Szczególnie był taki jeden. W czterdziestym czwartym, jakoś pod koniec lata, zanim front przyszedł, podpuścił ichniego komendanta, Paweł na imię miał ten komendant, na porządną rodzinę i wymordowali wszystkich, a chałupę spalili. Podobno jakimś cudem tylko dziecko się uratowało.

Twarz Jana stężała, poczuł, że się dusi, zacisnął pięści i wpatrywał się w mówiącego z natężeniem. A człowiek mówił dalej spokojnie jakby film opowiadał.

– Ale zakazano nam dzieciom mówić o tym. Rodzinę, która go przygarnęła też by zamordowali.

– Czemu doniósł? – wychrypiął Jan z trudem.

– Ja tam nie wiem. Matka mi mówiła, już po wojnie, że mieli jakieś sąsiedzkie zatargi. Matka by lepiej powiedziała.

– Szkoda, że już nie powie.

– A niby czemu? Pamięć ma świetną. Szczególnie do tych starych spraw. I lubi wspominać – westchnął – my to już tych wspomnień mamy dość. Jak pan chce możemy pojechać do mnie. Mam tu furgonetkę. Mama się ucieszy, że ma gości.

Nikt nie zauważył stojącej od kilku minut Helenki.

– Oczywiście, że chcemy.

Jan spojrział na dziewczynę, sam nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

– Tak proszę pana. Jesteśmy historykami i te sprawy bardzo nas interesują.

Zażywna staruszka posadziła gości przy okrągłym stole nakrytym wykrochmaloną serwetą w kratę, zrobiła herbatę, z kremu wyciągnęła ciasteczka.

– Niestety kupne – powiedziała – Piotruś, a daj no tej naleweczki, co ją przed tobą chowam – zachichotała – tak chowam, że zawsze znajdzie.

– Łopienka? Mówicie? Pamiętam odpusty, panie, jakie to były odpusty przed wojną. Największy był 13.sierpnia w dzień Położenia Ryzy Bohorodzicy. Narodu się tyle zjechało, że ludziska spali pod gołym niebem. Przyjeżdżali z różnych miast z Rzeszowa, z Krakowa, ze Śląska a nawet z Węgier i Rusi, i Bóg wie jeszcze skąd. A kramy jakie były! Wszystko można było kupić i buty, i futra, i jedwabie, i korale, i święte obrazy. A Żydzi sprzedawali owoce i różne bakalie. Ale wszystkim, to najbardziej się podobał niedźwiedź. Cygan go miał na łańcuchu i niedźwiedź tańczył. Mówię wam. Tańczył jak jaki artysta. A potem przyszła wojna. Bo wiecie, kochani – zaczęła snuć swoją opowieść – po lasach kryli się bandyci. To były grupy Ukraińców, którzy napadali na wieś, zabijali, rabowali. Działal tutaj kurenni „Rizun”. Byli okrutni. Mordowali starych, kobiety, dzieci – zamilkła, zapatrzyła się w okno, ale nikt jej nie ponaglał – długo jeszcze po wojnie – zaczęła po chwili – budziłam się w nocy zrana potem ze strachu, podchodziłam do okna i sprawdzałam czy nikt się nie zbliża. Młodych Ukraińców chłopców, a nawet dziewczyny, wciągali do bandy. Kto odmówił, to nie pożył długo. Każdy nowy musiał zabić Polaka na oczach oddziału. Mówili „Weźmiesz sobie Lacha albo lacką detinę i zabijesz”. (*St. Żurek: UPA w Bieszczadach, Wrocław 2010, s.185*). Nawet w Łopienie szkolili ludność cywilną do mordowania.

Zamilkła. Widać było, że nie może zapomnieć tamtego strachu.

„Unicy duchowni błogosławili członków UPA, poświęcali noże i siekiery – na smert Lachom – mówili – zabicie Lacha to nie grzech. I sotnie ruszyły”. (*A. Potocki: Zaginiony Świat bieszczadzkiego kresu. Bojkowie, Żydzi, Polacy, Niemcy i Cyganie. Wyd.2, Rzeszów 2014, s.60*).

We wsiach mieli swoich. Człowiek bał się nawet odezwać. Nigdy nie wiadomo kto usłyszy i doniesie. Był taki jeden we wsi. Wasyl Kawułyecz się nazywał. Donosił ich dowódcy o wszystkim. Podobno doniósł na polską rodzinę. Zamordowali wszystkich, rodziców, dzieci. Cudem najmłodsze się uratowało. Przygarnęli je sąsiedzi Ukraińcy. Nie wiem co z nimi. W czterdziestym siódmym wyjechali gdzieś na Zachód.

– Za co ich zamordowano? – Zapytała Helenka.

– Jak to za co? Za to, że byli Polakami. Mówili: „lacka krowa być po kolina”. (*A. Potocki: Przystanek Bieszczady. Bez cenzury. Rzeszów 2011, s. 156*).

Znowu się zapatrzyła w okno.

W ciszy, jaka zaległa w pokoju, nagle odezwał się Jan. Głos miał ochryply, mówił bardzo cicho.

– To ja jestem tym dzieckiem.

Helenka przełknęła ślinę, chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. To dlatego nie chciał tu przyjechać. To dlatego był taki ostatnio milczący.

Kobieta popatrzyła na mężczyznę i dwie ogromne łzy spłynęły po jej policzkach.

– Ty syneczku? Byłeś taki malutki, ledwo cię odratowali. A Ksenia, to odważna kobieta. Lubili ją we wsi i nikt nawet nie pisał, że to dziecko Drozdów.

Helenka nie zważała na rozmazany makijaż, głośno wytarła nos, a syn kobiety wyszedł pospiesznie do kuchni. Po dłuższej chwili wrócił ze świeżo zaparzoną kawą.

– W 1946 w „ciągu 10 dni zabili ponad stu wopistów, milicjantów i żołnierzy”. (*W. Mołodyński: Bieszczadzkie okupacje 1939–1945, Rzeszów 2016, s.149*). – Powiedział.

– W czterdziestym siódmym, jak zabili tego generała... – ciągnęła swoją opowieść.

– Świerczewskiego – dodał syn.

– No właśnie, sytuacja się zmieniła. Zaczęto wysiedlać ludność. Wioski opustoszały. Bandyci nie mieli się gdzie chronić, nie mieli co jeść. Ale nie chcieli się poddać. Kryli się w ziemiankach zamaskowanych od góry krzakami. Napadali na posterunki milicji i mordowali.

Wtedy właśnie Wasyl postanowił pójść na milicję i powiedzieć, co wie o ich dowódcy. Ten ich komandir ukrywał się u Abramów. To byli bogaci Ukraińcy. Mieszkali pod lasem. Jak Wojsko Polskie zaczęło wysiedlać wszystkich, to ich syn Nikita zwiął. Nikt nie wiedział gdzie się podział. Komandira złapali w lipcu i zawieźli do Rzeszowa. Tam go sądzili. A już w sierpniu ludzie mówili, że wykonano wyrok. Powiesili drania. A ten cały Wasyl podobno po wojnie uciekł na Śląsk i zmienił nazwisko.

Jan nie słuchał. Jego myśli zatrzymały się przy donosicielu Wasylu Kawułyeczu. Wyglądało na to, że wywinął się od odpowiedzialności. To on był winien śmierci jego rodziców. I on za to odpowie. Odnajdę go choćby na końcu świata. Postanowił.

Jan w drodze powrotnej do schroniska w Cisnej nie odezwał się słowem. Helenka też milczała. Jej wyobraźnia szalała. Przed oczami przesuwaly się te wszystkie zbrodnie, o których opowiadała kobieta, naoczny świadek. Nie widziała już czerwieni i złota. Lasy teraz wydały się mroczne, groźnie. Skrywały tyle tajemnic. Dawały schronienie bandytom.

Wszyscy zebrali się w kawiarni. Był gwar, wesołe rozmowy. Adiunkt Zygmunt jak zwykle bawił towarzystwo kawałami. Tylko Helenka z Janem siedzieli pod ścianą zamyśleni.

– No co, kolego?

Profesor Ryszard Malinowski przysiadł się do nich.

– Widzę, że jest jakiś problem. Łopienka? Swego czasu zbierałem materiały na temat zbrodniczej działalności oddziałów OUN–UPA. Natrafiłem na informację o Łopience. Sporo czasu mi to zajęło. To wieś z niesłychanie ciekawą historią. Ciekawą, a zarazem tragiczną. Jej początki datują się już na XVI wiek. Powstała na prawie włoskim w dobrach Bałów z Hoczwi. W 1672 roku Tatarzy najechali na ziemię sanocką. Dokonali ogromnych zniszczeń. W Łopience zostały tylko 3 domy. Nie oszczędzały też wsi wybuchające co jakiś czas epidemie: ospa, tyfus, koklusz dziesiątkowały mieszkańców. W 1915 roku przez Łopienkę przeszła linia frontu. Toczyły się tam krwawe walki. Ale wieś zasłynęła głównie tym, że ukazała się Matka Boska pod postacią ikony. Dlatego też stała się ośrodkiem kultu maryjnego. Ikonę umieszczono w cerkwi pw. Świętej Paraskiewii. Obecnie jest tam kopia, a oryginał znajduje się w Polańczyku. Obecna murowana cerkiew pochodzi z I połowy XIX w. Jan nie słuchał dalszej opowieści. Tragiczną historię Łopienki z lat czterdziestych znał z innego źródła. Z własnej historii. Jego myśli zatrzymały się przy ikonie. Przecież kopia Matki Boskiej Łopieńskiej wisi do tej pory w domu jego matki.

– Panie profesorze, jak znaleźć człowieka z tamtych czasów, który zmienił nazwisko i ukrywa się do tej pory?

Profesor się zamyślił a po chwili spojrzał uważnie na Jana.

– A jesteś pewien, że chcesz go odnaleźć? To jakaś rodzinna historia?

– W pewnym sensie. Muszę to sobie przemyśleć, poukładać.

– Dobrze się zastanów, czy na pewno chcesz tego kogoś odnaleźć i co zrobisz, jak już odnajdziesz.

Wrocław, listopad 1984 rok

Dziewczyna siedziała w swoim pokoju. Zasunęła zasłony i tylko mała lampka świeciła na biurku. Wcisnęła się w ogromny, stary fotel. Czarne, lśniące włosy ściągnęła gumką, wierzchem dłoni starła dwie duże łzy z policzka, nie zważając na rozmazany makijaż. Ta wyprawa w Bieszczady rozstroiła ją zupełnie. I Jan się zmienił. Stał się milczący. Jakiś taki obcy. Jak mu pomóc? Jak odnaleźć tego donosiciela. To ta tajemnica była powodem, że nie chciał przedstawić jej swojej matce. Ksenia. Co za dziwne imię? O swoim dzieciństwie nic nie mówił. Teraz to rozumiem. Bieszczady, Łopienka....

– Helenko, córeczko, kolacja na stole. Udało mi się dzisiaj kupić 20 dkg krakowskiej bez kartek.

W drzwiach stanęła Wanda. Patrzyła na córkę z rozrzewieniem. Jaka ona podobna do ojca. Te błyszczące czarne oczy i włosy jak smoła. I taka drobnutka jak on. Była od matki niższa prawie o głowę. Jej ojciec też był od Wandy niższy i chudszy. Znajomi żartowali, że ona wszystko zjada i dla niego nic nie zostaje. Ale charakter ma mój. I buzię ma taką śliczną. Też po mnie – pomyślała z satysfakcją – całe szczęście. Jest energiczna, odważna, wie czego chce. Roman był taki jakiś zastraszonej, taki skurczony ze strachu. Tak zawsze myślała patrząc na niego. Nic dziwnego, był przecież w AK kimś ważnym więc musiał się po wojnie ukrywać. Nie miał żadnych papierów oprócz szkolnej legitymacji z niewyraźnym zdjęciem. Z otrzymaniem dowodu osobistego miał jakiś problem. Dowód dostał dopiero w 1954 roku.

– Już idę – Helenka powoli wstała z fotela – wiesz, myślałam o Janie. Ta wyprawa w Bieszczady – zastanowiła się – jakby to powiedzieć? Zrobiła na nim ogromne wrażenie. Od powrotu jest taki jakiś nieobecny.

Usiadły w kuchni przy stole. Kolacje zawsze jadły razem od kiedy Helenka pamiętała. Przez cały dzień zajęte swoimi sprawami, pracą, szkołą, ale wieczory były ich. Wspólne. Jak tu powiedzieć mamie, że chce się przeprowadzić do Jana. Rozmawiali o tym od dłuższego czasu. Jan nalegał. Czasem może nawet zbyt natarczywie.

– Mamo, ja...

–Wiem, chcesz się wyprowadzić.

– Ale... Skąd wiesz?

Wanda się roześmiała szczerze, serdecznie.

– To było do przewidzenia. I nie ma przeciwwskazań.

– Naprawdę? – kanapka z krakowską zatrzymała się w pół drogi – ale...

– Dam sobie radę, no i chyba będziecie mnie odwiedzać?

– Ale – powtórzyła po raz trzeci. Odłożyła kanapkę – wiesz, że jesteś najlepszą matką na świecie?

– A ty nieznośną córką, jedź kolację.

– Jan jest ode mnie starszy o 12 lat.

– Twój ojciec był ode mnie straszny ponad dwadzieścia.

– Opowiedz mi o nim. Jak się poznaliście, jaki był? Nigdy nic nie mówiłaś.

Herbata była już prawie zimna. Wanda jednym haustem wypita pół szklanki. Przed oczami zaczęły przesuwać się obrazy z przeszłości. Zaczęła mówić.

Był chłodny, jesienny poranek 1954 roku. Jak zwykle wpadłam na peron w ostatniej chwili. Do księgarni, w której pracowałam miałam dwa przystanki, a pociąg, jak zwykle, miał opóźnienie.

– Pociąg za chwilę przyjedzie.

Spojrzałam na mówiącego. Stał pod ścianą nieco oddalony od innych podróżnych, w zniszczonym prochowcu, z obszarpaną teczką pod pachą. Słabe jeszcze o tej porze dnia promienie słońca padały na jego lekko siewające czarne włosy. W jego postawie wyczuwało się jakąś nerwowość. Był mały, chudy i brzydki. Pociąg akurat nadjechał, więc wsiadłam nie oglądając się na niego. W pracy nawet o nim nie pomyślałam, ani tego dnia, ani przez kilka następnych. Chociaż codziennie coś do mnie zagadywał. A to, że znowu pociąg się spóźni, a to, że deszcz pada. Tak jakbym sama tego nie zauważyła. Z początku to mnie irytowało, ale z czasem się przyzwyczaiałam. Aż pewnego dnia, tuż przed nowym rokiem wręczył mi pakuneczek.

– Dla mnie?

– Tak.

I nic więcej nie powiedział. Otworzyłam dopiero w pracy. Położyłam na biurku i powoli zaczęłam rozwijać papier. W środku była bombka na choinkę. Najzwyklejsza w świecie. Ani ładna, ani brzydka i to mnie rozczuliło. Nie śmiej się. Właściwie sama nie wiedziałam dlaczego.

– To od twojego wielbiiciela?

Koleżanki nachyliły się nad prezentem.

– Czekaj, tu jest jakaś karteczka.

„Czy zechce pani wypić ze mną kawę? Zapraszam. Roman”.

– No, no, nie możesz odmówić!

Wszystkie trzy zaczęły chichotać.

Nie odmówiłam.

Siedzieliśmy w jakimś obskurnym barze szybkiej obsługi i w milczeniu patrzyli przez brudne okno.

Potem były milczące spaceru w mroźne zimowe wieczory. A gdzieś tak koło Wielkiej Nocy wprowadził się do mojego skromnego mieszkanka. Miał tylko dwie koszule i szczoteczkę do zębów, ale na życie dawał dość pokaźną sumkę. Dziwiłam się z początku skąd ma pieniądze, ale nie pytałam. Pracował w fabryce to i zarabiał. Kupiłam mu trochę ubrań, buty. Jak byłam w dziewiątym miesiącu ciąży wyprowadził się po cichu, tak jak był cicho cały czas. Na drugi dzień w skrzynce znalazłam list z krótką informacją: „Wybacz, muszę uciekać. Namierzyła mnie bezpieka. Nie mów nikomu, że mnie znałaś. Opiekuj się naszym dzieckiem. Roman”.

– I nie odezwał się więcej?

– Nie, nie wie nawet czy ma córkę, czy syna.

– Skąd pochodził, może wrócił w swoje strony?

– Chyba był gdzieś z Kresów. Mówił z takim charakterystycz-

nym akcentem, a czasem nawet wtrącał obce słowa. Chyba po rosyjsku.

– I nie próbowałaś go odnaleźć?

– To on powinien do nas wrócić.

Wrocław, październik 1954 rok

Roman Piotrowski stał, jak zwykle, oparty o słup z różnymi ogłoszeniami. Nie lubił tłumy. Ciągle miał wrażenie, że w tłumie może go ktoś zaatakować. Strach się nasilił, kiedy na ulicy Opola zobaczył dawnego znajomego. I chociaż ten go nie zauważył, to na wszelki wypadek przeniósł się do Wrocławia. O pracę w fabryce, nie było trudno. Industrializacja kraju ułatwiała sprawę. Praca w fabryce, hotel robotniczy, można się było urządzić. I nawet, jak na ten czas, zarobki były nie najgorsze. Do fabryki musiał dojeżdżać pociągiem kilka przystanków. Stawał więc codziennie rano pod tym słupem i rozglądał się bacznie, czy nikt na niego się nie czai. Tę postawną blondynkę zauważył już kilka dni temu. Przypominała mu trochę jego dawną miłość, tylko była o wiele młodszą. Wreszcie się odważył i zagadał. I tak się jakoś potoczyło, że w końcu zamieszkali razem. Wiedział, że dziewczyna jest sierotą, po ciężkich przejściach wojennych, on o sobie nic nie mówił. Po co? To nie była miłość, po prostu oboje byli bardzo samotni, a ona była spokojna, nie dopytywała się o nic.

Wrocław, styczeń 1956 rok

Ranek był mroźny. Śnieg, który spadł w nocy skrzył się w blasku nielicznych latarń. Roman wyszedł na dworzec i stanął, jak zwykle, pod słupem. Wanda została w domu, od kilku dni czuła się gorzej. Niedługo miało nastąpić rozwiązanie.

– Wracając kup mleko i chleb. Nie jestem w stanie wyjść nawet do sklepu – Wanda trzymając się za brzuch z trudem przeszła z łazienki na tapczan, położyła się i przykryła kocem – tak jakoś mi zimno.

– Może przynieść ci jakieś lekarstwo?

– Tu lekarstwo nie pomoże. Termin mam za dwa tygodnie, ale chyba maleństwo spieszy się na świat.

– Ciekawe po co – mruknął do siebie i wyszedł delikatnie zamykając drzwi.

Na dworzec przyszedł przed czasem. Stanął oparty o słup i myślał o dziecku. Syn czy córka? Właściwe było mu to obojętne. Tak naprawdę, to kochał tylko jedną kobietę, która go zdradziła i wyszła za innego. Właściwie nie było mowy o zdradzie, bo on nigdy jej o swoim uczuciu nie mówił. Nigdy nic go z nią nie łączyło, ale i tak poczuł się zdradzony, odrzucony, upokorzony, a tego

nie mógł puścić płazem. Wiele lat hodował w sobie chęć zemsty, pielęgnował, pieścił aż w końcu...

Te rozmyślenia przerwał mu nagły ból ramienia. Obejrzał się. Za nim stał ogromny mężczyzna i żelazną łapą ścisnął jego ramię. Opanował go taki strach, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– No, i ja ciebie znalazł. Ty durak, myślał, że uciekniesz? Że się przede mną schowasz. Wiele lat ja ciebie szukał i znalazł – roześmiał się jakby opowiedział dobry kawał – szkoda, że komandir już tego nie widzi. W tym momencie nadjechał pociąg. Ludzie pospiesznie ruszyli do wagonów. Zrobiło się zamieszanie. Ktoś ich popchnął. Ktoś zaklął, że stoją na drodze. Romanowi udało się uwolnić

z uścisku. Błyskawicznie wmieszał się w tłum. Skurczył się, zmałał jeszcze bardziej i jak jaszczurka wpełzł do wagonu pod łokciami podróżnych. Przejechał kilka stacji bacznie się rozglądając. Do fabryki już nie poszedł. Na poczcie napisał kilka słów do Wandy. Zaadresował, przykleił znaczek i wrzucił do skrzynki. Zamknął za sobą kolejny etap życia. Znowu trzeba uciekać. I tak już będzie zawsze.

Wrocław, listopad 1984 rok

Wanda nie mogła spać. Leżała wpatrzona w sufit. To, że Helenka się wyprowadzi, to było naturalne. Lubiła Jana, wierzyła, że córka będzie z nim szczęśliwa. Taka kolej rzeczy. A poza tym, pierwszy raz pomyślała poważnie o Stanisławie. Sąsiad z przeciwka dwa lata temu w wypadku stracił żonę. Sam też przez dłuższy czas był niesprawny i Wanda pomagała mu w zakupach, czasem podrzuciła obiad, jeździła z nim do lekarza. Teraz on się odwodził. Był na rencie, więc od czasu do czasu coś wystąpił dla niej w kolejce. Przyniósł kawę albo papier toaletowy. Dobrze im się rozmawiało. W końcu zasnęła. Rano z trudem zebrała się do pracy. Mimo miłych myśli wieczorem w nocy dręczył ją znowu ten sam sen. Jadą przez pustynię. Jest gorąco, nie ma wody. Małe dzieci płaczą. Ona nie płacze. Patrzy w niebo. Jeszcze nie leżą samoloty. Jeszcze nie będzie bombardowania. Bolał obdarte pięty. Buciki za małe. Zdejmuje. Teraz ma na nogach szpilki. Czarne, błyszczące. Też są za małe.

Wstała rozdygotana. Zimny prysznic trochę ją uspokoił. Popatrzyła na swoje pięty. Nowe szpilki obtarły ją do krwi. Kupiła je kilka dni temu. Dzisiaj musi ubrać stare buty. Te na koturnie. Helenka smacznie spała. Wyszła do pracy po cichu. Wiedziała, że córka zajęcia dzisiaj rozpoczyna dopiero o 10.

Wrocław, grudzień 1984 rok

– Namysliłaś się wreszcie? – Jan objął Helenkę i przyciągnął do siebie – ile czasu można mieszkac w dwóch domach? – Zaśmiał się – znowu rano szukałaś butów i okazało się, że są u mamy.

– Wiem, wiem, ale już niedługo. Nie mogę mamy zostawić samej na święta. A poza tym Malinowski naciska, żebym oddała ostatni rozdział, a ja jestem w lesie. Po świętach wezmę się energicznie do roboty i na Wielkanoc się wprowadzę. Obiecuję.

Jan westchnął, odsunął Helenkę na odległość ramienia i spojrzał w oczy.

– Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

– Wiem – zaśmiała się – a co z tą obiecaną kolacją? Miałaś przygotować coś ekstra. Co to takiego?

– Niespodzianka – i wyszedł do kuchni. Słyszała zamykany piekarnik i po chwili rozeszły się smakowite zapachy. Jan wrócił z butelką szampana i dwoma kieliszkami. Postawił na ławie.

– Zaczynamy od szampana?

– Kolacja będzie za 15 minut, a tymczasem – zawahał się. Przez myśl przeleciało mu jak błyskawica, czy aby jest tego pewien, czy na pewno dobrze robi? Już za późno na odwrót.

– O co chodzi?

– Zostaniesz moją żoną?

Z kieszonki wyciągnął pierścioneł, delikatnie ujął jej dłoń i wsunął na palec.

Była szczęśliwa. Nagle ten ponury grudniowy wieczór stał się najpiękniejszym dniem w jej życiu.

– Tak – wyszeptwała i mocno objęła go za szyję.

Potem była wspaniała długa noc i bardzo krótki sen. Rano obudził ją zapach kawy. Za oknem padał śnieg. Duże płatki przylepiały się do szyby. Życie jest piękne!

Białe Dunajec, grudzień 1984rok

Ewa Byrcyn stała przy oknie i z niecierpliwością patrzyła na drogę. Śnieg sypał gęsto, niewiele można było zobaczyć. Patrzyła na osnieżone choiny, słyszała dzwonki sanek. Będą ładne święta – pomyślała. Cieszyła się na spotkanie brata. Nie widziała go od ponad roku. Jej ukochany braciszek przyjeżdża z narzeczoną. Najwyższy czas, żeby się ożenił.

– Babciu, babciu! Idą! – Pięcioletnia Agusia wpadła do kuchni nanosząc śniegu – wujek z taką panią.

Helenka była wzruszona serdecznym powitaniem. Uściskały się z Ewą i Ksenią, jej córką. Mała Agusia z rozpędem rzuciła się na szyję o mało nie wyracając Helenki. A Antek, mąż Ewy ogromny, zwalisty Góral z pogodną twarzą stwierdził, że Jan nie zasługuje na taką piękno babe.

– Też się dziwię, że mnie chciała.

Okazało się, że Antek jest nauczycielem w gimnazjum i uczy języka polskiego. Lubi czasem wtrącić coś po góralsku. Ewa nigdy nie pracowała zawodowo.

Po serdecznym powitaniu usiedli przy stole. Kwaśnica na baraninie, moskole i kawał mięsa. Nie zabrakło oscypków. Nauczyłam się tutejszej kuchni, ale gotuję też barszcz ukraiński i ruskie pierogi. Tak dla urozmaicenia. Czasem nawet robię bryjkę. Jotyz przecie ślubnego miłujem, na rano i wieczór byjke mu gotujem – zaciągnęła po góralsku.

Po obiedzie Ksenia wniosła sernik i kawę.

– Ewka, po takim sutym obiedzie już nam się nic nie zmieści – zaśmiał się Jan.

– Wszystko było pyszne, a sernik wygląda cudownie – dodała Helenka – ja się nie oprę.

– Widzisz Helenko, my się tu nie odchudzamy. Wystarczy na nas popatrzeć – Ewa poklepała się po brzuchu.

– A ja się odchudzam – stwierdziła Agusia pałaszując drugie, spory kawał sernika – będę chuda, stanę modelką i zarobię kupę dukdów. A ciocia gdzie mieszka? Z wujkiem?

Helenka uśmiechnęła się do małej.

– Nie. Mieszkam ze swoją mamą.

– To tak jak ja – popiła sernik herbatką malinową – a czemu? Bo nie macie ślubu? A jak będziecie mieć, to zamieszkacie razem? A jak będziecie mieć dzieci to będą moimi kuzynami? Tak jak Mirka? Ona ma kuzynów w Krakowie. Są fajni, ci kuzyni.

– Agusiu, słonko, daj już spokój – wtrącił się Antek.

Popatrzyła z ukosa na ojca.

– No dobra, chciałam wiedzieć. A kiedy będzie wesele?

– Agusiu!

– Udał ci się sernik – zwróciła się do babci i zeskoczyła z krzesła – to ja lecę.

I już jej nie było.

– Byłeś w Łopience – raczej stwierdziła niż zapytała Ewa – ja tam byłam kilka lat temu.

– Nic nie mówiłaś.

– Bo i po co?

– Opowiedz co pamiętasz z tamtej nocy. Mama nie chce wracać do wspomnień.

– Wcale się nie dziwię. Chętnie bym wymazała z pamięci tamten czas, gdyby tak się dało.

Westchnęła i po chwili zaczęła opowiadać.

– Miałam wtedy osiem lat. Pamiętam dobrze tamtą noc – urwała i wpatrywała się w szklankę kawy jakby tam zapisane były jej wspomnienia.

– Obudził nas krzyk mamy „chałupa Drozdów się pali!”. Ojciec się zerwał i wybiegł z domu ratować sąsiadów. Lał deszcz. Pomyślałam, to dobrze, nasza chałupa się nie zajmie. Mama szybko się ubrała, narzuciła chustę i też wybiegła. Nam kazano zostać. Pożar, ulewa, krzyki ludzi, to trwało wiecznie. I nagle zapanowała cisza. Deszcz ustał, pożar ugaszony, ludzie zamilkli. Czuć tylko było swąd spalenizny. A po chwili weszła mama z zawiniątkiem w chuście.

– To Jaśko. Przeżył. Od dzisiaj to wasz brat. Nie wolno wam inaczej mówić, bo zginiemy wszyscy.

Oczy Ewy się zaszklily.

– Był taki malutki, ledwo żywy – zwróciła się do Helenki – pokochałam go od pierwszej chwili – spojrzała na Jana, położyła dłoń na jego dłoni – tak braciszku. Wszyscy pokochaliśmy ciebie.

A potem – zaczęła znowu wspomnienia – był strach. Ciągłe płonęły jakieś wsie. Kto się sprzeciwiał bandom ginął nieraz w strasznych mękach. Myśmy jakoś przetrwali. W czterdziestym siódmym wyjechaliśmy na Zachód, na Ziemię Odzyskaną.

Opuściliśmy Łopienkę w 1947 roku. Miałam 11 lat. Niewiele rodzin już zostało we wsi po deportacjach w 1946 do Związku Radzieckiego. Miało to ponoć zakończyć działania UPA. Pomimo wysiedleń zbrojne oddziały band nie zaprzestały walki. Deportowano wtedy z listy ludność Rusińską wyznania greckokatolickiego. Wszyscy w Łopience byliśmy unitami, rodziny mieszane a nawet polskie, jak Drozdowie – spojrzała na Jana – zresztą – dodała po chwili – była tylko ta mała cerkiewka ze świętą ikoną. Do tej pory zastanawiam się, dlaczego nas na tej liście nie było. Tak jak powiedziałam, we wsi zostało kilka rodzin. Jednak nie na długo. 28 kwietnia 1947 roku, dobrze pamiętam tę datę, żołnierze Wojska Polskiego otoczyli wieś. Już wcześniej rozeszły się pogłoski, że będą ludzi wyrzucać z ich własnych domów.

– Jak to? – mówili – mamy iść na poniewierkę? Ruskie nasz zostawiły a nasi wyganiają? A jak zabrać cały swój dobytek? Zwierzęta?

Bo dla nas, Bojków, krowy, owce, kozy były żywicielami. Zostawić zasiane pola, kwitnące sady, które zapowiadały urodzaj jabłek. A chałupy? Strach przed niewiadomym rósł z dnia na dzień. Aż rankiem przyszło wojsko. Pierwsza zobaczyła ich stara Fedczykowa.

– Ludzie! Wojsko idzie! Będą mordować!

Strach, który nam towarzyszył od kilku lat teraz się spotęgował. Nikt wcześniej nie widział żołnierzy w mundurach i z karabinami. Przedtem baliśmy się upowców, a teraz?

– Boh pomyluj! Co to będzie? – Lamentowały kobiety.

– Gospodipomyłuj!

Żołnierze otoczyli wieś. Ten ich najważniejszy wyszedł na przód.

– Macie trzy godziny na spakowanie swojego dobytku. Zostaniecie przewiezieni na stację, a tam pociągiem dalej. Każdy z was dostanie gospodarstwo na Ziemiach Odzyskanych. Zostaniecie przewiezieni w charakterze osadników rolnych. Nikomu się krzywda nie stanie – dodał ciszej.

Mama nie straciła głowy. Do kapy wrzuciła to, co było w spiżarni: chleb, słoninę, kaszę, solony ser i mocno zawiązała. Z chlebowego pieca wyciągnęła jeszcze ciepłe bochenki. Nam kazała włożyć kozuchy, te co na zimę. Buntowaliśmy się – przecież jest wiosna, ciepło.

– Wkładajcie, szybko! Szybko!

Ojciec wyprowadził krowę i zarzucił tobolek na plecy. Mama owinęła Jaśka grubą chustą i wzięła go na ręce. Był mały, miał dopiero 3 latka.

– A Matka Boska? Ikona? – przypominałam sobie w ostatniej chwili i pędem wróciłam do chałupy.

Biedna była ta nasza chyzą. Własnymi rękami rodziców zbudowane. Nasza ojcowizna. Opuszczaliśmy nasze kochane góry.

Szliśmy drogą wzdłuż potoku pod eskortą żołnierzy. Za nami zostały zielone łąki żyta i pszenicy, dojrzewające w ogrodach warzywa i obsypane kwiatami drzewa w sadach zapewniające urodzaj.

– Dokąd nas prowadzą?

– Co z nami będzie?

Pytały przerażone kobiety. Mężczyźni szli w milczeniu, zrezygnowani. Małe dzieci płakały, starsze rozglądały się zaniepokojone. Bydło porykiwało. Dziwna to była procesja.

Zeszliśmy w dół do szosy. Tam czekały na nas ogromne auta. Teraz to wydaje się śmieszne, ale my, dzieci, nigdy aut nie widzieliśmy, ani tego jakiegoś pociągu.

Na pociąg czekaliśmy całą noc. Wreszcie podstawiono wagony. Takie w jakich wozi się bydło. Rozległy się wrzaski.

– Wsiadać! Ruszać się!

Trzymałam się kurczowo mamy.

– To jest pociąg?

Chłopcy rozglądali się z obawą, ale i z ciekawością.

Wsadzono nas do wagonów razem ze zwierzętami. Jechaliśmy kilka dni i nikt nie wiedział dokąd nas wiozą. Brakowało wody. Dzieci płakały, kobiety się modliły, a zwierzęta ryczały. W końcu dojechaliśmy do jakiejś małej miejscowości. Wszędzie

były ruiny, wojna nie ominęła tego zakątka ziemi. Patrzyliśmy z przerażeniem, jak tu żyć? Gdzie mieszkać? W końcu przydzielono nam zrujnowaną chatę. Bez drzwi, bez okien. Nie było ani jednego sprzętu. Stołu, łózka. Nic. Ale znaleźli się dobrzy ludzie. Polacy, przesiedleńcy z Kresów. Przymaszczyli jakieś łózka, jakieś krzesła. No i zaczęliśmy układać życie na nowo.

Po wspomnieniach Ewy długo siedzieli wszyscy w milczeniu. Wreszcie Ksenia, córka Ewy przerwała milczenie.

– Ale już bandy UPA wam nie zagrażały.

– Tak, chociaż jeszcze długo budziłam się w nocy z krzykiem, że wieś płonie, że idą z siekierami na nas. A tutaj, w szkole, wołali za mną Ukrainka! Ruska! Wracaj do swoich! Po jakimś czasie się uspokoiło. Wtopiliśmy się w tamtejszą społeczność. Wyzbyłam się akcentu. W liceum już nikt się nawet nie domyślał mego pochodzenia.

A potem poznałam Antka i wróciłam w góry.

Granica polsko-radziecka, kwiecień 1985 rok

Pociąg szarpnął i stanął. Mężczyzna się obudził i spojrzał na zegarek. 6.10. Byli na granicy.

– Dokumenty do kontroli!

Do przedziału wszedł pogranicznik.

Mężczyzna niedbałym ruchem wyciągnął papiery i podał funkcjonariuszowi.

– O, pan już trzeci raz do Polski? – popatrzył podejrzliwie – pana bagaże?

Nikita bez słowa ściągnął walizkę z półki.

– Co pan wiezie?

– Eta mai licznyje wieszczci i podarok dla syna siostry.

– Często pan jeździ...

– Wot, depesza. Mój otecumier.

– Ach, tak? – pobieżnie przejrzał zawartość walizki, zasalutował i wyszedł.

Podróżnych czekało kilka godzin na granicy. Nikita poczuł jak wagon się unosi. Wstał, żeby rozprostować kości. Otworzył okno. Nikt nie protestował. Do wagonu wpadło świeże, chłodne powietrze. Wyraźnie też było słyhać szcęk przesuwanego podwozia i głośne rozmowy kolejarzy. Wreszcie pociąg ruszył. Patrzył na mijane łąki pokryte delikatną zielenią. Przed nim było jeszcze kilka godzin podróży.

Szczecin, kwiecień 1985 rok

Do Szczecina przyjechał pod wieczór. W domu panowała cisza. Wszyscy siedzieli przy stole. Na jego widok tylko siostra się

podniosła. Podszedł do matki i ucałował jej ręce. Dziesięcioletni syn siostry podbiegł do niego.

– Wujku, co masz dla mnie?

Babcia ostrym spojrzeniem skarciła chłopca, ale ten się nie przejął.

– Łunochod na baterie. Tylko go rozpakuję – powiedział łamaną polszczyzną.

– Siostra do szklanki nalała wódki, a po chwili z kuchni przyniosła parujący talerz bigosu – dobrze, że już jesteś.

– Ojciec coś mówił zanim... – głos uwiązł mu w gardle. Jednym haustem opróżnił zawartość szklanki.

– A mówił, mówił – odezwał się z kąta młodszy brat – trzeba zakończyć sprawę Wasyla. I ty to zrobisz. Ty nie stąd. Nikt cię nie zna. Wyjedziesz, nie będą cię szukać.

– Tak mój synu, żeby nie ten zdrajca Wasyl, ojciec nie trafił by do Jaworzna, nie stracił zdrowia. Żył by jeszcze. Pomsta to twój obowiązek!

– I komandira by nie powiesili – dodał brat – a teraz słuchaj, wiemy gdzie jest, namierzyliliśmy go bez trudu. Pojedziesz tam i załatwisz sprawę do końca.

– Skąd wiadomo gdzie jest?

– Nasi są wszędzie. Dużo wiedzą i dużo mogą – napełnił szklankę – za Samoistną Ukrainę!

– Za Ukrainę!

Warszawa, maj 1985 rok

Porucznik Marek Liniewski nerwowo krążył po swoim gabinecie. Śmierć obywatela Związku Radzieckiego nie dawała mu spokoju. Od kilku dni nie ruszyli z miejsca. Tak, to już ponad tydzień, jak grupa autostopowiczów znalazła pod Warszawą zwłoki mężczyzny. Zajrzał do materiałów rozłożonych na biurku. Nikita Abramow, lat 58, wzrost 190 cm, cztery rany klute, równoległe w odległości 4 cm. Prawdopodobnie widły. Postawny, zdrowy, trzeźwy, tak stało w raporcie ze sekcji. Musiał go ktoś zaskoczyć. Sam przecież się nie nadział. Poszukiwania sprawcy bez rezultatu. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła 18.

– Cholera!

Szybkim ruchem wsunął papiery do szuflady. Zamknął gabinet, zbiegł po schodach i wszedł do swojego wysłużonego malucha. Umówiony był na kolację. Żona przyjaciela, Zosia miała dzisiaj imieniny i jak co roku zaproszonych było kilka osób. Wprawdzie po odejściu żony kontakt na jakiś czas się urwał, ale od roku znowu zaczęła spotykać się z ludźmi. Żona,

już teraz była, zabrała kota i odeszła z jakimś doktorkiem psychiatrą.

Wpadł do domu, przecież nie pójdzie na imieniny w mundurze. Po drodze kupił kwiaty, piękny, wiosenny bukiet i dodatkowo jedną różę. Miał cichą nadzieję, że siołka Wandę. Wanda z Zosią przyjaźniły się od czasu wojny. Przemierzyły cafe Indie. Zosia, kilka lat starsza od Wandy traktowała ją jak siostrę. Po wojnie obie trafiły do babci Zosi do Wrocławia. Po śmierci babci wyprowadziła się z mężem do Warszawy. Wanda została we Wrocławiu. Przyjaźniły się nadal i często odwiedzały.

Był piękny majowy wieczór. Porucznik odetchnął pełną pierśią i pomyślał, że sprawy służbowe mogą poczekać.

Byli już wszyscy. Wanda siedziała na fotelu i sączyła czerwone wino. Zosia częstowała kanapkami.

– O Marek! Nareszcie. Jaki piękny bukiet.

– Wszystkiego najlepszego Zosiu. Wyglądasz jak zwykle uroczo.

Po obowiązkowych uprzejmościach przysiadł się do Wandy.

– Miałem nadzieję, że panią tu spotkam.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale gospodarz domu nie pozwolił.

– Jak się czują nasi przestępcy? Jakaś nowa zbrodnia do wykrycia?

– Żebyś wiedział. Facet został nadziany na widły, a w dodatku ruski.

– To musisz się śpieszyć z wykryciem sprawcy. Bracia Rosjanie nie popuszczą.

Porucznik westchnął i zwrócił się w stronę Wandy. Reszta towarzystwa zaczęła się zastanawiać, czy to chodzi o przemyt, a może to członek mafii?

– Wandziu, pozwól pani, że tak się będę zwracał, mogę po przyjęciu cię odwieźć?

– Ale ja nocuję u Zosi.

– W takim razie proszę zaczekać.

Po chwili wrócił z różą.

– To dla ciebie kwiatuszek.

– Ładny kwiatuszek – roześmiała się – ma chyba z pół metra.

Liniewski był z siebie zadowolony. Wanda wpadła mu w oko od pierwszego momentu, gdy ją zobaczył. Taak, wspomniął z rozrzewnieniem, przyszli do Zosi na imieniny razem z żoną. Zaczęło już się między nimi psuć. Właściwie, to nigdy nie układało się tak jak trzeba. Podobno ciężko być żoną milicjanta, a on tak się starał. Bywało, że kosztem służby. Nie doceniła tego. Wolała jakiegoś świra. Bo przecież każdy psychiatra w końcu zeświruje.

To pewne, jak w banku. Porucznik był o tym święcie przekonany. Wtedy żona zechce do niego wrócić, ale on będzie już z Wandzią. Tak wtedy pomyślał i teraz zaczął działać. Dlatego ten „ładny kwiatuśzek”.

Wrocław, maj 1985 rok

Pachniało kawą i świeżo upieczonym ciastem. Mieszkanie było małe i przez to przytulne. Urządzone skromnie ale ze starannością, dbałością o szczegóły. Pokój, w którym siedzieli był w tonacji brązów i beżów. Jego ulubione kolory. Jasnożółte zasłony dodawały pokojowi słonecznego blasku.

Jan czuł się tu dobrze. Taki spokój. W jego rodzinnym domu nigdy nie było spokoju. Dzieciaki hałasowały, matka krzającą się postukiwała garnkami. Ojciec tubalnym głosem upominał synów i dawał mądre przestrogi jedynej córce. I nagle zatęsknił za swoim domem, za dzieciństwem. Pomimo wielu niepowodzeń i przykrości jakie go spotykały było wspaniałe. Latem za oknem szumiały topole, nie wiadomo kiedy i przez kogo posadzone. Śpiewały ptaki. Na dachu położyli z ojcem stare koło i boćki zrobili tam gniazdo. Przylatywały co roku i wychowywały pisklęta. Pewnego roku, miał chyba wtedy dwanaście albo trzynaście lat jedno pisklę zostało z gniazda wyrzucone. Było najstarsze, dlaczego więc miało odbierać jedzenie tym silnym? Wyrzucili biedaka, a Jan się nim zaopiekował. Odkarmił. Nauczył latać. Bocian zamieszkał w stodole. Po podwórku chodził razem z kurami. Był lepszy od psa. Obcego nie wpuścił. Nieraz sąsiadki zza płotu wołały *Małyniako-wa, a zamknijcie no tego boćka bandytę, bo wejść nie daje!*

– Na jaki temat milczysz? – Helenka wniosła filiżanki z kawą i uśmiechnęła się do zamyślonego Jana.

– Wspominałem dzieciństwo.

Wanda krzątała się w kuchni. Po chwili weszła z tacą sernika.

– To dzieło Helenki.

– Przepis mam od twojej siostry.

Siedzieli przy stole. W telewizorze migały jakieś obrazy. Nagle pojawiła się na ekranie twarz mężczyzny i krótka informacja. Znalaziono zwłoki Nikity Abramowa. Kto miałby o nim jakieś informacje proszony jest o zgłoszenie się do komendy stolecznej.

– O, to chyba o nim mówił w Zosi porucznik. Mówił też, że to obywatel Związku Radzieckiego – Wanda nałożyła sobie spory kawał sernika – mówił też – dodała – że jak szybko nie rozwikła tej sprawy, to będą kłopoty.

– Abramow? – Jan się zastanowił – Nikita Abramow? Helenko czy nie takie nazwisko mówiła ta kobieta w Cisnej? To nie u nich ukrywał się ten upowiec?

– Tak, na pewno.

– Nikita Abramow? Zniknął w czterdziestym siódmym, a teraz pojawił się jako nieboszczyk. Czy może mieć coś wspólnego z Wasylem? Chyba nie, tyle lat po wojnie? Chociaż? Ten Wasyl doniósł na milicję, że ukrywa się u nich, jak ta kobieta mówiła? Komandir.

Szczecin, maj 1985 rok

– Mamo! Mamo! Wujek w telewizorze!

Anastazja Berdaj weszła do pokoju.

– Co się tak wydzierasz?

Chciała jeszcze pokrzyczeć na dziesięciolatka, że zawraca głowę, a ona ma przecież tyle garów do mycia. Weszła do pokoju i zaniemówiła. Twarz Nikity wypełniała cały ekran i znikła. Komunikatu już nie usłyszała. Zrobiło się jej gorąco i o mało co nie wypuściła z ręki wycieranej akurat szklanki. Czyżby go złapali?

– Co mówili, jak pokazali wujka?

– Nooo – mały się zastanowił – kto go widział ostatnio. Chyba.

Usiadła na wersalce i patrzyła w ekran. Może powtórzą? Zaczął się jakiś serial. Na pewno powtórzą przy wieczornych wiadomościach, pomyślała.

– Biegnij po wujka Igora, a ja idę do babci.

Zebrali się wszyscy w pokoju babki Abramow. Okazało się, że Igor widział i słyszał to, co w telewizji. Nie mógł jednak uwierzyć.

– Powiedzieli, że Nikita nie żyje. Szukają kogoś, kto widział go ostatni raz.

W ciszy jaka zapadła głos babki Abramow zazgrzytał nieprzyjemnie.

– Dureń! Dał się zabić Kawułyczowi? Temu niedorajdzie?

– Skąd wiesz, że zabity? Tego nie powiedzieli.

– A co? – wychrypiąca babka – niby tak sobie wziął i umarł?

Zabity. Ja to wiem.

Wszyscy popatrzyli na babkę z niedowierzaniem.

– Zabity?

– Zabity! Zabity!

Nikt nie śmiał zaprzeczyć. Przecież babka zawsze wiedziała wszystko najlepiej. Mimo podeszłego wieku ona decydowała o wszystkim. Jak w sycylijskiej mafii burczał pod nosem mąż Anastazji, ale też się podporządkował.

– Gdzie trzeba się zgłosić?

Stara nie zastanawiała się długo.

– Mówili – Igor był ze wszystkich najbardziej przejęty. Starszy brat był dla niego wzorem i marzył, że zabierze go kiedyś do siebie, że będzie mógł wyjechać z tego kraju wrogów. Tak Nikita zawsze mówił. Kraj wrogów i Igor mu wierzył.

– Mówili – powtórzył, żeby się zgłosić do Komendy Głównej Miasta stołecznego Warszawy.

– Anastazja pojedzie. Sama. Wystarczy jak zgłosi się tylko siostra. Zrozpaczona siostra. A ty słuchaj uważnie – zwróciła się do córki – co te milicjanty mówią. Co wiedzą?

Nie było dyskusji. Anastazja miała pociąg następnego dnia wcześniej rano.

Warszawa, maj 1985 rok

Tymczasem pod Warszawą przeszukiwano okolice Józefowa. Przesłuchano autostopowiczów.

– To było okropne – roztrzęsiona dwudziestolatka nie mogła zapanować nad drżeniem rąk. Z trudem utrzymała szklankę wody podaną przez milicjanta – chłopaki stali na drodze, a ja z Grażyną chciałyśmy trochę odpocząć, no weszliśmy w te krzaki, a tam leży człowiek. Grażyna zaczęła krzyczeć, bo mnie zamurowało. Głosu nie mogłam z siebie wydobyć. To było okropne – powtórzyła – facet leżał na wznak a tu – pokazała w okolice brzucha jedna krwawa plama.

Jeden z autostopowiczów był na tyle rozsądny, że nie pozwolił zbliżyć się do leżącego. Pulsu – jak twierdził – nie było co sprawdzać, bo widać na oko, że człowiek nie żyje.

Według wezwanego na miejsce lekarza biegłego sądowego ciało leżało w krzakach kilka dni.

W rozmięklej po deszczu drodze, która prowadziła do miejsca znalezienia zwłok wyraźnie odbiły się ślady opon dużego samochodu. Nieco mniejsze ślady wskazywać mogły na niewielką przyczepę. To, że zwłoki były tu przywiezione, nie wzbudzało żadnych wątpliwości.

Szczęście, pomyślał porucznik oglądając to miejsce, że wtedy padało, a teraz ziemia wyschła i ślady są jak na dłoni. Książkowy przykład. Technicy sprawnie wzięli się do zabezpieczania śladów. Zrobili, jak zwykle, mnóstwo zdjęć i gipsowe odlewy opon. To już coś. Jest jakiś trop. Gorzej było z odciskami butów. Te były zatarte przez autostopowiczów. Po dłuższych oględzinach, porównywniach natrafiono na odcisk jaki mógł zostawić duży gumowy but.

– Takich gumofilców nie miał żaden z tych dzieciaków.

Technik wskazał palcem na swoje odkrycie. Była już wbita przy nim tabliczka z kolejnym numerkiem.

– To już coś – powtórzył Liniewski tym razem głośno – ale ciągle mało. A w trawie nic ciekawego?

– Ciągle szukamy.

Weszli ostrożnie w krzaki patrząc pod nogi. Zwłoki były już zabrane. Miejsce gdzie leżały obfotografowano i ogrodzono. Żadnej wskazówki, tylko kilka złamanych gałęzi.

Czekała ich ciężka praca.

Kilka dni śledztwa. Odwiedzanie okolicznych gospodarstw. Szukania narzędzia zbrodni i samochodu. Bez rezultatu.

Badania laboratoryjne wykazały, że rany były zanieczyszczone końskim nawozem. A więc morderca ma konia albo konie. W okolicznych gospodarstwach były widły, były konie ale nikt nie miał samochodu z przyczepą.

Denata ktoś przywiózł. Mógł przyjechać nawet z drugiego końca Polski.

– Sierżancie – zwrócił się do Markiewicza – pojeździecie po okolicy, popytacie. Zahaczcie o stacje benzynowe. To mogła być przyczepa jaką wozi się konie. Nie wielka ale dość wysoka. Charakterystyczna. Może ktoś zauważył.

Sierżant westchnął po cichu. Nie cierpiał pracy w terenie i rozmowy z ludźmi. Był nietypowym milicjantem, daleko mu było do Borewicza z „07 zgłoś się”, wolał wypełniać papierki. Koledzy więc często to wykorzystywali śmiejąc się za jego plecami.

Rozmyślenia Liniewskiego na koński temat przerwał sierżant.

– Jakaś kobieta w sprawie denata.

Porucznik spiorunował podwładnego wrokiem ale nie zdążył nic powiedzieć o jego nietakcie. Do gabinetu weszła postawna elegancka kobieta na oko koło pięćdziesiątki.

– Anastazja Berdaj – przedstawiła się – jestem siostrą Nikity Abramowa – i podała dowód osobisty.

– Proszę usiąść – wskazał krzesło naprzeciwko siebie i skinął ręką na sierżanta – notuj.

– Pani mieszka w Szczecinie – czytał dane z dowodu – kiedy widziała pani brata ostatni raz?

– Brat był u nas w kwietniu. Wyjechał od razu po pogrzebie ojca. Na pogrzeb przyjechał. Brat mieszka we Lwowie. W Szczecinie mieszkamy od 1947. Brat został w ZSRR. Rozdzielono nas... – zawahała się – to znaczy w 47 my przenieśliśmy się z naszej wsi do Szczecina.

– Nie martwiła się pani o brata?

– Wyjechał do domu. Co się miałam martwić? Skąd mogłam wiedzieć...?

Dyskretnie wierzchem dłoni otarła łzę.

To kobieta, która nie poddaje się nastrojom, a przynajmniej nie chce ich okazywać – pomyślała a głośno zapytała.

– Często przyjeżdża?
– Nie często. Jak dla mnie za rzadko. Mama też chciałaby go częściej widzieć.
– Brat po przyjeździe do domu nigdy się nie odzywał?
– Niby jak? Z zagranicy?
Popatrzyła na niego zaskoczona.
– No, tak. Co mógł brat robić w Warszawie? Ma tam znajomych?
– Nie wiem. Może z Warszawy miał pociąg? Znajomych żądnych w Polsce nie ma.
– Może ma jakiś wrogów w Polsce.
– Żadnych znajomych tu nie ma, to i wrogów mieć nie może – odpowiedziała dość nerwowo, prawie ze złością.
Liniewski popatrzył na nią uważnie. Coś ukrywa.
– Dziękuję pani. Proszę jeszcze tylko podpisać – wskazał ręką w stronę sierżanta – i może pani wracać do Szczecina.
Rozmowa z Anastazją nie posunęła śledztwa ani o krok. Dalej nie wiedział kto i dlaczego zamordował Nikitę Abramowa.

Gdzie jeszcze są konie? Zaczął zastanawiać się porucznik. Przeszukania prywatnych gospodarstw nic nie dały. Nie trzeba było długo czekać. Informacja w telewizji przyniosła rezultat. Wprawdzie było kilka bezsensownych telefonów, ale ten wydał się porucznikowi prawdziwy. Dzwoniła kobieta pracująca w stadninie koni. Sam przecież się zastanawiał gdzie są konie. Dużo koni, cała stadnina. Tak, to mogła być prawdziwa informacja. Janów Podlaski.

– Szefie ale to kawał drogi.
– Zwłoki zostały przewiezione samochodem. Mogły przyjechać z Janowa. Jedziemy!

Co miał robić..... Szef każe, kierowca musi. Pojechali.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Jechali ponad trzy godziny. Wreszcie dotarli do miejscowości Wygoda położonej wśród bujnych nadbużańskich łąk, oddalonej od Janowa o 2 kilometry. Stadnina obejmowała ogromne przestrzenie.

– To raj dla koni – zachwycał się sierżant.

Z daleka zobaczyli rozległy XIX wieczny budynek stajni Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Podjechali pod zabudowania dyrekcji. Milicyjny samochód, z którego wysiedli dwaj funkcjonariusze w mundurach wzbudził zainteresowanie osób kręcących się przy stajni. Bez trudu odnaleźli sekretariat.

– Dyrektor u siebie?

– Tak, proszę poczekać.

Niewysoka trzydziestolatka zajrzała do gabinetu. Po chwili wyszedł dyrektor Stadniny. Był wyraźnie zaskoczony wizytą milicji.

– Dostaliśmy informację, że tutaj widziano zamordowanego Nikitę Abramowa. Sprawdzamy wszystkie ślady. Informacja była na tyle prawdopodobna, że przyjechaliśmy. Chyba nie będzie miał pan nic przeciwko temu jak porozmawiamy z załogą? Sprawdzimy samochody. Macie tu chyba jakieś dostawcze wozy? Przyczepy na konie?

– Podejrzewacie, że u nas kryje się morderca? Tak, oczywiście, mamy dostawcze samochody, przyczepy na konie, traktory... Ale nie widzę związku. A skąd ta informacja?

Liniewski nie lubił się tłumaczyć, doszedł jednak do wniosku, że bez nakazu tylko uprzejmością osiągnie coś u dyrektora nastawionego bojowo.

– Tak jak mówiłem telefonowała do nas osoba ze stadniny.

– To ja dzwoniłam.

Typowa sekretarka – pomyślał porucznik – elegancki kostiumik, nienaganna fryzura. Jakoś nie pasuje do tego miejsca.

– Pani Stefania Rudzik, prowadzi sekretariat – przedstawił ją dyrektor.

– Widziałam tego człowieka. Zagadnął mnie o jakiegoś Wasyla, nazwiska nie pamiętam. Mówił tak dziwnie. Ni to po polsku, ni to po rosyjsku. Złapał mnie za ramię. „Wiem, że tu jest” powiedział. Wystraszyłam się. Był taki wielki, miał chyba ze dwa metry. A potem zobaczyłam w telewizji ten program. To zadzwoniłam.

– Czy ktoś go jeszcze widział?

– Nic o tym nie wiem, a pani mogła mnie uprzedzić.

– Przepraszam – sekretarka nerwowo naciągnęła zakiet – nie wiedziałam, że to pana zainteresuje.

– Wszystko, co tu się dzieje mnie interesuje – zwrócił się do sekretarki, a do porucznika – z obsługą możecie panowie porozmawiać. Dzisiaj ma dyżur Paweł Pawlik, młody chłopak. Przejdźmy do stajni. Powinien być jeszcze starszy człowiek. Emeryt, pracuje u nas na $\frac{3}{4}$ etatu.

Weszli do dużego pomieszczenia. W boksach stały konie, niektóre spokojnie, inne rżały na widok przybyłych.

Roman siedział w boksie i wpatrywał się w małego źrebaka. Jego ulubiona klacz Rozalia ledwo przeżyła ten poród. Kochał konie. Od zawsze. Jak był dzieckiem marzył o własnym. Sąsiedzi mieli konia. Często widywał ich córkę, jak o świcie pędzi przez łąki. Zawsze na oklep. Dwa grube złote warkocze podskakiwały

na plecach jak dwa olbrzymie węże. Tak mu się zawsze kojarzyło. Była piękna. Maria. Kochał się w niej od lat, a ona wyszła za tego Polaczka. Jego wyśmiała.

– Co? Ja z tobą na tańce? To, co, że odpust? Wybij to sobie z głowy!

Wyszła za tego Polaczka i co rok rodziła mu dzieci. Konno już nie jeździła ale piękna była nadal. Warkocze upinała w koronę.

Nie ma Marii, nie ma jej męża, nie ma dzieci.

A on jest. Nie, właściwie to jego już dawno też nie ma.

Poczuł się bardzo stary i samotny. Całe życie uciekał. Bał się własnego cienia.

Z zamyślenia wyrwał go jakiś ruch i głosy. Zaczął nasłuchiwać. Milicja? Tutaj?

– Przychodzi tu taki stary człowiek. Emeryt. Dorabia sobie. Widać, że kocha konie. Ma do nich dobre podejście. Powinien być przy Rozalii.

Wstał i bezszelestnie wymknął się ze stajni.

– Paweł!

– Z boksu wyszedł postawny chłopak około dwudziestki.

– Tak, szefie... Sprzątam u Zefira. Właściciel ma po niego dzisiaj przyjechać.

Oparł się na widłach i spojrzał na milicjantów z zaciekawieniem.

– Co pan robił w nocy z 27 na 28kwietnia, z soboty na niedzielę? – Porucznik nie bawił się w tłumaczenie o co chodzi.

– Sobota? Niedziela? 27 na 28 kwietnia? – chłopak popatrzył zaskoczony – byłem w domu.

– Czyżby? – funkcjonariusz patrzył na niego badawczo – przypomnij sobie.

– Tak – głos mu się załamał – tak, w domu – dodał niepewnie.

– Nie jeździłeś nigdzie służbowym samochodem?

– Nie – cofnął się o krok – a o co chodzi?

Milicjant zignorował pytanie. Kłamię skurczybyk w żywe oczy.

– Sprawdźmy, a inni pracownicy? Mówił pan o jakimś emerycie – zwrócił się do dyrektora. Emeryta nie było.

– Kto jeździ dostawczymi samochodami. Które samochody opuszczały teren z soboty na niedzielę? Macie chyba jakiś harmonogram wyjazdów.

– Sekretarka przygotowuje panom listę wszystkich pracowników i wykaz samochodów, które w tym czasie opuszczały teren.

Siedzieli w skromnie urządzonej sekretariacie. Pani Stefania zaparzyła po turecku trzy kawy i postawiła na biurku. Z szafki

wyciągnęła cukier i mleko. Widać było, że z trudem opanowuje drżenie rąk. Nie uszło to uwagi Liniewskiego. Co jest grane? Boi się szefa? Mają coś na sumieniu?

– Z soboty na niedzielę? – pomału zaczęła kartkować grubą księgę – nie, wszystkie maszyny były na miejscu. W sobotę nikt nie wyjeżdżał. – przesunęła palcem po kartce z rubrykami – a nie! Paweł Pawlik, ale odstawił o 17-tej. Odwoził Zefira.

– Mogę zobaczyć dostawcze samochody? – porucznik zwrócił się do dyrektora, który właśnie zajrzał do sekretariatu.

– Oczywiście, ale widzi pan, że my wszystko dokładnie odnotowujemy.

– Stan licznika też?

– Oczywiście.

W aucie, którym jeździł Paweł okazało się, że nabitych było kilometrów o wiele za dużo.

Cholera, nie obejdzie się bez pomocy miejscowych.

Podporucznik Ryszard Zaraś, komendant MO w Janowie siedział w swoim nowym biurze i napawał się nominacją na szefa milicji w Janowie. Od dawna uważał, że należał mu się ten awans jak psu buda. A teraz stukał nowym ołówkiem w nowe biurko i czekał. Na co? Tego nie wiedział ale przecież coś musi się wydarzyć, żeby on podporucznik Ryszard Zaraś mógł się wykazać. W tym momencie zadzwonił telefon. Wyciągnął rękę po słuchawkę ale szybko ją cofnął. Niech ten ktoś poczeka, przecież on jest bardzo, ale to bardzo zajęty. Odebrał po czwartym dzwonku.

– Tak jest poruczniku. Zapraszam do siebie Oczywiście służę pomocą. Cały mój komisariat, szczególnie dobitnie podkreślił mój, jest do pańskiej dyspozycji. Tak. Czekam.

No i coś się zaczyna dziać. Zatarł rękę z zadowoleniem.

Liniewski wszedł do pokoju pachnącego świeżą farbą i środkami czystości. Usiadł na wygodnym krześle zaproszony uprzejmym gestem gospodarza.

– Co sprowadza szanownego kolegę ze stolicy na naszą prowincję?

– Nie taka znów prowincja. Janów jest znany na całym świecie ze swoich arabów.

– No właśnie. Arabcy – westchnął Zaraś – a miasto z ludźmi się nie liczy. No nic, musimy się z tym pogodzić.

– Taaa. Na waszym terenie – porucznik przeszedł od razu do sprawy – widziano naszego nieboszczyka. Jeszcze żywego – dodał po chwili.

– O!?

– Chodzi o przesłuchania świadków. Wy znacie tutejsze układy, układziki...

– No, niby tak.

– I żeby moi technicy mogli się porozglądać. Chodzi o stadnię. O samochody, przyczepy i tak dalej.

– Tak, naturalnie. Wszyscy moi ludzie są do waszej dyspozycji.

A w duchu pomyślał, że to on rozwiąże sprawę. Będzie lepszy od tego porucznika z Warszawy. On i jego ludzie. Aż uśmiechnął się do swoich myśli.

Technicy z Warszawy wzięli pod lupę podejrzany samochód. Oglądali, brali odciski palców i jakieś próbki wykładziny z samochodu i przyczepy, oleju, zaglądali w każdą dziurę. Fotografowali.

Szczególnie zainteresowała ich przyczepa, którą Paweł woził Zefira.

– To krew?

Jeden z techników pochylił się nad burą plamką widniejącą na plandecie.

– Możliwe. Bierzymy do analizy.

Dyrektor chodził wokół nich z marsową miną.

– W moim ośrodku? To skandal! Jak to się dostanie do prasy... – Zmełł w ustach przekleństwo – a niedługo pokaz arabów. Zjadą się potencjalni nabywcy...

Technicy robili swoje bez słowa i wyjechali. Na wyniki trzeba czekać.

– Powiem wszystko – Paweł siedział naprzeciw porucznika. Koledzy z komisariatu w Janowie odstąpili pokój, w którym porucznik spokojnie mógł prowadzić przesłuchanie.

– Tak, wziąłem samochód, ale tylko na godzinkę. Słowo. Ilona, to moja narzeczona, przeprowadzała się. Przewiozłem jej meble. Wiem, że dyrektor by nie pozwolił. Zrobiłem góra 20 kilometrów. Nie więcej. Nie wiem skąd nabiło aż 500.

– I odstawiłeś auto z przyczepą do garażu.

– No, nie. Garaże są zamykane na noc. Samochód postawiłem na placu, rano miałem wprowadzić.

– I ?

– I rano auto było w garażu. Pomyślałem, że któryś z kolegów...

– Nic nie zwróciło twojej uwagi?

Porucznik Liniewski wpatrywał się uważnie w rozmówcę.

– Dziewięć, że takie ubłocone. Przecież w sobotę nie padało.

Mówi prawdę. Porucznik po tylu latach pracy wyczuwał kłamstwo na kilometr. Zeznania logiczne.

– Może pan odejść.

Ilona, dziewczyna Pawła, szczupła brunetka z wypiekami na policzkach potwierdziła.

– Tak. Przeprowadzałam się. Niewiele mam rzeczy, ale osobowym bym nie przewiozła. Paweł mówił, że dyrektor się zgodził, i że problemów nie będzie. To tylko jeden kurs. Wieczorem. Potem auto odstawił i przyszedł do mnie. Sąsiedzi widzieli. Sąsiadowi postawił pół litra za pomoc we wnoszeniu szafy.

– Mamy wyniki oględzin auta i przyczepy. Technicy uwinęli się szybko – do gabinetu wszedł komendant miejscowej milicji i usiadł z faksem w rękę na miejscu niedawno przesłuchiwanego.

– W aucie mnóstwo odcisków palców – mówił podekscytowany – samochód jest stale eksploatowany. Jeżdżą nim wszyscy, oprócz dyrektora, sekretarki i tego emeryta. Porównaliśmy odciski z zebranymi od wszystkich pracowników. Cholerna robota. Co dziwne, auto i przyczepa były dokładnie wyczyszczone kilka dni temu. Od tego czasu naniesiono różne zanieczyszczenia, ale badania potwierdzają nasze przypuszczenia. Znalaziono mikroskopijne ślady krwi. To ta sama grupa co u denata. Bez wątplenia w przyczepie przewożono zwłoki. Porównanie odcisków opon i butów z odlewami zrobionymi na miejscu wyszło pozytywnie. To te same opony. A buty. No, coż są to odciski gumowych butów, jakie noszą tu wszyscy ludzie pracujący przy koniach.

Komendant był bardzo z siebie zadowolony. To przecież jego ludzie odwalili najgorszą robotę. Porównywali odciski palców wszystkich pracowników stadniny. Doprowadzali świadków. I w ogóle bez niego śledztwo utknęłoby w martwym punkcie.

Liniewski z trudem się opanował. W miarę delikatnie wyjął z rąk podporucznika faks i przebiegł oczami tekst. Zarsa dokładnie mu streścił informacje w nim zawarte. Czytał skurczybyk, a faks zaadresowany jest wyraźnie do mnie.

– Eugeniusz Myrdo. Lat 23. Pracownik stadniny w Janowie. Zgadza się?

Myrdo skinął głową.

– Proszę odpowiedzieć. Musimy zaprotokołować.

– Zgadza się.

– Co pan robił z soboty na niedzielę 27 na 28 kwietnia?

– Byłem na weselu siostry – nerwowo zaczął trzeć policzki

– mam świadków. Ze sto osób albo więcej. Cały czas tam byłem.
– Kiedy ostatni raz pan jeździł służbowym dostawczym samochodem?

– Noo – zawahał się – dawno. Tydzień temu albo dwa. Nie pamiętam.

– Sprawdzimy.

– Nazwisko, imię?

– Waldemar Piątek.

– Lat?

– Trzydzieści

– Mieszkaniec wsi Wygoda?

– Tak.

Szczupły, niewysoki mężczyzna usiadł na brzegu krzesła i nerwowo tarł dłonie.

– Pamięta pan, co robił 27 na 28 kwietnia?

– Akurat pamiętam – odgarnął włosy z czoła – byłem na weselu kuzyna. Zabawa była do rana. Potem się przespałem, a w niedzielę były poprawiny.

– Jeździ pan samochodem marki żuk?

– Ano jeżdżę, jak trzeba. Ale częściej ciągnikiem. Jak trzeba wywieźć gnój ze stajni albo coś.

– Nie opuszczał pan wesela w nocy?

Znowu nerwowo potarł dłonie.

– No może na chwilę.

– Gdzie pan poszedł?

– Niedaleko, do pokoju na piętrze. W domu weselnym jest kilka takich pokoi.

– Sam?

– No, nie sam.

– Imię, nazwisko.

Podał z ociąganiem. Sierżant zanotował.

– Sprawdzimy.

Komisarz westchnął.

– To już piąta osoba z wesela, czy ktoś tam nie był?

– Ja nie byłem.

Do pokoju przesłuchań, bez pukania wszedł energicznym krokiem wysoki mężczyzna około sześćdziesiątki. Gęsta siwa czupryna kontrastowała z opaloną twarzą. Koszula i bryczesy w kolorze khaki. Wysokie skórzane buty.

– Teraz chyba moja kolej na przesłuchanie. Jan Zajdel. Prowadzę naukę jeździectwa.

Zajął wolne miejsce obok komendanta nie czekając na zaproszenie.

– Na weselu nie byłem, nie jestem z tej wsi, a z jej mieszkańcami nie jestem zaprzyjaźniony – uśmiechnął się kwaśno – dla nich jestem obcy. Czasowo zajmuję pokój gościnny nad biurami.

Komisarz nie przerywał. Na zadawanie pytań będzie jeszcze czas.

– Wstaję wcześniej. Przed pracą lubię pobiegać. Wypijam kawę i wychodzę. W niedzielę, 28, bo o to chyba pan chciał pytać, stanąłem z kubkiem kawy przy oknie i spojrzałem na dziedziniec. Widziałem jak jeden z pracowników stajni wprowadza do garażu samochód. Zdziwiłem się, że tak wcześniej rano gdzieś jeździł.

– Czy wie pan kto to był?

– Niestety, nie rozpoznałem. Zastanowiło mnie tylko, że przyszedł do pracy w białej koszuli i czarnych spodniach. Tutaj wszyscy chodzą w roboczych ubraniach.

– Czy mogło to wyglądać jakby zdjął marynarkę od garnituru?

– Jak najbardziej. Teraz nawet mi się wydaje, że z garażu wyszedł z marynarką na rękę.

Liniewski spojrzał na zegarek. Za pół godziny umówiony był z dyrektorem Remigiuszem Zalewskim. Czuł, że będzie to trudna rozmowa. Od początku dyrektor nie krył swego niezadowolenia z całej sytuacji. Porucznik słyszał jak dawał reprimendę sekretarce za telefon na milicję. Czyżby miał coś na sumieniu? Zapalił papierosa i dopił zimną już kawę. Był zły i głodny. Od rana przesłuchiwał pracowników. Wszyscy mieli jakieś wytłumaczenie. Koledzy z Janowa sprawdzali ich wiarygodność. Zobaczymy co z tego wyjdzie, westchnął. W tym momencie wszedł sierżant.

– Co jest?

– Panie poruczniku zgłosiła się Stefania

– Prosić!

– Chciałam powiedzieć – Stefania zawahała się – dyrektor wyjechał w sobotę i wrócił dopiero po święcie. To znaczy 2 maja.

– Jeździł tym samochodem? – Na „tym” porucznik postawił specjalny akcent.

– Nie, skąd. Swoim. Prywatnym – nerwowo zaczęła zacierać dłonie – to tyle chciałam powiedzieć.

– Jest pani tego pewna?

Liniewski patrzył na jej lekko zarumienioną twarz i nerwowe ruchy. Coś tu jest na rzeczy. Czyżby to, co przypuszczam?

– Tak, bo ja..., bo my..., no wie pan...

A jednak, pomyślał.

– Przyszedł dyrektor – sierżant służbowo zameldował.

– Prosić!

Sekretarka odwróciła się na pięcie i prawie zderzyła z wchodzącym. Popatrzył na nią ze złością ale nic nie powiedział.

– Przesłuchaliśmy wszystkich i wszyscy mają alibi – zaczął porucznik i gestem wskazał krzesło – zostaje tylko ten jakiś emeryt – porucznik zerknął na spis pracowników – Roman Piotrowski.

– To starszy człowiek ale ma dobre podejście do koni. Od wczoraj go jednak nikt nie widział.

– A pan, panie dyrektorze, gdzie był w czasie tego nieszczęśliwego weekendu?

Zalewski zeszytniał – pan mnie podejrzewa? To oburzające!

– Nikogo nie podejrzewam. Chcę mieć jasny obraz sytuacji. Jeżeli pan był na terenie, mógł coś zobaczyć, co wtedy nie wydawało się podejrzanym a jednak może mieć jakiś związek ze sprawą – Liniewski z trudem się opanował. Ten bufon działał mu na nerwy od pierwszego wejrzenia.

– Nie było mnie w stadninie. Wyjeżdżałem.

– Dokąd, jeśli można zapytać.

– To moja prywatna sprawa.

– Ma pan świadków? Może żona potwierdzi?

Przesłuchiwany poczerwieniał.

– Żona pojechała do rodziny na kilka dni... O moim wyjeździe nie wie – dodał po chwili.

Wrocław, kwiecień 1985 rok

Dzień był wyjątkowo pochmurny jak na tę porę roku. Zaczął padać deszcz i zanosilo się na burzę. Co robić w taki smutny dzień. Helenka dopiła kawę. – Wezmę się wreszcie za porządki na pawlaczu. – Przyniosła taboret, położyła na nim dwa grube atlasy i weszła na tę piramidę. Zaczęła wyciągać co tam było. Jakież stare torby, zniszczony koc, niemodne ciuchy. Na co to komu? Żeby sięgnąć głębiej stanęła na palcach. Jedną ręką przytrzymała się framugi drzwi, drugą próbowała sięgnąć w głąb pawlacza. Wyczuła jakieś pudła. Szarpnęła. Albumy osunęły się i jak długa upadła na podłogę a na nią tekturowe pudełka po butach. Wysypały się z nich korale, zasuszony bukiet i zdjęcia. Jedną ręką zaczęła rozcierać bolące kolano, a drugą przekładać fotografie. Legitymacja? Roman Piotrowski. To ojca! Szepnęła sama do siebie. Przedwojenna. Szkolna. Szkoda, że zdjęcie takie niewyraźne. Wanda nigdy nie pokazywała jego zdjęcia. Mówiła, że nie lubił się fotografować. Rzeczywiście, zdjęcia były z różnych wycieczek, nad morzem, w górach, ale na żadnym nie było ojca. Z poźółklej koperty wypadło zdjęcie jakie robi się do dowodu

osobistego. Rok 1954. Helenka z biciem serca przyglądała się biało-czarnej fotografii. Zapomniała nawet o bolącym kolanie.

Więc tak wyglądał mój ojciec. Ciekawe gdzie on jest? Mama mówiła, że był cichy, spokojny, bał się ludzi. Ukrywał się po wojnie, bo działał w AK. Ale przecież teraz mógł wrócić. Czemu do nas nie wrócił? Muszę go odnaleźć i zadać to pytanie.

Wsunęła do kieszeni spodni legitymację i zdjęcie i wróciła do porządkowania pawlacza, zastanawiając się jednocześnie od czego zacząć poszukiwania. Trzeba przejrzeć książki telefoniczne. Najpierw Wrocław, potem Warszawa, a potem się zobaczy.

– Czego właściwie pani szuka? – Urzędniczka na pocztce zainteresowała się – może pomóc?

– Nie, dziękuję – i dalej, z wypiekami na policzkach spisywała numery telefonów i ulice z nazwiskiem Piotrowski.

Warszawa, maj 1985 rok

Z bijącym sercem stanęła pod drzwiami kolejnego warszawskiego mieszkania. Było to już piąte mieszkanie warszawskie jakie znalazła w książce telefonicznej. Kilka mieszkań we Wrocławiu było pomyłką.

M. i R. Piotrowscy.

Zapukała. Otworzyła jej kobieta około czterdziestki. Szczupła, wysoka blondyna.

– Czy zastałam pana Romana Piotrowskiego?

Kobieta popatrzyła na nią zdziwiona.

– Ojciec od pięciu lat nie żyje.

– Nie żyje?

Tego się nie spodziewała. Informacja ją zaskoczyła i rozczarowała. Nie wiedziała co powiedzieć.

– O co chodzi? – Kobieta patrzyła na nią badawczo.

– Czy... – zawahała się – możemy porozmawiać?

– Proszę – kobieta odsunęła się od drzwi i wpuściła Helenkę do środka, wyraźnie zaintrygowana niespodziewanym gościem – bardzo pani pobladła, proszę usiąść, może wody?

– Wody? Tak proszę.

Usiadły przy ławie w przytulnym pokoiku.

– Bo ja... Nie wiem od czego zacząć...

Po chwili milczenia Helenka zaczęła niepewnie.

– Bo ja szukam ojca. Zaginął w 1955 roku. Roman Piotrowski.

– Taak? To chyba pomyłka. Zbieżność nazwisk. Rodzice pobrali się od razu po wojnie. W 55 miałam prawie 10 lat.

– Nie mam pamiątek po ojcu, tylko ta legitymacja.

Położyła na ławie podniszczony dokument. Kobieta długo patrzyła na zdjęcie.

– Tak, to ojciec. Wszystko się zgadza. Miejsce urodzenia, data. O, mama wróciła.

Do pokoju weszła zadbana, energiczna kobieta. Po wysłuchaniu córki spojrziała na legitymację.

– Tak, tylko Roman cały czas był z nami, a Pani mówi, że jest z Wrocławia? Nie, to niemożliwie. Nigdy tam nie jeździł. Ma pani jakieś późniejsze zdjęcia?

– Tylko jedno, z pięćdziesiątego czwartego roku.

Obie kobiety spojrzały na zdjęcie.

– Nie, to nie Roman. Martusiu przynieś zdjęcia ojca.

Po chwili wszystkie pochylały się nad albumem.

– To jest Roman.

Ze zdjęcia uśmiechał się wysoki, przystojny brunet.

– Tak, to pomyłka. Przepraszam.

Wyszła rozczarowana. W pociągu zaczęła analizować informacje.

Legitymacja Romana Piotrowskiego się zgadza, a późniejsze zdjęcie nie. Ojciec posłużył się dokumentem innego faceta. Dlaczego? Mama mówiła, że się ukrywał? Jak naprawdę się nazywał? Jak go szukać?

Wrocław, maj 1985 rok

W pociągu jest ciepło, dzieci siedzą spokojnie, Są najedzone i mają czyste ubranka, tylko włosy... Dziewczynka poprawiła chusteczkę na ogolonej główce a w oczach zakręciły się łzy. Mama by nie pozwoliła na to. To co, że były jakieś wszy, coś by wymyśliła. Mówiła zawsze Wandeczko, jakie ty masz śliczne warkoczyki. Mamy nie ma i już nigdy jej nie zobaczę. Pociąg jedzie, stuka coraz głośniejsze dzwoni... Obudziła się zrana potem. Znowu ten sen, te wspomnienia. Co to dzwoni? Telefon. Drżącą ręką podniosła słuchawkę, jeszcze się nie wyzwoliła ze snu. Jeszcze przed oczami miała koszmarny wojny.

– Wandziu! To ja, Zosia. Słuchaj! Marek znalazł twojego Romana!

– Jaki Marek?

– No, porucznik Marek Liniewski!

– Jak to znalazł Romana? Jak go znalazł? Gdzie on jest?

– Właśnie nie wiadomo gdzie jest. Szukają go.

– Kto go szuka? Nic nie rozumiem.

– Milicja. Prawdopodobnie widział mordercę.

– Nic nie rozumiem – powtórzyła Wanda i poczuła, jak cała wewnątrz zaczęła się trząść jeszcze bardziej – jakiego mordercę? O czym ty mówisz?

– Tego mordercę, co ukatrupił tego ruskiego! Pamiętasz? Była o tym mowa na moich imieninach.

– Pamiętam – powiedziała cichutko i poczuła, że musi zaraz usiąść, bo inaczej upadnie.

Roman, po tylu latach. Dlaczego nie wrócił do nich. Nie chciał nic wiedzieć o dziecku? Poczuła, że Roman jest już dla niej zupełnie obcym człowiekiem. Znaleźli, szukają. A co mnie to obchodzi?

– Jesteś tam?

– Tak.

– Powiedz coś. Nie cieszysz się?

– Cieszę? Nie, nie wiem.

– Zadzwoń jak będę znała szczegóły.

– Tak. Dobrze.

Odłożyła słuchawkę.

Jak automat zrobiła sobie kawę i usiadła przy stole. Nie chce się z nim spotkać, myślała bez złości o człowieku, który ją zostawił na dwadzieścia dziewięć lat. To przeszłość.

– Kto dzwonił? – Do kuchni weszła Helenka. Przeciągnęła się – ale kawusia ładnie pachnie. Zapaliła gaz pod czajnikiem – to kto dzwonił?

– Ciocia Zosia, nic ważnego.

– Aha – zalała kawę i zaczęła robić kanapki.

Jan złapał Helenkę w korytarzu uczelni.

– O której kończysz?

– Zajęcia mam do szesnastej, a potem jeszcze spotkanie z promotorem. Ten doktorat mnie wykończy, wiesz jaki Malinowski jest pedantyczny.

– Wiem, też u niego pisałem. Wyrobisz się do 19-tej?

– Jasne, a co?

– Chcę cię zabrać do mamy.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że to już najwyższy czas na poznanie przyszłej teściowej.

Wieś pod Wrocławiem, maj 1985 rok

Ksenia cierpliwie czekała na Jana. Po raz pierwszy miał przywodzić Helenkę. Narzeczoną. Tak się martwiła, że jest sam, że się do tej pory nie ożenił. Ma przecież już 40 lat. Ja w jego wieku, uśmiechnęła się do wspomnień, miałam już dorosłych synów. Piotr miał 22 lata, Stefan 20, Franek 9, a Ewka, najmłodsza 4. Nie lubiła wspomnień, ale teraz czekając na syna jakoś tak ją naszło. Jak to się wszystko zmieniło w ciągu tych 80 lat. Nie mogła wyjść z podziwu.

Przyjęła Helenkę serdecznie. Kwiaty wstawiła do wazonu i wniosła parująca wazę z zupą.

– Na pewno jesteście głodni. Ugotowałam barszcz ukraiński. Taki prawdziwy, jak się u nas gotowało.

– Umieramy z głodu – Jan podsunął wazę w stronę dziewczyny – specjalność mamy.

Rozmawiali, śmiali się, Helenka była Ksenią zachwycona. Taka dobra, pocziwa. Sama nie wie, kiedy zaczęła opowiadać o poszukiwaniu ojca. Łzy zakręciły się w oczach.

– Mam tylko to zdjęcie z pięćdziesiątego czwartego roku – wyciągnęła z torebki fotografię.

Ksenia pobladła. Z niedowierzaniem popatrzyła na Jana. Helenka to zauważyła.

– Co się stało?

– Bo taki podobny do kogoś.

– Tak? Do kogo? Znała go pani?

– Taki podobny... Nie wiem, to niemożliwe...

Jan przez ramię matki patrzył na zdjęcie, ale nikogo mu nie przypominało.

– Do kogo? – Helenka się zniecierpliwiła.

– Do Wasyla Kawułyca – szepnęła Ksenia.

Zapadła cisza. Słychać było tylko tykanie budzika stojącego na telewizorze.

– To jest Wasyl Kawułyca – dodała już nieco pewniejszym tonem.

– To niemożliwe. Jest tylko podobny! Ojciec działał w AK. Musiał się po wojnie ukrywać – mówiła szybko, prawie z płaczem – Ja... ja nie, nie wierzę pani! To bzdura! – mówiła coraz głośniejszym głosem – może podobny, ale na pewno nie on! – krzyknęła i z płaczem wybiegła z mieszkania.

– Idź za nią, to dla niej ogromny cios.

– Dla mnie jeszcze większy.

Po dłuższej chwili milczenia wstał i wyszedł bez pożegnania.

Siedział nad rzeką wpatrzony w jej bure wody. Od dwóch dni nie mógł sobie znaleźć miejsca, aż wreszcie bezwiednie skierował się w to miejsce. Uciekał tu w dzieciństwie zawsze, gdy miał jakiś problem. Pierwszy raz uciekł gdy dowiedział się, że nie jest rodzonym synem Kseni. Zimna woda złagodziła podrapania od malin. Ale nie skaleczenia były najważniejsze. Nie rozumiał dlaczego jego ukochany starszy brat był na niego zły. Nie był jego bratem?

Przybiegł tu, kiedy groziła mu powtórka szóstej klasy. Bał się wrócić do domu. Właśnie tutaj, nad Odrą postanowił, że weźmie

się solidnie do nauki. I tak zrobił. Przeszedł do siódmej i skończył ją z wyróżnieniem.

Wpatrywał się w nurt rzeki, kiedy się po raz pierwszy zakochał. Był wtedy w pierwszej klasie liceum, a dziewczyna chodziła do trzeciej. Widywał ją na przerwach. Była piękna. Wysoka, szczupła, miała złote włosy opadające na ramiona i błękitne oczy. Marta. Spotkał ją wiele lat później. Przytyła, ścięła włosy i miała bliźniaki. Dwóch rozwrzeszczanych chłopczków. Wtedy też przyszedł nad rzekę.

Przychodził tu po każdej awanturze z Lucyną. Wytrzymał z nią trzy lata. Była trochę podobna do dziewczyny z liceum. Jasne włosy okalały drobną twarz Lucyny nadając jej wygląd aniołka, a charakter miała diabelski. Po rozstaniu było mu tak lekko, że nad rzekę nie przyszedł. Poszedł do knajpy opić tę decyzję. Kolejnych rozstań tak nie przeżywał. Przez wiele lat nie odwiedzał tego miejsca, dopiero kiedy po raz pierwszy zobaczył Helenkę znów tu przyszedł. To właśnie tu, pod szumiącym drzewem i nad wezbranymi wodami Odry zrozumiał, że chce spędzić z nią resztę życia.

A teraz bił się z myślami. Helenka, miłość jego życia okazała się córką mordercy jego rodziców. Bo to on spowodował ich śmierć. Helenka wesola, szczerza, nie знаła swego ojca. Myślała, że walczył w Armii Krajowej, że był bohaterem. A jej matka? Co o nim wiedziała? Ukrywała prawdę, czy sama wierzyła w tę historię?

Helenka. Zobaczył ją po raz pierwszy na rozpoczęciu roku. Wpadli na siebie na korytarzu. A potem siedziała w drugim rzędzie. Taka drobniutka, z wielkimi czarnymi oczami. Błyszczały te oczy i tak pięknie się rumieniła. Chodził wtedy jeszcze z Lucyną? A może już z Dorotą? To nie było ważne, to się nie liczyło. Liczyły się wtedy tylko te czarne oczy.

Nie mógł teraz widzieć Helenki. Każde z nią spotkanie przypominałoby mu jego tragedię. Musi dać sobie czas.

Ani razu nie pomyślał, co przeżywa dziewczyna.

Po dwóch dniach przyszedł do domu Kseni. Jego rodzinnego domu. Wiedział, że matka go zrozumie.

– Och, Jasiu, jak dobrze, że jesteś. Martwiłam się o ciebie – Ksenia przywitała go z otwartymi ramionami – Helenka dzwoniła. Nie byłeś na uczelni.

– Wziąłem sobie kilka dni urlopu – skłamał – jakby dzwonił, to mów, że nie wiem gdzie jestem.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Chodzi o Helenkę i jej ojca?

Kiwnął głową.

Kobieta bez słowa poszła do kuchni przygotować obiad. Wiedziała, że żadne słowa tu nie pomogą. Sam musi się z tym uporać.

Wrocław, maj 1985 rok

Helenka przeżywała rozstanie z Janem. Miała do niego żal, że tak ją zostawił bez słowa, a z drugiej strony rozumiała jego niechęć do niej, a właściwie dlaczego niechęć? Co ona temu winna, że jej ojciec...? Przecież wcale ojca nie знаła. Nic o nim nie wiedziała dopóki nie pojechali na tę głupią wycieczkę w Bieszczady. A poza tym tak się źle czuje już od dwóch tygodni. Szczególnie rano.

Poczuła jak łzy napływały jej do oczu. Ostatnio tak często była skłonna do płaczu. Taka rozdrażniona. Właściwie to nic dziwnego. Ojciec bandyta. Narzeczony zostawił. Popatrzyła na swoją dłoń. Na serdecznym palcu błyszczał małymi diamentkami zaręczynowy pierścionek. Jaka była w tym dniu szczęśliwa. I szczęście przysło, ot tak. Nowe łzy jak grochy potoczyły się po policzkach. Wytarła rękawem łzy i pociągnęła nosem. Nie chciało się jej nawet wstać po chusteczkę. Po co? I tak nikt nie widzi. W kącie stała spakowana walizka. Ta największa, na kółkach. W tym tygodniu miała się wyprowadzić do Jana. Nawet datę ślubu planowali.

– Tylko nie maj! – śmiała się wtedy Helenka – ślub w maju to nieszczęście. W nazwie miesiąca ma być er.

– Co ma być?

– Rrrry, jak ryba. To przynosi szczęście.

– Gdzieś to słyszała?

– Nie wiem, ale prrrroponuję czerrrrwec albo sierrrrpień.

– Zgadzam się na wszystko. Ze mną jak z dzieckiem za rękę i przed ołtarz.

– To znaczy?

– Może być czerrrrwec.

A teraz siedziała sama ze swoimi wspomnieniami. Chciała być sama. Mamie powiedziała, że zerwała z Janem.

– Dlaczego? Co się stało?

Wanda była zaskoczona.

– Tak wyszło.

I uciekła do swego pokoju.

Wanda taktownie nie poszła pocieszać. Musi się wypłakać. Sama dojdzie do tego, żeby mi powiedzieć. Wzięła siatkę i wyszła na zakupy.

Dlaczego mama wciskała jej, że ojciec był w AK? Kłamała! Do tej pory nie miały przed sobą tajemnic. Mama kłamała! Musiała przecież znać prawdę.

Siedziała teraz sama, zapłakana, zrozpaczona.

Jana poznała na pierwszym roku studiów. W pierwszy dzień na uczelni. Lekko spóźniona biegła na wykład i wpadła z impetem na przystojnego chłopaka.

– Nie wiesz gdzie ma zajęcia pierwszy rok?

– Wiem.

Uśmiechnął się rozbrajająco. Razem weszli do sali. Helenka usiadła w drugim rzędzie z boku. Miejsce obok było puste. Myślała, że ten przystojniaczek usiadzie koło niej. Wyciągnęła z torby notatnik, przez chwilę szukała długopisu. Wreszcie podniosła oczy i...

– O rany!

Szepnęła. Przystojniaczek stał za katedrą.

– Nazywam się Jan Małyniak. Jestem doktorem historii i będę waszym opiekunem roku. Prowadzę też ćwiczenia z historii średniowiecznej.

Reszty nie słyszała. Ten facet ciągle się na nią gapił, a ona czuła, że jest coraz bardziej czerwona. W uszach szumiało. W głowie kołatała myśl. Uciec! Uciec stąd jak najdalej! Ale się wygłupiłam! Boże! Mam przechlapane. I czego on tak cały czas się gapi?

Wrocław, maj 1985 rok

Zosia przyjechała do Wrocławia. Czuła, że musi porozmawiać z przyjaciółką. Pocieszyć? Chyba tak, przecież Wanda ma tylko ją. Siedziały od pół godziny, ale rozmowa jakoś się nie kleiła.

– Martwię się o Helenkę – odezwała się wreszcie Wanda – Jan z nią zerwał – podniosła kieliszek z czerwonym winem i zaczęła przyglądać się jego zawartości pod światło – najgorsze, to że nie chce nic mówić. Zamknęła się w sobie, a ja mam wrażenie, że o coś ma pretensje. Zawsze mówiliśmy sobie wszystko a teraz...

– A ty powiedziałaś, że odnaleźli jej ojca?

Wanda pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. Może dlatego, że po tylu latach wydaje mi się, jakby nigdy nie istniał. Nic do niego nie czuję. Ani radości, że się odnalazł, ani żalu, że nie wrócił. To dla nas zupełnie obcy człowiek. Jakiś czas temu wypytywała o ojca. Niewiele miałam do powiedzenia i dała spokój.

– Poczekaj, w końcu wszystko się wyjaśni. A może... – Zosia zawahała się na moment – a może po prostu zapytaj o co chodzi?

– Pytałam. Odburknęła, że o nic i zamknęła się w swoim pokoju.

– Może jak go znajdą, przyjedzie, dogadacie się.

– Ja właściwie nawet nie chcę go widzieć. Chyba wołałabym, może to okrutnie zabrzmie, ale wołałabym, żeby nie żył.

– Marek go szuka.
– Marek?
– Porucznik Marek Liniewski. Ciągłe pyta o ciebie.
– O, to miło – powiedziała bez przekonania.
– Nie jesteś zainteresowana?
Zosia koniecznie chciała zmienić tok rozmowy.
– Zainteresowana? Porucznikiem? Nie – uśmiechnęła się tajemniczo – porucznikiem nie.
– Aaa, to jest ktoś?
– Tak do końca to sama nie wiem.
– Opowiadaj! Pamiętasz? Tam w Bombaju ustaliłyśmy, że jesteśmy siostrami i mówimy sobie wszystko.
– Bombaj... A pamiętasz słońce, morze i ta kobieta, która nam śpiewała...?
Obie zaczęły cichutko nucić.
„Miłość, ci wszystko wybaczy, smutek zamieni ci w śmiech, miłość tak pięknie tłumaczy zdradę i kłamstwo i grzech...”
– To była Hanka Ordonówna.
– Teraz to wiem, ale wtedy wydawała mi się jak nie z tego świata – westchnęła Wanda.
– Sprytnie zmieniasz temat. Mów, w kim jesteś zakochana?
– Zakochana, to chyba za dużo powiedziane. Jest dobry, opiekuńczy, pomaga mi we wszystkim, mieszka obok.
– I już?
– Co już?
– Tylko tyle masz mi do powiedzenia?
– Teraz to się martwię o Helenkę i Roman spędza mi sen z powiek.
– Wszystko się ułoży, będzie dobrze.
Powiedziała Zosia z udawanym optymizmem.
Wyjechała wieczorem i Wanda została znowu sama z nierozwiązanym problemem.

Ledwo dobiegła do łazienki. Od kilku dni dokuczały jej mdłości. Nie, to niemożliwe. Przecież tak uważałam. Na pewno się czymś strułam. Ta sałatka mamy była jakaś kwaśna. Pewnie nieświeża. Gorąca, gorzka herbata postawiła ją na nogi. Zrobiła staranny makijaż używając więcej fluidu niż zwykle. Żeby się koleżanki nie dopytywały, co jest?

Wpadają do domu. Krzyczą. Przewracają wszystko. Zabierają tatę. Przytulam się do mamy. Stoimy w kącie przerażone. Nie płacemy.

Jedziemy pociągiem. Jest zimno i brudno. Siedzimy z mamą na podłodze. Wszyscy siedzą na podłodze. W tym pociągu nie ma

ławek. Trzęsę się z zimna. Mama zdejmuje płaszcz. Okrywa mnie.
– Zmarzniesz.

– Mnie jest ciepło – mówi mama i uśmiecha się. Kaszle. Coraz głośniejsze i częściej. Dojeżdżamy. Każą nam wysiadać. Mama nie ma siły. Ktoś ją wypycha. Pada.

– Mamolo! – Krzyczę. Nikt nie słyszy – mamusiu! Nie odzywa się. Nie rusza.

Zostaję sama.

Boję się.

Znowu ten koszmarny sen. Wanda budzi się zlaną potem. Za oknem ciemno. Leży z otwartymi oczami. Jeszcze przeżywa sen. Jeszcze widzi mieszkanie w Stanisławowie. Soldatów zabierającego ojca, którego nigdy już nie zobaczyła. Gdyby nie Zosia. Z opiekiwała się nią. Dzieliła jedzeniem, chociaż sama miała mało. W 1947 można było wracać do Polski. Jak się kogoś miało. One miały babcję Zosi.

Szła korytarzem uczelni nie widząc nikogo. Mocny makijaż z trudem maskował podpuchnięte oczy. Włosy rozpuściła i starała się zakryć choć trochę zapłakaną twarz.

– Pani Helenko co się dzieje z Małtyniakiem? – Profesor Malinowski był zaniepokojony – od dwóch dni nie daje znaku życia. Telefonu też nie odbiera.

– Nie wiem, panie profesorze, w domu go nie ma, a jego matka też nic nie wie.

Profesor teraz dopiero zauważył zaczerwienione oczy doktorantki.

– Czy coś się stało?

Helenka kiwnęła głową, bo nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Ach, tak?

I chciał odejść, żeby nie drażyć tematu.

– Panie profesorze! Ja... ma pan trochę czasu? To wszystko przez te wycieczkę w Bieszczady.

– Proszę do mnie.

Malinowski niewiele jednak się dowiedział. To, że Jan ją zostawił, łatwo było się domyśleć. Już wcześniej przypuszczał, że ma to związek z wizytą w Łopience i z tym kimś, kogo chce odnaleźć.

Z ociąganiem wykręciła numer Natalii. Musi z kimś pogadać, bo zwariuje. Wszystko jedno z kim. Natalia najbardziej się nadała do zwierzeń. Cicha, dyskretna, rozsądna. Może coś doradzi, a na pewno nie rozgada i nie wyśmieje. Chociaż... Przypomniała sobie, jak Nata ją kilka lat temu ostrzegła.

– Daj sobie z nim spokój. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Prze-

praszam, że tak mówię obcesowo, ale na wydziale nazywają go Don Juan. Żadnej nie przepuści. Nawet mnie próbował... – urwała w pół zdania – nieważne.

Natalia nie była atrakcyjna. Można powiedzieć wręcz odpychająca. Wysoka, tyczkowata. Rzadkie włosy mysiego koloru związywała gumką recepturką. I do tego nosiła paskudne okulary.

Zazdrosna i dlatego tak mówi – pomyślała wtedy Helenka. Po bliższym poznaniu Nata zyskiwała, okazywała się ciepłą, życzliwą istotą, no i na trzecim roku wyszła za mąż za najprzystojniejszego faceta. A na historii facetów jak na lekarstwo.

Taki ktoś, kto wysłucha, zrozumie, może doradzi był teraz Helence bardzo potrzebny.

– Cześć Nata, tu Helena, masz trochę czasu? Możemy pogadać?

– Poczekaj.

Natalia musiała przykryć dłonią słuchawkę, bo było słychać niewyraźne głosy. Jakieś popiskiwanie, a po chwili głośnie dziecięcy śmiech. No tak, miała przecież rozkosznego dwulatka.

– Będę u ciebie za pół godziny. Mam wrażenie, że to rozmowa nie na telefon.

– Tak, dziękuję.

Przyjechała. Helenka nie widziała jej od prawie roku. Nata zagrzebała się w domu. Zarzuciła doktorat, pilnowała kariery męża. Nie miała czasu na spotkania towarzyskie. Widok koleżanki ją zaskoczył. Ufarbowała włosy i ścięła króciutko. Teraz rozjaśnione tworzyły wokół jej twarzy puszystą aureolę. Lekki makijaż podkreślał jej regularne rysy. Była bez okularów. W jeansach i luźnej koszulce wyglądała naprawdę atrakcyjnie.

– Ale się zmieniłaś.

Roześmiała się tylko i z impetem usiadła na fotelu.

– To mów, co cię gryzie?

I Helenka zaczęła mówić.

Profesor wprowadził go do swojego gabinetu, jednego z czterech pokoi w przedwojennym budownictwie. Regały z upchniętymi książkami zajmowały wszystkie ściany. Książki leżały na biurku, które chyba również pamiętało czasy przedwojenne, były też na małym stoliku, a nawet na krześle.

– To moje najnowsze zdobycze – profesor z dumą wskazał krzesło – niech kolega siada.

Jan usiadł na jedynym fotelu nie zajęтым przez literaturę. Malinowski przecisnął się za biurko i też usiadł.

– Martwiliśmy się o ciebie.

– Tak, nawaliłem, ale to się już nie powtórzy.

– Wiem, wiem – profesor z roztargnieniem spojrzął na swojego byłego studenta, a teraz kolegę wykładowcę – pani Zbiłska powiedziała mi wszystko. Jest załamana.

Jan milczał.

– Czy naprawdę uważasz, że możemy brać odpowiedzialność za czyny rodziców?

Profesor uważnie przyglądał się swemu gościowi.

– Helenka bardzo przeżywa rozstanie – kontynuował – właściwie nie powinienem się wtrącać, ale lubię was oboje i nie mogę patrzeć jak się męczycie. Chyba nawet cię rozumiem. Wiesz, że przyjechałem po wojnie ze Lwowa. Ale urodziłem się w małej wiosce na Wołyniu. Ukraińcy zamordowali mi całą rodzinę. Dochodziły nas okropne wieści. To było 11 lipca 1943 r. Piękna, pogodna niedziela. Jak zawsze wszyscy Polacy na wsiach ruszyli na msze. Nikt nie spodziewał się takiej tragedii. Ukraińska Powstańcza Armia wspomagana przez ukraińską ludność cywilną otoczyła kościoły w 167 wsiach. Zaatakowano wychodzących z broni palnej, siekierami, kosami, nożami. Ta niedziela była apogeum rzezi jakie miały miejsca na Kresach. Na całych Kresach Wschodnich zostało zamordowanych w czasie wojny przez OUN UPA około 200 tysięcy Polaków. (*H. Ziółkowska-Modła: 11 lipca Dzień Pamięci Kresowian. W: Wołyń i Polesie, R.XXI, listopad 2014, nr 4 (85), s. 105.*)

Chciałem wracać do swoich. Na studiach poznałem Ireń. Była z mojego roku, tylko na biologii. To ona i jej rodzice przyciągnęli mnie, nie pozwolili jechać. I tak bym już nikogo nie uratował. Strach przed banderowcami po wojnie nie ustąpił. Ciotka mojej żony trafiła po wojnie do Opola. Bała się obcych, a nawet sąsiadów. Zamykała się na kilka zamków i łańcuch. Prawie nie wychodziła z domu. Byliśmy u niej kilka razy. Przez szparę w drzwiach musieliśmy podać swoje dowody osobiste. Przez labirynt ułożony ze starych pudeł, nierozpakowanych zakupów, dotarliśmy do salonu. Opowiadała, że Ukraińcy ją prześladowają. Zalepiają wizjer. Wypisują na drzwiach nieprzyzwoitości. Tak mówiła. A z drugiej strony Polacy krzyczą za nią Ruska. Wracaj do swoich! Ciotka pochodziła ze Lwowa i miała ten charakterystyczny zaśpiew.

– To samo mówiła moja siostra. Akcent, wtrącanie ukraińskich słów, były przyczyną złośliwych uwag ze strony rówieśników.

– To rozumiesz. Ciotkę do śmierci męczyła mania prześladowcza. Mimo to mam przyjaciela Ukraińca – kontynuował profesor – jest to historyk, który obiektywnie ocenia sytuację jaka była na Wołyniu i Bieszczadach.

Jan był zaskoczony zwierzeniami profesora.

Długo rozmawiali, a właściwie to profesor cały czas mówił. Zbliżała się północ gdy wyszedł od Malinowskiego.

Szedł przez miasto ciemne i opustoszałe, zamyślony o tym, co usłyszał od swego profesora. Nie zwrócił nawet uwagi na mijającą go podpitą i hałasującą grupę. Nagle posłyszał swoje imię.

– Janek? To ty? Naprawdę?

Odwrócił się zaskoczony. Towarzystwo się zatrzymało i wysoka blondyna rzuciła mu się na szyję.

Patrzył zaskoczony.

– Marta? – Nie był pewien.

– Marta, Marta – roześmiała się kobieta – idziesz z nami! Bez dyskusji – wzięła go pod ramię. – Kolega z pracy Rafał ma urodziny. Czterdziestka. Ważna data. Właśnie zmieniamy lokal, bo na Kwiatowej knajpę nam zamknęli.

– Mało co, a nas by nie zamknęli – odezwał się solenizant.

– Tak, Martusia zaczęła za bardzo rozrabiać – dorzucił tłuszciki rudzielec.

– Właściwie czemu nie.

Perspektywa pustego mieszkania i bicia się z własnymi myślami nie była miłą perspektywą.

Obudził się w obcym mieszkaniu. Marta leżała obok. Pomału zaczął przypominać sobie wczorajszy wieczór. Restauracja, nowi znajomi i wódka. Morze wódki. Otrząsnął się z obrzydzeniem. Zegarek stojący na nocnej szafce wskazywał 9.20. Dobrze, że to niedziela. Wstał po cichu. Z podłogi podniósł spodnie, koszula była przerzucona przez oparcie krzesła. Wyszedł do przedpokoju. Mieszkanie było duże i ładnie urządzone. Czuł, że głowa zaraz mu pęknie. Zimny prysznic przyniósł ulgę. W kuchni nastawił wodę i po krótkich poszukiwaniach natrafił na puszkę z kawą.

– Ale zapach. Zrób też dla mnie.

Do kuchni weszła Marta. Była w cienkim szlafrocuku. Krótko podstrzyżone włosy sterczały na wszystkie strony. Pod oczami miała resztki wczorajszego makijażu.

– Cholera, łeb mi zaraz odleci – usiadła ciężko przy kuchennym stole – nic nie pamiętam, jak wróciliśmy?

– Taksówką.

– Aha. Czy my? – zawahała się – no wiesz o co mi chodzi.

– Wiem o co ci chodzi, ale nie wiem, nie pamiętam.

Pamiętał, nie był aż tak pijany. Marta była bardzo nachalna a on niespecjalnie się bronił. Teraz tego żałował. Wczoraj wydała mu się ładna. Podobno nie ma brzydkich kobiet, tylko czasem al-

koholu za mało – pomyślał z ironią. Marta, jego szkolna miłość. Jak to dawno było.

– A gdzie twój mąż? Dzieci?

– Chłopcy każdy weekend spędzają z ojcem. Rozwiedliśmy się dwa lata temu. Zostawił mi mieszkanie i dzieci. Zabrał samochód i oszczędności i poszedł w siną dal – zaśmiała się nienaturalnie – a co u ciebie? Nadal kawaler do wzięcia?

– Nadal.

Zaczęli mówić o sobie, wspominać dawne czasy, kolegów, nauczycieli.

W końcu powiedział o poszukiwaniach Wasyla Kawułyca vel Romana Piotrowskiego.

– Co, załazł ci za skórę?

– Można tak powiedzieć.

– Mój były jest milicjantem, jeden z jego kolegów odszedł z firmy, czemu, nie wiem. Teraz bawi się w detektywa. Nieoficjalnie, ale może ci pomóc.

Na karteczce napisała numer telefonu – powołaj się na mnie – zna się na tym i ma swoje dojścia.

Następnego dnia zadzwonił i umówili się w pizzerii w rynku. Przyszedł wcześniej i usiadł pod oknem, przed nim leżał „Przekrój” jako znak rozpoznawczy. Idiotyczne podchody. O umówionej godzinie, punktualnie, podszedł do niego niewysoki, lekko łysiejący mężczyzna. Miał dobrze po pięćdziesiątce.

– Pan Małyniak?

– Tak.

Usiadł naprzeciw i machnął na kelnerkę.

– Co u Marty?

– W porządku, dała mi pana adres...

– Tak, tak, niech pan mówi.

I Jan przedstawił sprawę, pomijając oczywiście rolę w tym wszystkim Helenki. Wydawało się, że nie słucha, tak był zajęty jedzeniem ogromnej pizzy.

– Za kilka dni się odezwę – przełknął ostatni kęs i powoli się podniósł.

– A jak się mam do pana zwracać?

– Powiedzmy, że Joe Alex.

Po kilku dniach zadzwonił.

– Mówi Alex, sprawa sfinalizowana. Szykuj pan forszę.

Spotkali się w tym samym miejscu. Detektyw podał Janowi karteczkę, wziął zapłatę i zniknął.

Jan zamówił drugą kawę. Musiał pozbierać myśli, ale nie

mógł się skupić. O tej porze w pizzerii było pusto. Nawet kelnerka gdzieś zniknęła. Ta cisza była denerwująca. Powinien wstać, pójść na uczelnię. Powinien.

– Dzień dobry.

Popatrzył zaskoczony na młodą kobietę, która bez zaproszenia usiadła na miejscu detektywa.

– Zobaczyłam pana przez okno. Pan mnie nie pamięta? Byliśmy z Heleną na tym samym roku. Nazywałam się wtedy Natalia Sobek.

Jan się nie odezwał. Nawet nie usiłował sobie przypomnieć.

– Teraz nazywam się Zalewska. Mój mąż też z tego roku.

– Zalewski. Mirek Zalewski. Tak, pamiętam. Mężczyzn było tylko trzech.

– Czterech, ale jeden odpadł po pierwszym roku.

Dziewczyna była naprawdę bardzo ładna. Jak mógł jej nie pamiętać?

– Nie będę owijać w bawełnę. Chodzi o Helenę.

– O Helenę?

– To, że jej ojciec, którego nigdy nie widziała, rzekomo przyczynił się do śmierci pana rodziców, nie ma z nią nic wspólnego.

– Chce pani powiedzieć – przypomniał sobie niedawną rozmowę z Malinowskim – że też przeżyła jakąś tragedię, ale się pozbięła i mimo to...

– Nie! – przerwała stanowczo – mam wspaniałych rodziców, kochającego męża, cudowną córeczkę i nigdy nie przeżyłam zawodu miłosnego.

– Więc słucham – w jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

– Powiem krótko. Będzie pan cholerną świnią, jak ją TERAZ zostawi.

Na teraz położyła szczególny nacisk. Jan chciał powiedzieć, że to niej sprawa, że jest beczelna nachodząc go, ale kobiety już nie było.

Patrzyła z uśmiechem jak Stanisław krząta się w kuchni. Słyszała syk czajnika i brzęk filiżanek stawianych na spodeczkach. Wanda oparła się wygodnie w fotelu.

– Taka u ciebie cisza.

Wszedł do pokoju i postawił tacę na stoliku. Miał podwinęte rękawy koszuli. Delikatnie dotknęła jego przedramienia.

– Oświęcim?

Skinął głową.

Długo milczeli. W końcu Stanisław zaczął opowiadać.

– Po Powstaniu Warszawskim w 1944 r. ci, którzy przeżyli,

a nie udało im się uciec kanałami, zostali zawiezieni do Auschwitz. Miałem wtedy 14 lat. Jak przez mgłę pamiętam wrzaski esesmanów, ujadanie psów i krzyki wypędzanych z pociągu. Dręczyła mnie jedna myśl. Muszę odnaleźć ojca. Jakaś postać w pasiaku szepnęła mi dość wyraźnie „mów, że masz 17 lat”. Tak zrobiłem. Trafiłem do obozu męskiego. Musiałem znaleźć ojca.

– Znalazłeś?

– Tak. Umarł na moich rękach.

Po dłuższej chwili kontynuował. Wanda słuchała w milczeniu.

– Przetrwiałem do wyzwolenia w stanie skrajnego wyczerpania. Byłem mużulmanem, jak określało się w obozie żywe trupy. Był styczeń 1945 r, leżałem zubożnięty na wszystko. Niewiele nas zostało. Parę dni wcześniej wyprowadzono z obozu więźniów, którzy mogli iść. Mnie było wszystko jedno, co będzie. Gdyby nie Wania pewnie bym nie przeżył. Wycierał mi twarz, pocieszał.

– Budiet charaszto – mówił.

I wtedy usłyszeliśmy jakieś zamieszanie, krzyki. Strzały.

– Eto czerwona armia! – ucieszył się – jesteście uratowani!

Potem trafiłem do szpitala. Był to polowy szpital zorganizowany w barakach poobozowych. Dbali o nas. Wania był przy mnie cały czas. Pewnego dnia Wania zniknął. Z trudem wstałem i bardzo pomału wyszedłem na zewnątrz. Był mróz, ale słońce świeciło mocno. Oślepiało. Zobaczyłam „czerwonoarmiejca” i zapytałem o Wanię.

– Wania? Ten wojennoplennyj? NKWD go zabrało. Pojechał na wycieczkę. Do łagru – zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Dlaczego?

– Paczemu? Eta szpion. Tyle tysięcy jeńców wojennych zamordowano, a on przeżył? Dlaczego? Bo donosił, współpracował z wrogiem. Zdrajca!

Wani już nigdy nie zobaczyłem.

Wiś pod Wrocławiem, maj 1985 rok

Bure wody Odry łagodnie gładziły przybrzeżne zarośla. Korony drzew falowały w dostojnym tańcu poruszone lekkim wiatrem. Na błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Ciepłe majowe popołudnie.

Jan siedział na jakimś pieńku i wpatrywał się w nurt rzeki. Ze wszystkich stron dochodziły go głosy ludzi korzystających z ładnych majowych dni. W kieszeni była zmięta karteczka z adresem. Tyle razy wpatrywał się, miał, rozprostowywał, wyrzucał, a potem grzebał w koszu na śmieci. Chciał w spokoju przemyśleć tę nową sytuację. W spokoju. Dawniej nikt tu nie zaglądał, a te-

raz oprócz kilku wędkarzy krzyczały dzieciaki, matki krzyczały na te dzieciaki i tak w kółko.

Zmięta karteczka z adresem Romana Piotrowskiego parzyła w kieszeni. Adres znał na pamięć. Trzeba tylko podjąć decyzję.

Wrocław – Janów Podlaski, maj 1985 rok

Bezmyślnie obserwował z okna pociągu mijane krajobrazy. Pola, lasy, domy. Nie mógł zebrać myśli, chociaż bardzo się starał. Jazgot jakiejś przekupki rozpraszał go. Powracały tylko uparcie słowa profesora, co zrobisz, jak go znajdziesz? Co zrobisz? Co zrobisz? Tłukło mu się w głowie w rytm stukotu kół pociągu. Zabiję! Z takim postanowieniem wyruszył z Wrocławia, ale czym był bliżej celu, tym miał więcej wątpliwości. Zabiję! Powtarzał. Jak? To będzie zależało od okoliczności. Od okazji. Wyobraźnia podsuwała mu różne scenariusze. Najczęściej pojawiał się jeden. Stoi przed roslym, silnym mężczyzną. Pięćdziesięcioletnim, nie, on musi mieć znacznie więcej. Krzyczy do niego: morderco! Za moich rodziców, za moje sierotwo!

Za to, że znienawidził Helenkę?

Po raz pierwszy od tamtego wydarzenia przypomniał sobie jej przerażone i niedowierzające spojrzenie, gdy matka powiedziała: to jest Wasyl Kawułyca.

Czy mógłby teraz popatrzeć jej w oczy nie widząc w nich oczu mordercy?

Ta myśl go przerażała. Dobrze, że z nią zerwał. Do końca życia widziałby w niej Kawułyca.

O tym, co będzie po wymierzeniu sprawiedliwości nawet nie pomyślał. Przecież to nie morderstwo. To wykonanie wyroku na zdrajcy. Tak to w czasie wojny wyglądało. Odczytanie wyroku i kulka w łeb. Tylko on nie ma żadnej broni. Nie szkodzi. Jest młody, silny. Da radę. Znowu przed oczami pojawiła się wymagowana postać Kawułyca. To nic, da radę każdemu osiłkowi.

Podróż do Janowa zabrała Janowi kilka godzin. Pod koniec podróży coraz częściej nachodziły go wątpliwości. Czy go znajdzie? Czy rozpozna? A może lepiej oddać go w ręce sprawiedliwości? Sprawiedliwość! Fuknął z ironią. Tyle lat po wojnie, a on sobie spokojnie czyści konie. Gówno nie sprawiedliwość.

Wysiadł na niewielkiej stacji w Janowie Podlaskim. Ktoś wskazał mu drogę.

– To kilka kilometrów, lepiej czymś pojechać.

Zdecydował się, że pójdzie pieszo.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Wyszedł ze stajni szybkim krokiem. Z trudem panował nad sobą by nie biegnąć, bo to wzbudziłoby podejrzenia. Chociaż

strach pchał go, zmuszał do biegu. Spokój, tylko spokój, powtarzał. Strach towarzyszył mu od zawsze. Nie, właściwie dopiero od czterdziestego siódmego roku. Zwierzęcy strach, który uczy szukać kryjówek. Stać się przeźroczystym. Nijakim. Wtedy nikt go nie zauważy. Oczywiście! Przymknąć powieki. Patrzeć w ziemię, bo w oczach czai się strach.

Wyszedł jak stał. Do swego pokoju nie wróci. Musi jak najszybciej wydostać się z Janowa. Z trudem wygrzebał z kieszeni kilka złotych. Powinno starczyć na bilet.

– Tak, bilet, ale dokąd pan chce jechać?

Kasjerka się zniecierpliwiła.

– Dokąd? – Myślał nerwowo. Z megafonu usłyszał niewyraźną zapowiedź.

– Lublin. Proszę bilet do Lublina.

Pieniądzy starczyło. Wsiadł. I co dalej? Znowu wszystko zostawił. Znowu. Co dalej? Żądny zemsty Nikita nie odpuścił. Znalazł go. Zawsze go znajdował. Jak? To było zagadka dla Wasyla. Dobrze się stało, jak się stało. Martwy nie zrobi mu krzywdy. Teraz szuka go milicja. Musi na jakiś czas przycupnąć. Tak, to dobre określenie. „Przycupnąć”. Gdzieś to usłyszał i pasowało do jego całego życia. „Przycupywał” przecież cały czas. Ma wprawę, tylko siły coraz mniej. I chęci.

Lublin, duże miasto. Gdzieś się zahaczy, przeczeka.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

– Panie poruczniku – Zarsaś odnalazł Liniewskiego w stadninie – dowiedziałem się, że jakiś człowiek wypytywał się o Romana Piotrowskiego. A ten Piotrowski zniknął, tak jak stał. To znaczy przepadł tak jak siedział, w boksie z koniem. Nawet czapki nie zabrał. W jego pokoju, który wynajmuje u miejscowych, też wszystko zostawił.

– Cholera, gdzie ten facet?

– Moi chłopcy go szukają. W barze mlecznym Maryśka, to znaczy szefowa, mówiła, że był taki, zjadł naleśniki i wypytywał o milicję. Czemu się ich tyle tu kręci? To mu powiedziała, cały czas cytuję Maryskę, że szukają mordercy takiego Ruskiego, co go w telewizji pokazywali. Zamordował go taki, co to przy koniach robi, a on przepadł jak kamień w wodę.

– To niech wasi chłopcy szukają obu. I Piotrowskiego, i tego przyjeźdnego. Macie jego rysopis?

– Wysoki blondyn koło czterdziestki. Maryśka mówi, że przystojny.

– Dajcie wreszcie spokój z tą Maryską. Zróbcie portret pamięciowy i roześlijcie po okolicy.

Zarasiowi cisnęło się na usta brzydkie słowo, nie jest przecież podkomendnym tego facia z Warszawki. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Kobieta w barze powiedziała Janowi wystarczająco dużo, żeby był pewien, że to Wasyl Kawułyecz zamordował Abramowa. Była bardzo rozmowna, a wydarzenia ostatnich tygodni były tematem numer jeden wśród miejscowych.

– A ten stary – kontynuowała – to zniknął od razu jak z Warszawy MO przyjechało – w ogóle to on taki jakiś dziwny był zawsze. Taki mały, chudy, siwy, tylko oczy miał czarne jak smoła. Ja to nawet się go bałam. Przychodził czasem na obiad. Nigdy prosto w oczy nie popatrzył. Nigdy się nie odzywał. Podobno tylko do koni gadał.

Mieli z Nikitą dawne porachunki ale jak go teraz odnaleźć? A był już tak blisko. Koniec języka za przewodnika. Stara dobra maksyma. W końcu dowiedział się od miłej kasjerki na dworcu PKP.

– Facet, podobny do tego, co pan mówi, kupił bilet do Lublina.

Pani w okienku uśmiechnęła się zalotnie do Jana.

Warszawa, maj 1985 rok

Markiewicz przeglądał już, po raz nie wiadomo który, kserokopie dokumentów. Zdobył je drogą półlegalną. Kosztowało go to wiele zachodu. Uruchoił wszystkie swoje znajomości. Wreszcie dotarł do nich poprzez kolegę brata dziewczyny swego kuzyna. Leżały teraz przed nim zeznania świadka w sprawie z 1947 roku. z Sądu w Rzeszowie. Na osobnej kartce drobnym pismem spisana była rozmowa z Ksenią Małyniak, którą przeprowadził w swoim wolnym czasie i bez porozumienia ze zwierzchnikiem. Wczoraj w nocy przepisał na maszynie. Był jeszcze raport z oględzin, kserokopia, bo oryginał leżał na biurku porucznika, i informacja podpisana przez M. Foryt, pracownicę stacji benzynowej w miejscowości na trasie Warszawa–Janów Podlaski.

„– W dniu 28 kwietnia? Pamiętam, to była niedziela, na stację podjechał samochód z przyczepą. Była 5:30, akurat spojrzalam na zegar, bo nie mogłam się doczekać zmiany. To była przyczepa na konia. Na aucie pisało Stadnina koni. Janów Podlaski. Dlatego skojarzyłam, że przyczepa na konia. Patrzyłam przez szybę, jak kierowca tankuje. Pilnowałam, żeby nie zwał bez zapłacenia rachunku.

– Może pani opisać kierowcę?

– Średniego wzrostu, tęgawy, tak na oko około 30–tki. Przeciętny.

– Jak był ubrany?

– W garniturze. Jakby wracał z pogrzebu albo wesela. W aucie było jeszcze dwóch. Tak mi się wydaje. Zatankowali. Zapłacili i pojechali na Janów.

Rozpoznałaby go pani?

– Czy ja wiem. Było jeszcze szarawo. Ale przyczepę to bym rozpoznała. Miała urwany kawałek plandeki.

– Bardzo pani dziękuję”.

– Panie poruczniku – sierżant Markiewicz z wahaniem wszedł do gabinetu szefa.

– Co jest?

– Bo ja chciałem powiedzieć...

– To mów.

– Jak szukałem informacji o Piotrowskim, co się okazał Kawułyeczem, to trafiłem na pewną relację. Złożył ją niejaki Marcin Małyniak spod Wrocławia. Zeznawał przed sądem w Rzeszowie w sprawie Pawła Woźnicy, komendanta oddziału UPA.

– Do rzeczy!

– I on twierdził, że ten Kawułyecz był donosicielem i przez niego zginęło wiele osób. Między innymi jakaś rodzina. Tylko dziecko się uratowało, a on z żoną je adoptowali.

– No i?

– To jest Jan Małyniak. Będzie miał teraz 41 lat i prawdopodobnie szuka zemsty.

– Co to za jeden ten Małyniak?

– Pracownik Uniwersytetu Wrocławskiego. Od kilku dni nie ma go na uczelni. Nikt nie wie gdzie się podziewa. To już drugi taki jego wybryk i grozi mu dyscyplinarka. Sekretarka przezaksowała mi jego zdjęcie. Podał szefowi kartkę. Ten powoli wyciągnął z biurka portret pamięciowy sporządzony według Maryśki z baru mlecznego i porównał.

– Szukamy Jana Małyniaka. Musimy go znaleźć zanim dopadnie Piotrowskiego.

– Tak jest.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Stał oparty o rozkład jazdy pociągów. Pociąg do Lublina miał przyjechać za pół godziny. Lublin. Jak można tam kogokolwiek znaleźć? Jeżeli rzeczywiście pojechał do Lublina? Mógł się rozmyślić, mógł wysiąść gdziekolwiek po drodze.

– Pan Jan Małyniak?

Popatrzył zaskoczony na funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej.

- Tak. O co chodzi?
- Proszę ze mną. Chcemy zadać panu parę pytań.
- Na jaki temat?
- Na jaki temat? Na przykład gdzie jest Roman Piotrowski?
- Nie znam takiego.
- A Wasyla Kawułyca?

Jan poczuł jak krew mu odpływa z twarzy. Ręce wsunął do kieszeni, żeby milicjant nie zauważył, jak zaczęły mu drżeć.

- Też nie znam.
- Czyżby? – sierżant uśmiechnął się z ironią – to pogadamy na komendzie o tym nieznanym panu człowieku.

Podporucznik Zaraś starał się przybrać bardzo profesjonalną minę.

- Nazwisko.
- Jan Małyniak.
- Lat.
- 41.
- Adres.
- Wrocław, ul. Zagrodowa 14/5
- Co pan robił na dworcu kolejowym?
- Czekałem na pociąg.
- Dokąd?
- Do Lublina. Mam bilet.
- Po co przyjechał pan do Janowa?
- Lubię podróżować.
- I ?

– I zwiędzać – w głosie Jana dała się wyczuć nutka kpiny – Stadnina koni znana jest na całym świecie. Warto zobaczyć. Poza tym budynek jest obiektem zabytkowym, nie jestem wprawdzie historykiem sztuki, ale potrafię docenić piękną budowlę. Nie wiem, czy pan się orientuje, ale wybudowano go...

– Wystarczy!

Jan uśmiechnął się niewinnie.

– Jestem historykiem, ale zapewne pan już zdążył zdobyć informacje na mój temat. Historia to mój konik, pasja mówiąc inaczej, więc nie ma się co dziwić, że tu przyjechałem.

Zaraś robił się coraz bardziej czerwony.

– Konik. Pasja. Powiada pan – cedził powoli wyrazy – a Roman Piotrowski vel Wasyl Kawułyca też znajduje się w kręgu pana zainteresowań?

– Niestety nie znam tego człowieka.

– Przestańmy bawić się w kotka i myszkę. Pan przyjechał, Piotrowski zniknął. Pan go szukał i znalazł. Kierowany zemstą zamordował go pan. Gdzie jest Roman Piotrowski? – wyszczał Zaraś – nie radzę urządzić sobie kpin. Jest pan podejrzany o morderstwo. Zostanie pan zatrzymany do wyjaśnienia sprawy.

Jan nie wierzył własnym uszom. Ironia losu. Jeszcze Wasyla nie dopadł a już jest oskarżony.

– Jestem aresztowany?

– Nie. Powtarzam. Zatrzymany do wyjaśnienia sprawy. I jeszcze jedno. Co pan wie o Nikicie Abramowie?

– Nie znam. Nic nie wiem.

– Wyprowadzić zatrzymanego!

Oparł się o fotel z zadowoleniem. Zawsze marzył, żeby to powiedzieć. Nawet w domu ćwiczył to zdanie.

Zadowolenie jednak szybko minęło. Kto zamordował Abramowa? Oba morderstwa się ze sobą wiążą. Był tego pewien.

Lublin, maj 1985 rok

W tym samym czasie Piotrowski siedział na dworcu w Lublinie i zastanawiał się, co dalej? Nikita nie żyje, ale żyje jego brat i on mu nie odpuści. Będzie go prześladował z podwójną pasją. Za dawne sprawy i za Nikitę. Policja go też szuka. A może by tak wrócić do Wrocławia? Do Wandy? Jak wtedy uciekał, Wanda była w ciąży. Po raz pierwszy pomyślał o dziecku. Dziecko? To już zupełnie dorosły człowiek. A Wanda? Ułożyła sobie jakoś życie? Może czeka na niego do tej pory? Dla niej wtedy był bohaterem z AK. Uwierzyła. Przyjedzie, stanie w drzwiach i co? To ja, po trzydziestu latach. Wróciłem i chcę z tobą zamieszkać. Dlaczego? Bo szukają zemsty. Bo milicja podejrzewa mnie o morderstwo. Bo nie mam się gdzie podziać. Bo... Zakrył twarz w dłoniach. Gdyby umiał płakać. Ale nie umiał.

Warszawa, maj 1985 rok

– Szefie, mamy Piotrowskiego.

– Piotrowski? Nasz uciekinier? Gdzie się znalazł?

– Sam zgłosił się na posterunek w Lublinie. Już go wiozą.

Do pokoju wszedł mały, chudy człowiek po siedemdziesiątce.

– Proszę siadać – Liniewski ręką wskazał mu krzesło.

Przyglądał się z uwagą przybytemu. To niemożliwe, żeby ten człowiek dał radę zabić takiego draba, wsadzić go do auta i wywieźć trzysta kilometrów – pan Roman Piotrowski – zaczął formalne przesłuchanie.

– Tak, a właściwie nie – zamilkł, a po chwili zmęczonym głosem

sem zaczął cicho mówić tym swoim dziwnym akcentem, którego się nie wyzbył przez tyle lat.

– Tak naprawdę nazywam się Wasyl Kawułyecz. To ja jestem powodem śmierci Nikity. Znałem go, to od niego uciekałem, zmieniłem nazwisko, porzuciłem swoją kobietę i dziecko. Dłużej już nie chcę się ukrywać. Jestem mordercą, zdrajcą. Trzeba mnie aresztować.

– W jaki sposób dokonaliście tego morderstwa?

Roman nerwowo potarł policzek.

– No, ja, jakby to powiedzieć. Uderzyłem go w głowę.

– Czym?

– Yyyy, takim drągiem.

– Ma pan prawo jazdy?

– Nie.

– Ale jeździ pan służbowym samochodem?

– Nie, nigdy! Nawet nie próbowałem.

Porucznik patrzył na niego. To był wrak człowieka. Stary, roztrzęsiony.

– Trzeba mnie aresztować – powtarzał w kółko – przeze mnie straciło życie wielu ludzi. Nikita to morderca, dobrze, że nie żyje. Tak, ja go zabiłem. Trzeba mnie aresztować. Nie chcę już uciekać. Zresztą przed sobą nie można uciec.

Porucznik nie przerywał. Patrzył na człowieka złamanego życiem. Z przeszłością, od której chciał uciec, a jednak go dopadła. Przeszłość. Wojna. Siedzi w nas i czym człowiek starszy, tym te wspomnienia stają się wyraźniejsze. Niechciane wspomnienia uparcie powracają. Nabierają kolorów jakich wcześniej się nie widziało.

Miał wtedy osiemnaście lat. Wpisano go na listę. Nie pomogła interwencja matki i dwa złote pierścionki. Wpakowali do pociągu. Było ich kilku. Jechali pod eskortą znudzonych żołnierzy. Nie potrafił nawet powiedzieć jak długo jechali. Dzień? Dwa? Byli głodni i przerażeni. Na miejscu, w jakimś urzędzie sfotografowali, dali legitymacje i szmatkę z literą P. Nie rozumiał ani słowa. Trafił do bauera. Do dużego gospodarstwa. Został niewolnikiem jak murzyn w Ameryce. Z trudem przyzwyczajał się do pracy na roli. Nie miał z tym wcześniej nic wspólnego. Jedzenia też nie było dużo, ale nikt go nie bił. Raz tylko, jak się postawił, postraszono go „trafisz do Auschwitz”. Już trochę po niemiecku rozumiał, ale się nie przejął. Wtedy nie wiedział, co to Auschwitz.

Maj. Koniec wojny. Powrót do Polski na piechotę. Głód. Krwawiące nogi. Strach przed żołdatami–wyzwolicielami. Wolność. Ruiny Warszawy. Radość odbudowy stolicy. Studia. Tylko rodziców i młodszą siostrę już nie było.

– Zna pan Jana Małyniaka?

Przez twarz Wasyla przebiegł skurcz. Był to moment, ale nie uszedł on uwagi porucznika.

– A rodzinę Małyniaków?

– Nie pamiętam.

– Proszę podpisać zeznania.

Podsunał protokół.

– To nie aresztujecie mnie?

– A powinniśmy?

Popatrzył zdziwiony.

– To znaczy mam odejść?

– Tak, Niech pan wraca do Janowa i nigdzie nie ucieka.

Całe życie uciekam, pomyślał, i cichutko zamknął za sobą drzwi.

Liniewski nerwowo stuknął długopisem w blat biurka. Małyniaka trzeba wypuścić. Nic mu nie pasowało. Ten stary kłamię. Dlaczego? Kogo kryje? Cholera, same niewiadome. Czy to naprawdę mąż Wandy? No, nie mąż tylko ojciec jej córki? Rzucił ze złością długopis i wrzasnął.

– Markiewicz, do mnie!

Sierżant Stanisław Markiewicz bał się humorów swego szefa jak ognia. Zerwał się z krzesła, aż z hukiem upadło i wpadł do gabinetu.

– Tak jest!

– Co tak jest? Sprawdźcie, co łączyło Abramowa z Kawułyeczem? Na jutro!

– Tak jest!

Po odejściu sierżanta wybrał numer Wandy, ale w słuchawce odezwał się inny głos.

– Mogę rozmawiać z panią Wandą?

– Mamy nie ma, czy coś powtórzyć?

– Mówi porucznik Liniewski Proszę powiedzieć, że Roman Piotrowski się znalazł. Jest w Janowie Podlaskim, pracuje w stadninie koni.

Cisza jaka zapanowała po drugiej stronie telefonu zaniepokoiła Marka.

– Z jakiegoś powodu ten człowiek interesował panią Wandę – dodał.

Helenka powoli odłożyła słuchawkę.

Ojciec się odnalazł. Więc jednak mama go szukała. Dlaczego nic nie powiedziała? Czemu to ukrywała? Wszyscy się od niej odwracają. Najpierw Jan. Teraz mama. Poczuli się bardzo samotnie, odrzucona przez najbliższych. Wyciągnęła ze stoika dwa kiszzone

ogórki i włączyła adapter. Ale nawet Niemen jej nie uspokoił. Wręcz odwrotnie. Słowa piosenki „dobranoc powtarzając nie dał bym ci zasnąć” przypomniały niedawną noc z Janem. Była taka szczęśliwa. Płyta się zacięła. Złośliwość rzeczy martwych. Pchnęła lekko palcem igłę. Nie pomogło. Wyłączyła.

Jan, jej pierwsza, jedyna miłość. Człowiek, któremu bezgranicznie ufała. Jak mógł ją tak potraktować? Żeby chociaż powiedział wybaczyć, nie mogę z tobą być, bo... A on nic nie powiedział. Odsunął się. Telefonów nie odbiera.

– Dupek! Histeryk!

Była w domu sama, więc mogła sobie pokrzyczeć.

– Dupek i histeryk – powiedziała nieco ciszej, ale wcale nie pomogło.

Gryzła ogórki i patrzyła przez okno na ulicę Wrocławia. Ludzie kręcili się we wszystkie strony. Każdy ma swoje sprawy, swoje życie. A ona czuje się źle. Szczególnie rano.

Telefon dzwonił i dzwonił zanim Helenka podniosła słuchawkę. Nie chciała z nikim rozmawiać, a najbardziej z mamą. Niestety w słuchawce posłyszała jej głos.

– Dzwoniła ciocia Zosia, jutro do niej jadę. Wrócę z pracy, to porozmawiamy.

– Dobrze.

Wanda po drodze do domu kupiła czerwone wino i bezy, za którymi Helenka przepadała. Była zdenerwowana, jak córce powiedzieć, że ojciec się znalazł. Jak zareaguje? Czy zechce się z nim spotkać? A jak on zareaguje? Może ma rodzinę, inne dzieci i wcale nie chce nas widzieć? Biła się z myślami.

– Helenko!

Cisza.

Na stole leżała karteczka. *Wyjechałam z przyjaciółmi. Wracam w poniedziałek. Nie martw się. Cauję. H.*

Marcinkiewicz znowu zagłębił się w przeglądanie notatek z procesu kurenego Piotra Woźnicy. Mam! Przecież on ukrywał się u Abramowów. Kawułyca ich w czterdziestym siódmym zadenuncjował. Nikita Abramow przepadł, a teraz powrócił. Chciał sprzątnąć Piotrowskiego, to znaczy Kawułyca, ale ten się nie dał i go nabił na widły i wywiózł pod Warszawę. Nie, to nie tak. Nie mógł sam tego dokonać. I ta kobieta ze stacji benzynowej. Musiał mieć współników. I był to ktoś ze wsi. Ktoś z wesela.

Janów Podlaski, maj 1985 rok

Roman usiadł w boksie Rozalii. Na dworze szarzało. Nad-

ciągnęły ciemne chmury i w oddali zagrzmiało. Rozalia zarzała zdenerwowana. Burzy zawsze się bała, a od kiedy miała żrebaka stała się jeszcze bardziej nerwowa. Nagły błysk rozświetlił stajnię. Zarzała i stanęła dęba.

– Spokojnie – Roman mówił łagodnie, chciał uspokoić klacz. Poklepał po szyi – spokojnie, jesteś bezpieczna.

Koń na chwilę się uspokoił. Deszcz miarowo uderzał w dach.

Nie zauważył, kiedy do stajni weszła młoda kobieta. Rozejrzała się niepewnie, piorun oświetlił wnętrze i wtedy zauważyła mężczyznę. Zbliżyła się do boksu.

– Pan jest Roman Piotrowski?

– Tak – spojrzał na nią ze zdziwieniem, że o tej porze, w taki deszcz ktoś go szuka.

– I ty jesteś Wasyl Kawułyca?

Czuła jak krew jej odpływa, a przed oczami jakieś dziwne plamy. Cała sytuacja wydała się nierealna. Burza, rżenie koni i odnaleziony po tylu latach ojciec. Chciała mu spojrzeć w oczy i wykrzyzczyć całą nienawiść jaką do niego czuła. Za to, że je zostawił, za to, że okazał się donosicielem i mordercą. Za to, że musi się wstydzić takiego ojca. I wreszcie za to, że Jan ją porzucił. Weszła do boksu.

– Tak, ja Wasyl.

– Ty jesteś Wasyl – powtórzyła – to ty jesteś moim ojcem...

– Moja córka?

Stanął zapominając o koniu, o burzy. Było zbyt szaro by mógł dokładnie zobaczyć twarz dziewczyny. Widział tylko jej drobną postać.

– Maja donka.

Dziewczyna poczuła jak złość dodaje jej sił.

– Przez ciebie zginęli niewinni ludzie! Jesteś mordercą! Dlaczego!? Podeszła bliżej, chciała spojrzeć mu w oczy i usłyszeć jakieś wytłumaczenie. Może zaprzeczenie, że to nie on, że to wszystko pomyłka, a jej ojciec jest niewinny.

Nie usłyszała odpowiedzi. Piorun jednocześnie z grzmotem uderzył tuż obok stajni. Rozalia zarzała z przerażenia i stanęła dęba. W ułamku sekundy Roman zorientował się, jakie zagrożenie stanowi to dla tej dziewczyny, dla jego córki. Za późno było by się cofnąć czy uspokoić konia. Pchnął Helenkę i sobą zaslonił. Oboje upadli. Helenka uderzyła o coś głową i straciła przytomność. Obudził ją powiew zimnego powietrza i czyjeś głosy. Ludzi było coraz więcej. Migało też światło karetki pogotowia.

– Ma pani szczęście, to tylko niegroźne stłuczenie ale trzeba zrobić prześwietlenie głowy – mężczyzna w białym kitlu uśmiechnął się przyjaźnie – po co pani wchodziła do koni?

Nie odpowiedziała, pomału zaczęła sobie przypominać całe zajście.

– A co z moim ojcem?

– Ojcem? – lekarz wyraźnie się zawahał – pani ojciec uratował panią. Zasłonił przed uderzeniem kopyt.

– I co z nim?

– Uderzenie było bardzo silne. Niestety, przykro mi, ojciec pani nie żyje.

Na pogotowiu ratunkowym było duszno i tłoczno. Helenka wyszła do holu i zastanawiała się, co dalej. Okazało się po prześwietleniu, że to było tylko niegroźne stłuczenie i spokojnie może wracać do domu. Do domu?

– Pani Helena Zbilska?

Podeszło do niej dwóch milicjantów.

– Porucznik Marek Liniewski i sierżant Markiewicz. Czy możemy porozmawiać?

Patrzyła na nich bez słowa.

– Może przejdziemy do baru, tam będzie spokojniej – zaproponował milicjant.

Przy wejściu zrobiło się jakieś zamieszanie. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła mamę z ciocią. O widzę, że i pani mama już jest.

Usiedli przy małym okrągłym stoliku. Sierżant przyniósł kawę z automatu z trudem radząc sobie z czterema kubkami i taktownie wyszedł z baru. To była rodzinna rozmowa. No, prawie rodzinna.

– Dłaczego mi nie powiedziałaś, że tu jedziesz? Skąd w ogóle wiedziałaś?

Wanda była zdenerwowana. Po telefonie od Zosi od razu pojechała do Warszawy. Tam dowiedziały się, że porucznik Liniewski pojechał do Janowa i o wypadku Helenki.

– Ode mnie – Marek popatrzył na Wandę ze skrucą – ja telefonowałem, ciebie nie było. Nie wiedziałem, że to tajemnica.

– Tak. Tajemnica! – Helenka czuła jak wzbiera w niej złość. – Tajemnica! Własna matka mi nie powiedziała, że szuka ojca. I ojciec się znalazł. Ojciec donosił i morderca!

Podniosła głos, a w oczach pojawiły się łzy.

– Co ty mówisz?

Wanda z przerażeniem patrzyła na córkę.

– Morderca?

– A tak. Morderca!

Oparła się o stół i zakryła twarz dłońmi.

– Morderca? O co chodzi?

Porucznik odchrząknął.

– Bo widzisz – zaczął cicho mówić – Roman Piotrowski, jak sam się przyznał, to naprawdę Wasyl Kawułyycz. Z informacji, które udało się nam zebrać, to członek organizacji UPA działającej m.in. w Bieszczadach. Ma, miał – poprawił się porucznik – wiele na sumieniu.

Nikt nie zauważył stojącego w drzwiach i przysłuchującego się rozmowie mężczyzny.

Helenka nie słuchała, ani nie patrzyła na nikogo. Nagle poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Podniosła głowę. Jan stał obok.

Wyszli przed szpital. Porucznik podsunął sierżantowi paczkę papierosów. Palili w milczeniu. Wreszcie Liniewski się odezwał.

– Roman Piotrowski vel Wasyl Kawułyycz nie żyje. Jego sprawa zamknięta. Morderca ruskiego nie znaleziony. Cholera!

– Szeffie, a może jeszcze raz wziąć pod lupę tych z wesela? Przecież ten od koni widział kogoś w garniturze. I ta babka na stacji benzynowej. Przepytać jeszcze raz. Porozmawiać z młodymi, z ich rodzicami?

– Miałem nadzieję, że kolegów tu jeszcze spotkam – sierżant z miejscowej komendy westchnął z ulgą – przysyła mnie komendant. Siedzi u niego taka baba, żłopie herbatę i psioczy na organy ścigania.

Popatrzyli na milicjanta zaskoczeni.

– Chce rozmawiać tylko z tym grubym z Warszawy – zreflektował się za późno i aż poczerwieniał – przepraszam, to był cytat.

Liniewski uśmiechnął się, że go to nie dotknęło.

– No to idziemy.

Przy biurku komendanta siedziała kobieta mała, pomarszczona i głośno siorbała herbatę.

– No nareszcie! Już piję trzecią herbatę, a jest obrzydliwa. Nawet cytryny nie mają. Albo mleka. Z mlekiem też dobra. A o weselu to ze mną nikt nie rozmawiał. Bo co? Bo stara to nic nie wie? Nic nie widzi? A stara widzi dużo. Wszyscy wypici, to nie pamiętają co było, a ja tylko kieliszeczek, no może dwa.

– Jak pani godność?

Policjant wyciągnął notes i długopis.

– Że co? Niby jak się nazywam? Wszystkie mnie tu znają.

Jestem Michalina Zaworowa.

Miejscowy milicjant dodał.

– Cioteczna babka pana młodego.

– No właśnie. Mówiłam, żeby się z nią nie żenił. To pijaki same. Jej brat i jego kumple się spili i poszli gdzieś w cholere, tak

trochę po północy. Ja poszłam zaraz potem, bo mi w krzyżach „szczyka” i wysiedzieć już nie mogłam, ale Smrekowa mówiła, że pijaki wróciły nad ranem.

Zaraś z ulgą przyjął do wiadomości, że Liniewski wyjeżdża i dał mu wolną rękę. Ba! Prosił go nawet o pomoc. No to do roboty!

– Słuchaj no – Zaraś znał Eugeniusza Myrdood dziecka. Tak po sąsiedzku – z kim to wychodziłeś po północy?

– Ja? Z nikim. W ogóle nie wychodziłem.

– A twoi kumple? Jarek i Benek mówią co innego – zblefował.

Chłopak popatrzył na Zarasia z niechęcią.

– Wypiłem za dużo, to i może i wyszłem się przewietrzyć.

– A kumple?

– To ich trzeba spytać.

– Spytam. A ty czemu się tak denerwujesz? Jak tam Ewka? Nadal chodzicie razem?

– No.

– Nie odpowiada się no, tylko, tak panie komendancie.

– No, panie komendancie.

– Podpisz.

– Ewa Jagoda, lat 22. Zamieszkała we wsi Wygoda?

– Tak.

– Co robiłaś 28 kwietnia?

– Przecież wiesz doskonale – popatrzyła na milicjanta zaskoczona.

– To jest przesłuchanie i zwracaj się do mnie panie komendancie.

– Jak chcesz.

– To co robiłaś...

– Zwracaj się do mnie pani Jagoda.

Zaraś zagryzł wargi.

– Co pani Jagoda robiła 27 na 28 kwietnia bieżącego roku?

– Byłam na weselu. Siostra mojego chłopaka wychodziła za mąż.

– A twój, przepraszam, pani chłopak był z panią?

– Tak.

– Cały czas?

– Nie. Wyszedł ze swoimi kumplami. Spili się, to i pewnie gdzieś pod płotem posnęli.

– Nie szukała ich pani?

– Nie. Pokłóciliśmy się już na początku wesela. Wolał towarzystwo Benka i Jarka niż moje. Ani kawałka ze mną nie przetańczył.

– Kiedy wrócili?

– Tego nie wiem. Wyszłam koło północy. Byłam wściekła na niego.

– Dziękuję.

– Bardzo proszę – prychnęła.

– Anna Walas, lat 21.

– Była pani na weselu Marcina Białaka i Agnieszki Myrdo 27 na 28 kwietnia?

– Tak.

– Sama pani poszła na to wesele?

– Nie, ze swoim chłopakiem.

– Nazwisko.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby to było oczywiste kto jest jej chłopakiem.

– Z Jarkiem Badurą.

– Cały czas byliście razem?

– Nie.

– Jarek wyszedł ze swymi kolegami.

– To znaczy z kim?

– Z bratem panny młodej Gienkiem i Benkiem Żmijką.

– I kiedy wrócili?

– Tego nie wiem. Posiedziałam sama, jak ta głupia, jeszcze trochę i poszłam.

– Nie szukałaś go?

– A po co? Spili się, to mówiłyśmy z Ewką, że pewnie posnęli gdzieś pod płotem.

– Kiedy się z nim zobaczyłaś?

– Zadzwoił pierwszego maja i powiedział, że jest chory. Spotkaliśmy się dopiero trzeciego, w kościele.

– Mówił, gdzie był?

– Nie pytałam. Pokłóciliśmy się o to wesele i zerwaliśmy.

Wydeła z pogardą usta.

– Wszyscy mi mówią, że zasługuję na kogoś lepszego.

Jarosław Badura, lat 24?

– Tak, byłem na weselu. Siostra mojego kumpla się hajtnęła.

– Wiemy, że opuścił pan zabawę razem z kolegami około północy, dokąd poszliście?

Twarz zatrzymanego wyrażała zaskoczenie pomieszane ze strachem.

– Wyszliśmy się przejść. W sali było duszno, a my trochę wypili.

– I gdzie poszliście.

– Nigdzie. Tak pokręcili my się i wrócili na sale.

– To wszystko?

– Wszystko.

Starał się nadać swemu głosowi ton obojętny.

– A brat panny młodej też z wami wrócił.

– Taaa.

– No i co Gienek? Znowu się spotykamy.

– Mówiłem już, że byłem na weselu. Cały czas. Mam na to świadków.

– I nie opuszczałeś wesela?

– Ani na chwilę.

– Mam inne informacje.

– Ciekawe od kogo?

– To ja zadaję pytania.

– To ten ktoś źle jak pies. Byłem cały czas.

Poczerwieniał i podniósł głos.

– To zgodzisz się na wzięcie udziału w okazaniu?

Porucznik uśmiechnął się ironicznie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że staniesz z kilkoma innymi osobami, a ktoś na was popatrzy.

– Kto?

– Tego nie musicie wiedzieć.

Warszawa, maj 1985 rok

Leżała z otwartymi oczami. Dochodziła północ ale nie mogła zasnąć. Przez uchylone okno dochodził szum miasta. Warszawa żyła swoim życiem. Jej córeczka, jej Helenka miała wypadek, a ona dowiedziała się dopiero dzisiaj. Rano poszły z Zosią na komendę.

– Porucznik Liniewski pojechał do Janowa – jakiś młody policjant w stopniu plutonowego wytarł zakatarzony nos – przepraszam, mam grypę – wytarł chusteczką pot z czoła i tłumaczył się ochrypłym głosem – to panie nie wiedzą? Ten Piotrowski się znalazł i okazało się, że to nie Piotrowski.

Plutonowego złapał atak kaszlu.

– Porucznik dzwonił i – zawałał się – pani Helena Zbiliska miała wypadek, ale nic się nie stało – dodał szybko widząc przerażoną minę Wandy.

Jak dobrze mieć przyjaciół, myślała Wanda. Zosia z mężem

nie zastanawiali się ani chwili. Wsiedli do malucha i po trzech godzinach byli w Janowie. Na komendzie dowiedzieli się, że porucznik z Warszawy pojechał na pogotowie. Trafili bez problemu. Już od drzwi zobaczyli Helenkę z porucznikiem.

– Idźcie same – mąż Zosi nie chciał robić tłoku – poczekam w aucie.

Teraz Wanda leżała w małym pokoiku warszawskiego mieszkania przyjaciół. Leżała a przed oczami przesuwały się obrazy wspomnień.

Bojący się wszystkiego Roman.

Samotność.

Dziecko bez ojca.

Ciężkie czasy.

Co Roman miał wspólnego z Janem?

W końcu zasnęła.

Rozpędzony tabun koni a nad nim twarz Romana–Wasyła histerycznie się śmiejąca.

Jan Zajdel wszedł do małego pokoiku. Przez szybę widział kilku mężczyzn w białych koszulach i czarnych spodniach.

– Oni pana nie widzą.

– Mogą widzieć, ja się tam nie boję. Jeśli jest ten morderca, to mogę mu spojrzeć prosto w twarz.

Stanął w lekkim rozkroku, ręce założył na piersi i uważnie zaczął się przyglądać.

– Chyba numer 3. Ale... Mogą stanąć bokiem?

Porucznik nachylił się do mikrofonu – proszę się powoli obrócić bokiem do nas.

– Tak. Numer 3 na 99%.

– Dziękuję panom – powiedział do mikrofonu, a do Zajdla – proszę ze mną. Podpisze pan protokół.

Wiś Wygoda, kwiecień 1985 rok

W restauracji Zagłoba odbywało się huczne wesele. Sproszona była prawie cała wieś. Ojciec panny młodej nie żałował wódki. Ostatecznie wydaje swoją jedyną córkę i to nie za byle kogo. Za syna softysa. Brat panny młodej był duszą towarzystwa. Zabawiał wszystkich, ze wszystkimi musiał się napić. Było już dobrze po północy jak poczuł, że koniecznie musi się przewietrzyć. Zawołał swoich dwóch najlepszych kumpli, wzięli flaszkę i wyszli.

– Idziemy na spacer, o tam! – Machnął ręką w bliżej nie określonym kierunku. Koledzy posłusznie kiwnęli głowami i zataczając się ruszyli przed siebie. Droga prowadziła w stronę stadniny.

– Koniki tu są, pojeździmy – ucieszył się brat panny młodej, który pracował przy koniach w Janowie.

Nikitę zauważyli dopiero jak wpadli na niego.

– O, kolega – ucieszyli się z niespodziewanego spotkania – napij się z nami.

Zataczając się podeszli do Nikity.

– Wypij za zdrowie pary młodej!

– Nie chaczu.

– Patrzcie ruski! Nie chce się z nami napić.

– Ważny taki! – Dodał kumpel.

– Swołocz! – Skomentował trzeci pijak.

– Otoczyli Nikitę i koniecznie chcieli go siłą napić.

– Ja skazał, nie chaczu! – Powiedział już ze złością i cofnął się pod budynek.

– Słyszeliście? On nie chaczu za zdrowie mojej siostrzyczki!

Mężczyzna oparł się o ścianę. Za plecami coś poczuł. Widły. Chciał nimi odstraszyć pijanych intruzów.

– Ty do nas z widłami?!

Zaczęli się szarpać. Wyrwali mu widły. Któryś go popchnął. Nikita się poślizgnął, całym swoim prawie stukilowym ciałem zwałił się na trzymane przez brata panny młodej widły i razem z nim upadł na ziemię. Posłyszeli cichy jęk i zapadła cisza. Pijany z trudem uwolnił się od przytłaczającego go ogromnego mężczyzny. Powoli zaczęło do nich docierać, co się stało.

– Kurwa, on nie żyje.

Stali nad Nikitą nie wiedząc co dalej.

– Trzeba go stąd zabrać. Schować.

Oprzytomnieli szybko. Na placu stał samochód dostawczy z przyczepą. Kluczyki były w stacyjce. Z trudem wciągnęli nieboszczyka do przyczepy i ruszyli przed siebie.

Łopienka, 15.10.2017 (niedziela)

Ksenia Wanda Małyniak z trudem znalazła miejsce na parkingu.

– Nareszcie – westchnęła z zadowoleniem. Wysiadła z samochodu i przeciągnęła się rozprostowując kości. Z torebki wyciągnęła komórkę.

– Zrobię trochę zdjęć. Do Łopienki mamy 2,5 km. Macie siły iść?

– Nie rób z nas takich staruszków – uśmiechnęła się Helenka wysiadając.

– Oczywiście, przejdziemy – ale Jan robił wrażenie jakby nie miał chęci w ogóle wysiadać.

Ruszyli drogą rozjeżdżoną przez samochody. Dzień był piękny jak na tę porę roku. Słońce świeciło i wydobywało kolory jesieni: złoto, czerwień, gdzie nie gdzie zielen drzew iglastych.

– Jak tu pięknie – zachwycała się Ksenia, a Helenka przypomniała sobie, że chciała to piękno namalować.

Jan siedł w milczeniu. To była ta sama droga, co przed przeszło trzydziestu laty. Od tamtej pory tu nie był. To Ksenia zmusiła ich, no powiedzmy nakłoniła, żeby tu przyjechać.

– To przecież kawał historii – powiedziała zupełnie tak samo jak trzydzieści lat temu Helenka – naszej rodzinnej historii – dodała ciszej i jakby niepokornie.

Droga niby taka sama, a jednak... Jan patrzył na samochody jadące w stronę cerkwi. Na grupki ludzi idących z plecakami, śmiejących się. Szczęśliwych. Wtedy nie było tu nikogo oprócz smolarzy.

Zatrzymali się przy retortach. Smolarzy nie było – niedziela – pomyślał. Piece załadowane drewnem czekały na podpalenie. To od smolarza dowiedział się, że Łopienki już nie ma.

Mijani ludzie uśmiechali się do nich, kłaniali, jak to w górach.

Zaskoczyła go drewniana wiata i

plonące przed nią ognisko. Jakaś gruba kobieta karciała niesfornego dzieciaka a dwóch mężczyzn, zapewne jej mąż i starszy syn, opiekowało kielbaski na ognisku.

Cerkiew pobielona, zrekonstruowana, oblegana była przez turystów. Dzieci krzyczały, biegały psy i tu było miejsce na ognisko. Nie, tego się Jan nie spodziewał. Chciał jeszcze raz, może ostatni, zobaczyć góry, łąki, gdzie kiedyś były pola uprawne, sady. Pragnął ciszy. Nowy dach błyszczał z daleka, a obok odbudowana kaplica grobowa.

W cerkwi nie było nikogo. Chłód rzecznych kamieni, z których zbudowana była ta mała świątynia, stwarzał nastrój powagi i nostalgii. Jan ukląkł i wpatrywał się w obraz. Jadąc tu pierwszy raz matka powiedziała „może znajdziesz groby rodziców?” Nie znalazł. Na cmentarzu, do którego wiodła kręta górską ścieżka, rosły tylko drzewa. Opadłe liście szeleściły pod nogami i jedynie małe kamienne grobowiec z krzyżem świadczył o tym miejscu.

Ciekawe, kto z tych turystów zna prawdziwą historię. Nie tylko tą, którą można było przeczytać w Internecie. Ale historię poszczególnych żyjących tu kiedyś ludzi.

EPILOG

Zafascynowała mnie historia Łopienki, małej wioski, która w 1939 roku liczyła 53 domy i zaledwie 331 mieszkańców. Wioska, która już nie istnieje. Jej historię starałam się ukazać na przykładzie fikcyjnych bohaterów. Ich losy wplotłam w autentyczne wydarzenia i daty.

Kurenni Rizun, Paweł Woźnica, działał naprawdę w okolicach Łopienki. Został aresztowany i skazany na karę śmierci przez Sąd w Rzeszowie.

Uniccy duchowni naprawdę zachęcali do mordowania Polaków, twierdząc, że

zabić Polaka to nie grzech. Naprawdę płonęły wsie podpalane przez członków UPA.

Wasył Kawułyż jest postacią fikcyjną, ale przecież takich donosicieli było wielu. Taki Wasył mógł żyć naprawdę i przez zadróż przyczynić się do śmierci sąsiadów. A wyrzuty sumienia? Mogły naprawdę dręczyć takich Wasyłów.

Okres II wojny światowej to jednak nie tylko maleńka bojkowska wioska. Tragiczne historie były udziałem wszystkich mieszkańców ówczesnej Polski. Opisałam więc historię Wandy ze Stanisławowa, której ojca aresztowało NKWD i zginął, prawdopodobnie, w Katyniu. Matka zmarła w drodze na Sybir, a Wanda, jak wiele osieroconych dzieci wędrowały z wojskiem Andersa. Spotkała Ordonkę (Hanka Ordonówna – aktorka, znana z przedwojennych szlagierów) i przyjaciółkę na całe życie, Zosię.

Sąsiad Wandy – były więzień Auschwitz do obozu trafił jako dziecko

z Powstania Warszawskiego. Jego obozowy przyjaciel i opiekun Wania, żołnierz Armii Czerwonej, w obozie był jako jeńiec wojenny. Po wyzwoleniu skierowano go do sowieckiego łagru i słuch po nim zaginął.

Jest jeszcze profesor z Uniwersytetu Wrocławskiego, który studiował we Lwowie. Jego cała rodzina została wymordowana na Wołyniu przez OUN–UPA. I porucznik Liniewski wywieziony do Niemiec na roboty przymusowe. Pokolenie, które przeżyło wojnę nie może się wyzwolić od wspomnień, które rzutują na całe dalsze ich życie. Bo przed sobą i swoimi wspomnieniami nie można uciec.

BIBLIOGRAFIA

Bata Artur: *Bieszczady. Szlakiem walk z bandami UPA*. Rzeszów 1984

Bata Artur: *Bieszczady w ogniu*. Rzeszów 1987.

Hort Weronika: *Tulacze dzieci*, 2005.

Jastrzębski Janusz Maciej: *Strzełał każdy dom i każde drzewo*. Rzeszów 1986.

Jadwiga Buczak urodziła się w Oświęcimiu. Od trzech lat mieszka w Rzeszowie. Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach na kierunku Bibliotekoznawstwo i Informacja Naukowa oraz studiów podyplomowych z zakresu Muzealnictwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat obroniła na Akademii Pedagogicznej w Krakowie, wydział humanistyczny.

Przez wiele lat prowadziła bibliotekę w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu i oprowadzała grupy zwiedzających. Opracowała „Bibliografię KL Auschwitz za lata 1981-2006” i napisała kilka artykułów związanych z pracą zawodową m.in.: „Z Rzeszowa do Auschwitz”, „Digita-

Karczmarszewski Andrzej: *Świat Bojków. Etnograficzna podróż po Bojkowszczyźnie*. Rzeszów 2014.

Koprowski Marek A.: *Akcja „Wisła”. Krwawa wojna z OUN-UPA*. 2016.

Łysakowski Jan: *Gorące wzgórza*. Rzeszów 1984.

Misiło Eugeniusz: *Akcja „Wisła”*, 1993.

Mołodyński Witold: *Bieszczadzkie okupacje 1939-45*. Rzeszów 2016.

Motyka Grzegorz: *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła”*. 2011.

Motyka Grzegorz: *W kręgu „Łun w Bieszczadach”*. 2009.

Potocki Andrzej: *Przystanek Bieszczady bez cenzury*. Rzeszów 2011.

Potocki Andrzej: *Zaginiony świat bieszczadzkiego kresu. Bojkowie, Żydzi, Polacy, Niemcy i Cyganie*, Wyd. 2. Rzeszów 2014.

Studia Rzeszowskie. T.1. Rzeszów 1995.

Ziółkowska-Modła Halina: *11 lipca Dzień Pamięci Kresowian*. W: „Wołyń i Polesie”. R. XXI, listopad 2014, nr 4 (85).

Żurek Stanisław: *UPA w Bieszczadach*. Wrocław 2010.

lizacja zbiorów bibliotek muzealnych”, „Auschwitz wpisany w życiorys - Zofia Kossak”, „Marsz Żywych – między historią a polityką”.

Autorka dwóch tomików poezji: „Słowa nieuśmiechnięte” i „Jesienne kwiaty”. Opublikowała opowiadania „Kradzież Mony Lisy” w wydaniu zbiorowym „Lukrecja z kamiennej grobli”, „Cudowne święta” w czasopiśmie „Własnym Głosem” oraz „Od pożogi do otchłani” w kwartalniku „Wołyń i Polesie”.

Oprócz pasji literackiej ma również inną – malarstwo, w którym realizuje się malując obrazy i prezentując swoje prace na licznych wystawach zbiorowych i indywidualnych.



Izabela Sekulska

Zostawiam. Z drzeniem duszy, bo to jest coś czego napisanie kosztowało mnie masę energii, ale też i łez. Pewnych rzeczy chociażby się je przerabiałoby wielokrotnie, nie da się ominąć, nie zostawiając na nich łez. Nazwałam opowieścią paraboliczną. Kilka celów mi przyświecało. Czy je zrealizowałam? Zobaczmy.

Izabela Sekulska

*„Jest czas lamentu i czas tańca,
Jest czas rozrzucania kamieni
I czas zbierania kamieni”.*

Kohelet 3, tłum. Roman Brandstaetter

Estera

Nad miastem unosiła się chmura czegoś bardzo ciemnego. Estera pomyślała, że to „coś” musi bardzo gryźć w oczy wszystkich gojów w Mielcu, podrażniać gardła.

Żydów w mieście już nie było. Od dawna.

Chmurę nad miastem Estera widziała ze swojego drzewa przy ulicy Traugutta. Najwyższe drzewo na żydowskim cmentarzu było domem Estery od 9 marca 1942 roku. To tutaj oczekiwała na przyjście Mesjasza.

Siedziała na najgrubszej gałęzi i machała nogami. Jej śliczne popielate buciki lśniły w słońcu. Przyglądała się im z radością.

– Dzisiaj w Mielcu, żaden goj już nie ma takich butów – pomyślała.

Nagle zobaczyła, że ulicą idzie Dziewczyna.

– To ciekawe! – pomyślała Estera – Co ta gojka tutaj dzisiaj robi? Przecież mają swoje święto, odwiedzają cmentarze, we wszystkich firmach na Traugutta dzisiaj nie pracują.

Gojka zatrzymała się przed furtką cmentarza. Estera zmrugała oczy, zmarszczyła czoło. Pomyślała, że się zbliży i przyjrzy jej. Sfrunęła z drzewa i znalazła się tuż przy furtce.

– Coś takiego! Ta gojka ma piękne zielone wysokie buty! Takich nawet tatuś by się nie powstydził wypuścić ze swojego warsztatu. Niemożliwe! – Estera kręciła ze zdumieniem głową.

Dziewczyna wyjęła z zielonej torebki znicz.

– Po co przyszła tutaj ta gojka? O co jej chodzi? – myślała Estera.



Rys. Izabela Sekulska

Tymczasem Dziewczyna zapaliła znicz, postawiła go przed ogrodzeniem. Po chwili wyjęła z kieszeni kamyk i położyła na ogrodzeniu.

– To naprawdę ciekawe – zdziwiła się Estera.

Od dawna nie widziała tutaj nikogo. Czasem przyjeżdżali chasydy z Nowego Jorku. Pokręcili się, pokręcili, powybrzydali, że cmentarz taki zarośnięty, czasem zmówili jakąś modlitwę. Estera próbowała nawiązać z nimi kontakt. Przecież nie miała okazji rozmawiać z żywymi Żydami od lat. Nie było ich już tutaj. Wszystko skończyło się 9 marca 1942 roku.

– Ej... jestem tutaj, ej ... – wołała. Na nic się to zdawało. Odchodzili.

Popatrzyła na Dziewczynę. Ta stała dość długo, a w oczach miała łzy.

– Za kim płacze ta gojka? – myślała Estera, fruwając nad futrką i baczenie przyglądając się Dziewczynie. Potem Dziewczyna podniosła głowę, zmrużyła oczy, zmarszczyła czoło, jakby coś usłyszała, albo zobaczyła.

– No proszę .. łapiemy kontakt z gojką...

– Do zobaczenia – wyszeptła Dziewczyna w zielonych butach i odeszła.

– Szalom alejchem! – odpowiedziała Estera i skierowała się na swoje drzewo.

Ułożyła się wygodnie i zasnęła.

Przyśnił się jej dawny Mielec. Ten sprzed marca 1942 r, a nawet sprzed wojny. Trochę pamiętała. Latem 1939 roku miała 7 lat.

To było bardzo gorące lato i często spędzała je z siostrami nad Wisłoką. Estera miała przyjaciół wśród gojów. Mieszkali przecież w jednym mieście, na jednej ulicy.

Rodzice Estery kupili dom przy ulicy Sandomierskiej. Tate Estery był szewcem. Estera uwielbiała to przejście, którym z Sandomierskiej można było dostać się wprost do Rynku. Niestety 9 marca 1942 r musieli opuścić swój dom.

„Z uwagi na brak mieszkań musieli żydzi opuścić mieszkania, sklepy, oraz inne zabudowania. Ktokolwiek w owych pomieszczeniach – obojętnie w jaki sposób dopuszcza się rabunku, podlega na podstawie rozporządzenia przeciw zdrajcom z dnia 5 września 1939 roku karze śmierci”.

– tak brzmiało obwieszczenie niemieckiego starosty dębickiego Schlutera o przymusowym opuszczeniu mieszkań, sklepów i innych zabudowań przez mieleckich Żydów, z zakazem zajmowania ich mieszkań pod karą śmierci.

Zanim to jednak się stało, zanim Niemcy wkroczyli do Mielca, zanim splonęła synagoga, Estera wiodła dobre i szczęśliwe życie z Mame i Tate, oraz dwoma siostrami: Sale i Feige.

W Mielcu mieszkało bardzo wielu mieszkańców wyznania mojżeszowego. Byli kupcami, krawcami, piekarzami. Zamieszkiwali prawie cały teren Mielca. Była w Mielcu synagoga i mykwa, była rytualna rzeźnia, był cheder.

Połowa mieszkańców miasta to byli Żydzi. Kiedyś.

Potem nadszedł ten jeden dzień. Wszyscy Żydzi zniknęli.

Słońce świeciło mocno i kiedy Estera popatrzyła na koniec ulicy, trudno było jej cokolwiek dojrzeć. A właśnie na końcu ulicy pojawiła się Dziewczyna.

– O ... znowu Ona – szepnęła Estera.

Szybciutko sfrunęła z drzewa, aby popatrzeć na Dziewczynę.

Ta znowu zapaliła znicz, położyła kamyk. Stała przed ogrodzeniem. Uśmiechała się delikatnie. Ten uśmiech otworzył Esterze drogę do duszy Dziewczyny. Przez uśmiechy można bowiem zobaczyć najwięcej. Uśmiechy to wrota do duszy.

Zobaczyła w duszy Dziewczyny wiele; zobaczyła serce i empatię, zobaczyła żal za żydowskimi mieszkańcami Polski, zobaczyła kilka miesięcy z życia Dziewczyny, jej starania by niepamięć zamienić w pamięć. Jej odwiedzanie cmentarzy i mogił, jej wieczory spędzane na pochłanianiu lektur o tematyce żydowskiej. Zobaczyła też coś innego. Zobaczyła ciekawe życie. Życie prowadzone z uważnością. I coś jeszcze. Zobaczyła, że Dziewczyna w swoim kolorowym mieszkaniu jest sama.

– Jak to? – pomyślała Estera – ale dlaczego? Przecież Ona jest całkiem fajna. No i ma te cudowne buty. Nie ma nikogo kto chciałby jej potowarzyszyć? Kto zrozumiałby dlaczego jest taka jaka jest? Dlaczego Pamięć to dla niej ważna sprawa? Estera postanowiła przyjrzeć się sytuacji. Na jedną noc zdecydowała się opuścić swój dom na Traugutta.

Usiadła Dziewczynie na ramieniu i w ten sposób odbywała podróż do mieszkania Dziewczyny. Kiedy usiadła, Dziewczyna przystanęła, jakby coś poczuła.

Estera widziała smutek Dziewczyny tego dnia. Weszła w jej myśli. Dziewczyna zadawała sobie pytania... dużo pytań, które natychmiast jednak od siebie odsuwała, wiedząc, że nie znajdzie na nie odpowiedzi.

Dlaczego nikt nie chce mojej miłości? Mam jej tyle... mogłabym kogoś nią obdarować. Ten ktoś byłby szczęśliwy.

Może to przez tę moją Pamięć? Przez tę potrzebę przywracania pamięci? Przecież tak dużo Polaków odczuwa niechęć do Żydów. Nie rozumieją mnie. Czasem nazywają szabes – gojem, czasem wysyłają do Izraela, pytają czy jestem Żydówką.

A może to przez książki? Może wydaje im się za mądra? Bywa, że ludzie nie lubią kiedy ktoś wie za dużo....

Estera bała się o Dziewczynę.

Kiedy Dziewczyna zasnęła, jej dusza opuściła ciało. Ciało bowiem musi w nocy odpocząć od duszy. Muszą pobyc przez jakiś czas osobno.

Estera przypilnowała żeby rano z powrotem się zjednoczyły. Żeby dusza czasem się nie pogubiła, nie weszła w jakąś roślinę czy zwierzę i nie opuściła Dziewczyny. Kim byłaby Dziewczyna bez swojej duszy?

Spokojna Estera wróciła na cmentarz.

Dziewczynę zobaczyła ponownie w któryś szabas. Pomyślała nawet: no nie, ta gojka jednak jest bezczelna, czy ona nie wie, że w szabas zmarłym się nie przeszkadza?

Gojka nie była sama. Były z nią jeszcze inne osoby.

Próbowali wejść na cmentarz, ale od dawna nieotwierana furtka pozostała nieubłagana. Ani drgnęła. Klucz nie zadziałał. Dziewczyna zaczęła chodzić wzdłuż ogrodzenia. W końcu je przeskoczyła. Oglądała pomnik, płyty, które były gdzieś w trawie, a upamiętniały zamordowanych. Rozmawiała z koleżanką. Estera krążyła gdzieś nad ich głowami, chcąc usłyszeć o czym mówią. Wynikało z ich rozmów, że chcą zrobić porządek na cmentarzu. Powycinać chwasty, pozbierać śmieci, oczyścić pomnik i płytę.

Pomnik upamiętniał ofiary dnia 9 marca 1942 roku.

Estera pamiętała jak obudziła ją zmartwiona Mame.

– Wstawaj dziecko, musimy szybko się pakować, nie mamy czasu.

– Gdzie idziemy Mame? Gdzie?

– Nie wiem – powiedziała Mame, ale Estera widziała, że Mame z trudem powstrzymuje łzy.

Estera nie wiedziała, że Mame właśnie się dowiedziała, że zginęła ich sąsiadka. Na ich ulicy, na Sandomierskiej, naprzeciwko ulicy Wąskiej gestapowiec Rudolf Zimmermann pozabawił życia ich sąsiadkę, która poprzedniej nocy urodziła dziecko. Nie mogła stawić się na zbiórkę na Rynku. Główkę nowo narodzonego niemowlęcia roztrzaskał o ścianę.

Estera dowiedziała się potem, że tego dnia na terenie miasta rozstrzelano 54 Żydów, a potem w czasie wędrówki na lotnisko kolejnych 240. Z wieloma z nich dzieliła potem miejsce na Traugutta. Tam spoczęły ich szczątki.

Kolumna Żydów szła od Rynku w kierunku Chorzełowa, na lotnisko. Był marzec i było zimno. Esterę bolały nogi. Bolały coraz bardziej. Mieleccy sąsiedzi przyglądali się marszowi ze swoich okien w milczeniu.

Niektórzy Żydzi próbowali uciekać z kolumny. Niewielu to się udało. Estera patrzyła jak giną. Twarz zalewały jej łzy, strach dławił gardło. Mame tuliła ją mocno. Szeptala słowa otuchy. Szli już dwie godziny, Esterę bardzo bolały nogi. Było jej zimno. Przewróciła się w pewnym momencie. Taka była zmęczona... Podbiegł do niej nazista, złapał za rękę, odciągnął od Mame. Mama przeraźliwie krzyknęła, Estera nie zdążyła krzyknąć.

Poczuła ból... był krótki i przenikliwy.

Wyszeptala: Posłuchaj Izraelu, Pan Bóg nasz jest Bogiem jedynym.

A potem, potem zobaczyła Mame, Tate i siostry... gdzieś zupełnie w dole. Odchodzili. Na zawsze. Estera unosiła się nad wszystkim. Było jej lekko i nie czuła już strachu.

Mame, Tate, i siostry odchodzili w kierunku śmierci jak i tysiące ich żydowskich braci i sióstr mieszkających w Mielcu.

Miasto stało się „wolne od Żydów”. W ciągu jednego dnia opustoszało. Zmieniły się ulice i sklepy. Zmieniło się wszystko.

Nic już nigdy nie miało być takie samo.

Tego dnia Estera zamieszkała na cmentarzu i przebywała w świecie prawdy.

Estera dużo myślała o Dziewczynie. Odwiedzała ją. Widziała jej starania. Dla Pamięci. Już wiedziała, że Dziewczyna chociaż gojka, ma w sercu wiele współczucia dla jej żydowskich braci i sióstr. Że traktuje ich jak swoich, jak sąsiadów. Że bardzo mocno pragnie, żeby inni czuli tak samo. Żeby zrozumieli, że tak właśnie trzeba. Że to jest ważne.

Dziewczyna wciąż jednak była sama. Nie miała u swojego boku kogoś, kto na co dzień byłby przy niej i myślał podobnie.

Estera postanowiła coś z tym zrobić. Bardzo bacznie przyglądała się ludziom w Mielcu. Któregoś dnia znalazła rozwiązanie.

Z tą myślą zasypiała. We śnie zobaczyła raz jeszcze to co stało się z jej rodzicami.

Mame, Tate i siostry doszli w kolumnie na lotnisko. Spędzili kilka dni w zimnych hangarach. Leżeli na kamiennej posadzce.

Nie dostawali jedzenia. W nocy włączano bardzo silne światło, aby ich oślepiało. 11 marca 1942 roku pierwszym transportem, rodzina Estery opuściła Mielec. W wagonach dla bydła jechali tam gdzie czekała już tylko niedola. Na końcu tej niedoli była śmierć.

Do Mielca mieli nigdy nie powrócić. Ostatnim ich miejscem na ziemi był Bełżec.

Wśród ludzi w Mielcu Estera szukała Kogoś kto zrozumiałby Dziewczynę. Komu Dziewczyna nie musiałaby nadmiernie tłumaczyć dlaczego należy przywracać Pamięć.

Fruwała czasem nad Mielcem bardzo bacznie się przyglądając jego mieszkańcom. Któregoś Dnia zobaczyła Go.

Chłopak wyszedł z biblioteki i miał pod pachą wielką książkę o żydowskich cmentarzach.

– Być może będzie idealny – pomyślała Estera.

Obserwowała go przez wiele dni. Widziała jak spacerował po mieleckim cmentarzu parafialnym. Jak pochylał się nad wieloma nagrobkami. Zobaczyła go kiedyś na cmentarzu na Jadernych. Kładł kamki.

Estera wyżyła wszystkie swoje siły. Na jeden wieczór zamieszkała w domu Chłopaka. Siedział właśnie przed komputerem, a Estera tak pokierowała jego myślami, by trafił w sieci na Dziewczynę. By zobaczyć co Ona robi, i by pomyślał o Dziewczynie z czułością.

Następnego dnia Chłopak napisał do Dziewczyny. Zaoferował swoją pomoc, zaproponował spotkanie, bo miał Dziewczynie wiele do opowiedzenia.

Dziewczyna tamtego dnia była bardzo zajęta. Odpisywała wielu osobom, które zwracały się do niej w sprawie żydowskiego cmentarza. Przywitała się z Chłopakiem i napisała, że na pewno się odezwie. Później. Może za miesiąc?

To „później” nie podobało się Esterze. Nie było zgodne z jej planem.

Trzeba było coś zrobić.

Trzeba było znowu pokierować myślami Chłopaka w stronę Dziewczyny. Tamtego popołudnia Chłopak dopisał jakiś komentarz do wpisu Dziewczyny.

Ona to zauważyła. Odpisała, ale pomyślała też, że musi jutro odezwać się do Chłopaka już bezpośrednio. W prywatnej wiadomości.

„Jutro” było ważnym Dniem. To był Dzień Pamięci Ofiar Holocaustu. Dziewczyna rano poszła zapalić światło pod obeliskiem na placu gdzie stała Synagoga. I położyć kamki.

Potem poszła do pracy. Nad jej głową krążyła Estera i przypominała: napisz do Niego, napisz.. nie możesz zapomnieć, nie możesz go przegapić, nie wolno ci.

Dziewczyna napisała.

A potem pisała już zawsze. Codziennie i dużo. Mijały dni, tygodnie, miesiące.

Estera siedziała na swoim drzewie na Traugutta. Zobaczyła jakieś duże zamieszanie. Przed cmentarzem gromadzili się ludzie.

– Dużo gojów – pomyślała Estera – chcą zrobić jakąś rewolucję?

Przygotowywali się do porządkowania cmentarza.

Traugutta szła też Dziewczyna. Właściwie szli ... Dziewczyna i Chłopak. I trzymali się za ręce.

Estera uśmiechnęła się.

Mogła już być spokojna.

Wszystko działo się tak jak dziać się powinno.

Zupełnie inaczej niż 9 marca 1942 roku.

Miłość zwyciężała.

Również nad niepamięcią.

Izabela Sekulska – urodzona w Mielcu w 1972 roku.

Absolwentka mieleckiego II Liceum Ogólnokształcącego i politologii i nauk społecznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pracownik samorządowy. Pasjonatka nie tylko literatury, ale też muzyki, górskich wędrówek i szeroko pojętego sportu (w tym też czynnie, przez wiele lat uprawiała siatkówkę oraz kolarstwo górskie). Obecnie jej zainteresowania mocno koncentrują się na historii Żydów. Laureatka konkursu na najlepszą recenzję przy Nagrodzie Literackiej Nike w 2002 roku. W 2003 roku publikowała recenzje wybranych pozycji literackich w regionalnym tygodniku TEMI.



Jerzy Stefan Nawrocki

Fragment przygotowywanej do druku powieści
„Ścieżka do Wieczności”**ZAMĘT**

Jaskółki przyleciały już kilka dni temu i teraz, pod burzowymi chmurami, śmigały jeszcze nisko w powietrzu jak szalone. Zawsze był pewien, że za sekundę rozbiją się o beton ściany, i zawsze lądowały na nim bezpiecznie przy skraju otworu gniazda, by już po sekundzie śmignąć pracowicie dalej.

One są zawsze wolne, pomyślał. Widzą wszystko co jest, ale ty byłeś, jesteś i zawsze będziesz manipulowany. Widzisz i słyszysz tylko to, co ci powiedzą albo pokażą. Ale ty jesteś człowiekiem, a one nie mają telefonów i telewizorów...

Senat pod marszałkiem i teraz, przed kolejnym terminem wyborów prezydenckich nie spieszył się z przekazaniem ustawy o nich z powrotem do Sejmu, jakby opozycyjna senacka większość pragnęła i ten kolejny termin uczynić nieaktualnym, doprowadzając do „bezkrólewia”, czyli – do dalszego ciągu Wielkiego Zamętu i chwilowego przejęcia prezydenckich funkcji przez Marszałka Sejmu. A Sejm: dualizm kompetencji marszałka-prezydenta?

Wszystko to wydaje się obliczone na „zmęczenie” wyborców i wzrost ich niezadowolenia z obecnych rządów. Czyżby wracały dzieje anarchii i upadku polskiej niepodległości niemal sprzed dwu i pół wieku? Czy o to walczył mój ojciec-piłsudczyk w pierwszej wojnie światowej, w wojnie polsko-rosyjskiej 1920. roku? Czy za to siedział po drugiej wojnie światowej za sprzeciw stalinizmowi, w Nowym Wiśniczu i na Zamku Lubomirskich w Rzeszowie? Na pewno – nie za to.

Na wargach, na policzku czuję pustylny pył. Ścieżka prowadzi w dół pośród piargowych usypisk. Schodzę sam. Inni ciekawi znaleźli się na dole przede mną. Niektórzy wracają do domów, lecz wielu pozostało w większych i mniejszych grupach: rozmawiają. Gestykułują.. Między nimi triarii.

Najstarszy funkcją, oficer, przygląda się wszystkiemu z dużego głazu: rzymski porządek i ład. Nie musi, i nie chce się spieszyć: im dłużej tu trwa – on wygrywa. U jego stóp – ów trzynasty i dziesiętnik, baczni na jego skinienie: skinienie nie wierzącego nawet w gromowładnego Jowisza, jedynie w pana wielu narodów – swojego wielkiego Cezara. I, oczywiście, w jego namiestnika-legata. Choć obaj są teraz daleko, to jednak namiestnik od czasu do czasu odwiedza tutejszy lud, a oficer marzy o przyznaniu mu funkcji legata u stóp cezara...

Oficer ma twarz pociągłą, zimną, bez wyrazu. Niemal martwą. Oczy obojętne, lodowate: nie zgadnąć, co myśli o tłumie. A jednak jest całkiem przejrzysty. Ten kącik ust: jeden ich kącik, gdy wciąż sztywno wyprostowany mówi coś dziesiętnikowi. Ten kącik jest pełen pogardy, zacięta, bezwzględna w czynieniu dusza.

Okrzyłem to trio i mijam grupy tubylców, pełen dla nich współczucia. Straszny człowiek. Oby nigdy nie został namiestnikiem...

Zastanawiałem się nad tajemnicą wielkiego jeziora, którego wody wyrzucają łaskawie na powierzchnię ludzi pragnących się utopić, i z tego też powodu nie mogą w nim ponoć żyć ryby.

Obejrzałem się w jego kierunku i wówczas zobaczyłem, jak do oficera przypada konny posłaniec z gałązką oliwną w rękę, jak zeskakuje z rumaka i natychmiast przykłęka, pochyla głowę, a w wyciągniętej w górę ku oficerowi dłoni trzyma pergaminowy zwój z wiszącą na sznurku pieczęcią. Przystanąłem. Oficer rozkręcił rulon i czytał.

I naraz stało się coś, co nie tylko mnie, ale i cały tłum wprawiło w tak wielkie zdumienie, iż wokół zapadło głucho milczenie, zakłócanie tylko wrzaskami kruków u szczytu, pełnych nadziei na ucztę: oficer zstąpił z głazu. Po jego twarzy rozlał się uśmiech i z uniesionym ramieniem, dzierżąc w palcach pergamin wkroczył łaskawie między tkwiący bez ruchu tłum. Przystanął, a ludzie natychmiast, cisnąc się na wyprzodki otoczyli go kręgiem, głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, oddech w oddech, a spieszyli się tak,

że nad wszystkimi uniósł się obłok pustynnego pyłu: tego samego, którego obecność odczuwałem nadal na policzku i wargach, Rzymianin zaś zawołał głośno, nie przywołując herolda:

- Pan całego świata, wielki Cezar - oby żył wiecznie! - oznajmia wam przez namiestnika tego kraju łaskę, jaką i ja, wierny mu i kochający jego wolę i was wasz pretor ogłaszam własnymi ustami: Przybędzie do nas jesienią, by czynić sprawiedliwość: nagradzać każdego wiernego, a karać tych, którzy nam, wiernym poddanym cezara przeszkadzają czyniąc zło jako i ci pozostali już na zawsze na gorze! Radujcie się. Wracajcie w pokoju do domów i rozgłaszajcie wieść szczęsną wszem kochającym Cezara, zaś moja łaska dla was będzie wielka i pewna.

W tej chwili słońce zamglili jakiś, nie wiadomo skąd objawiony, bielutki niczym młody baranek, obłok.

* * *

Nie ogłoszono kampanii wyborczej, ponieważ ustawa nadal tkwi w Senacie, ale kampania toczy się pełnym rozpędem: kandydaci jeżdżą po kraju. Tu obiecują coś, gdzie indziej znów – niepokoją, sugerują. Chcą zablęsnąć. Któryś, pragnąc rozchwiać rządowi na przyszłość podwaliny, nawołuje do wstrzymania wielkich inwestycji: międzynarodowego portu lotniczego między Warszawą a Łodzią i kanału przez Mierzęję Wiślaną, pozwalającego rybakom wypływać z portu w Malborku bezpośrednio na Bałtyk, bez rosyjskiego pozwolenia. Wstrzymać duże inwestycje w okresie wciąż zagrażającego bezrobocia, bardzo celowe dla Polski i jej przemysłu? Dobrze, że do nich doszło, bo argument, że takie lotnisko jest niewypałem wobec podobnego, powstającego w Berlinie, wydaje się chwiejny. Wiele będzie zależeć od zupełnie innych „przymiotów”, ale chętni do lądowania na nim się znajdują: nie – Warszawa koło Berlina, ale – Berlin lub Warszawa. Niby czemu nie?

Jakiś dziennikarz zadał podmienionemu kandydatowi pytanie za mnóstwo „punktów”: czy zna bogacza Solosa? Cóż: Solos chyba raczej nie przepada za rządzącą obecnie moim krajem „opcją” .Dziennikarz coś niecoś musiał

gdzieś wyszperać, bo odpowiedź Trzaskowskiego zaiste dała mi do myślenia: że: to niezupełnie jest tak z tą „znajomością”, aby można powiedzieć, że tego, krążącego po świecie multimiliardera, aż zna...

Znaczy się, szepce Rozum, coś w tym znaniu-nie znaniu jednak jest, jest, musi być. Kandydat wyraźnie pragnął ten wątek pomniejszyć, a mnie się to nie podoba, bo Solos był i u nas... Nie podoba, kochany.

Wciąż objawiają się kolejne „ogniska” pandemii, ostatnio w Wielkopolsce, jednak sytuacja w kraju określana jest pod tym względem jako zdecydowanie stabilna. Od ósmego czerwca otwierają się dla chętnych, pod określonymi rygorami ostrożności domy kultury, dopuszcza się również organizowanie – także z pandemicznymi „obostrzeniami” i dla mniejszej ilości uczestników – wakacyjnego zbiorowego wypoczynku dla dzieci. Ba, a tu moje miasto - zawsze współsubsydiujące ów wypoczynek – oznajmia, że brak mu na ten cel pieniędzy. A gdzież to się one zapodziały, gdzie? Kto się na dzieciach i ich wypoczynku pożywił, czyją decyzją? Liczono, że wszystkie wymrą przed wakacjami, czy jak!? No i ma być podobno tylko „stacjonarnie”, to znaczy – bez wycieczek w atrakcyjne miejscowości, w mieście. Czyli: mniej zdrowo. Wirus zajązwał, wirus powiedział, wirus dał karte blanche. Ciągłe we wszystko się miesza, ustala nowe porządki. Nowy instruktor głównych księgowych i urzędników, zesłany im od węża z rajy, który „zalisil” węzowym ogonem: wymieszał nawet badane w laboratoriach (a pobrane od pozamykanych w mieszkaniach i „miejscach izolowania” ludzi, wirusowe testy. Czekają na ich wyniki w tych nowatorskich aresztach pozbawieni wolności po miesiącu i więcej: piszą, proszą, upominają się już nie o wolność tylko o wynik badania. O odważnych i pełnych poświęcenia „wolontarzach” czy dobrych „mopsach” słych zaginął jeszcze w kwietniu, Chlebek w piekarni, ale samemu nie wolno, a sąsiadów też nie każdy ma. Zresztą – sąsiad sąsiadowi nierówny, a ma i prawo się bać: ”Miałeś kontakt z zakażonym? A no – miałem. No to teraz ty musisz „pokwarantannować”. a bywa, że obiecanych dawniej „wolontarzy” i „mopsów” nie usłysz. Zdarzyło się nawet, że (jak to zaprezentował „Polsat”) jacyś najbardziej niepełnosprawni zmarli w swoim mieszkaniu. Dwoma

słowami: chaos wzrasta. I wcale to nie oznacza, że gdyby u sterów kraju zasiadała obecna Opozycja, Polska przypomniałaby szwajcarski zegarek.

To już przerabialiśmy, rozważał Stary. Właśnie z tamtej lekcji pojawił się rząd obecny. Zdaje mi się, że gdyby korona-wirus przyleciał za jego poprzedników, byłoby jeszcze gorzej. Kovid`19. Dziecko dziewiętnastej próby Poprawiaczy Świata. Dlaczego tego laboratorium w Wuhan nie zalano jeszcze betonem, wzorem elektrowni atomowej w Czarnobylu?

I odpowiedział sobie: - Każdy wie dobrze, dlaczego. A przy okazji podważono parę wielkich i nietykalnych mitów: także w Stanach Zjednoczonych.

W Stanach Zjednoczonych AP trwały potężne rozruchy, walki z policją, strzelaniny, granaty, gazy, rabunki, demolki, pożary, wybuchy. Ludzie, innych kolorów skóry niż białe, oskarżali rządzących o kontynuowanie rasizmu, od czasów przywiezienia pierwszych Murzynów do Ameryki do dziś. Wzburzone tłumy maszerowały w Waszyngtonie ulicami pod Biały Dom, demonstracje ogarnęły liczne miasta. Nie ominęły i Kalifornii: „krajny” Miasta Aniołów, gdzie aniołowie nigdy raczej nie mieli wiele do powiedzenia.

Tak potężnych rozruchów pod mottem antyrasizmu nie było w USA od ponad pół wieku, od dnia zamordowania wielkiego pastora murzyńskiego Martina Luthera Kinga. Nowe hasło manifestantów: „Nie mogę oddychać” zrodziło się po śmierci jednego z Murzynów, „potraktowanego” brutalnie przez policjanta, a żyzną glebę zachęcającą do manifestowania stanowił zapewne ogromny wzrost bezrobocia (ponad trzydzieści milionów bezrobotnych) wywołany pandemią korona-wirusa. Prezydent Stanów stanął zdecydowanie po stronie tłumiącej rozruchy policji i groził „anarchistom” (jak określał rozruchy) użyciem wojska. Ameryka wkraczała powoli po krajach Europy, jak to oznajmiła Matka Boska świętej Faustynie, na swoją drogę cierniową.

Za to z Cap Canaveral po raz pierwszy wystartował w kosmos i na stację kosmiczną p r y w a t n y statek-rakieta z dwoma kosmonautami. Prywatny. Niby amerykański, należący jednak do pojedynczego człowieka: naturalnie super-bogacza, reprezentującego przede wszystkim... siebie.

Nawet, jeżeli dzieje się to pod amerykańską flagą. Możliwe implikacje wydarzenia stają się zbyt niesamowite i bezprecedensowe (państwo-znaczenie-wpływ-władza-człowiek-decyzyjność-świat) by określić je w paru zdaniach. Jednostka równoważna wielkim państwom, potężniejsza od wielu z nich? Przyszły gospodarz dziewiczych terenów planet z prawem do ich własności, według najlepszych starych wzorców zasiedlania Dzikiego Zachodu? Precedens już przecież był, Indianie się nie liczyli, podobnie jak nie liczy się i biedota w innych regionach Ziemi, choćby w Indiach. Prezydent Stanów również jest precedensem, nawet o tym nie myśląc, a jednak: po rządach typowych polityków, jest pierwszym prezydentem-biznesmenem u steru najwyższej władzy: politycy znaleźli się w hierarchii władzy n i ż e j. Czy jego następcą może zostać wsławiony kosmicznym wojażem i sukcesem kolejny wielki biznesmen? Czy Soros jest jego znajomym, o tym nie wspomniano.

* * *

A jednak wybory prezydenckie odbędą się dwudziestego ósmego czerwca. Prowadzi nadal zdecydowanie Urzędujący, ale (przynajmniej według sondaży, którym nadal nie do końca ufam) za jego plecami sytuacja uległa zmianie. Gdyby druga tura wyborów stała się faktem, a drugi podmienny kandydujący pozyskał elektorat trzeciego niezależnego w sondażowej kolejce, wówczas (znów jedynie według sondaży, w układzie dwóch na jednego) przewaga Urzędującego oceniana jest jako minimalna. Taka zaś sugeruje wręcz szansę dla podmiennego. Czy to jest akurat to, o co szło Opozycji? Kto wie, kto wie, może?

Ten dzień okazał się dla sprawy wyborów przełomowy. Tym razem twarz Marszałka, pokazana w tefau, nie była już tak surowo opanowana, a deklaracja konstruktywna i przejrzysta: jeszcze tego wieczora, najdalej jutro rano ustawa o wyborach, wraz z poprawkami do niej, trafi z Senatu do Sejmu. Ogłosił wspaniałą wieść. Co prawda stało się tak chyba dopiero po okazaniu tuż przedtem niezadowolenia nawet posłów Platformy z pomysłu dalszego przesuwania terminu wyborów aż na lipiec, ale – stało: dali coś

niby hasło: „No dobra, uważamy, że już wystarczy, na tym akcie już zaciągamy kurtynę.”

I o`key. Dostyc anarchii. Dostyc męczenia ludzi nie tylko pandemią, ale i metodami politycznej walki, właściwie „na śmierć i życie” – oczywiście polityczne. Już wszyscy są w „terenie”. Już wszyscy kochają tylko i wyłącznie, i oczywiście nikogo więcej, niż zwykłych człowieczków. Już, my tak zawsze, właściwie od urodzenia was kochamy, że życie nasze nawet za was... Cios za cios, strzał na strzał, zęb za zęb, oko za oko. Można od tego ze świrować. Ktoś tam już się dobrowolnie podpalił.

Wszedłem do marketu. Sobota. Trzeba zaopatrzyć dom w żywność i na niedzielę. Późna wiosna. Przegrody pełne owoców: witaminy i zdrowie na wyciągnięcie ręki. Kilo czereśni – trzysta czterdzieści złotych!? Prawie połowę mojego miesięcznego „dofinansowania” mnie trzynastą emerycką pensją przez ZUS? Obłęd! Gdzie są te zapowiadane „kontrolę” cen towarów na półkach? Ile z tej ceny dostaje producent-sadownik?

Może i są. Ważne, że ktoś ciebie kocha.

Kto? Samą miłością nikt dotąd jeszcze nie wyżył.

A twoja noga?

A-aa: noga???. Zapomniałem. Jak to ona. Za tydzień u mego doktora. Przynajmniej on miał dotąd stałą cenę, czereśnie muszą poczekać. Może za rok, kiedy dostanę i „czternastkę”, a kontrolerzy detalu dadzą „popalić” komu tam będzie należało (...).

Jerzy Stefan Nawrocki

Urodzony 4 września 1941 r. we Lwowie. Od 1945 r. mieszka w Rzeszowie. Prozaik. Debiutował w 1972 r. na łamach Żołnierza Polskiego opowiadaniem Drzewa nie mogą odejść. W latach 1974-1978 jest trzykrotnym laureatem nagród bądź wyróżnień w ogólnopolskim konkursie literackim „Rubinowej Hortensji”. W 1975 r. uczestniczy w I Ogólnopolskim Sympozjum Młodych Pisarzy w Polańczyku. Jego opowiadania trafiają do antologii 27 młodych pisarzy polskich Wszystkie barwy tęczy (PW „ISKRY”, tytuł całego zbioru przyjęty z jego opowiadania), a także do antologii konkursu „Rubinowej Hortensji” z lat 1965-1979 (Wydawnictwo Łódzkie, 1987). Zostaje wybrany wiceprezesem odrodzonego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy „Gwoźnica” w Rzeszowie.

Debiut książkowy:

- » Karty na stół, KAW, Rzeszów 1981;
- Następnie wydał drukiem:
 - » Wielkie... trzy, ZLP O/Rzeszów, Rzeszów 1987
 - » Dzieci kosmitów EN, Stowarzyszenie Promocji Literatury Współczesnej, Rzeszów 1989
 - » Targ bardzo starych monet, Wydawnictwo „Litart”, Rzeszów 1990
 - » Każdy może na ćwierć guru, Wydawnictwo „Resovia”, Rzeszów 1993
 - » Główna piramid tajemnica, Wydawnictwo „Resovia”, Rzeszów 1993
 - » ... ten tętent karych koni: CIENIE, 1-2, ZLP O/Rzeszów, Rzeszów 2007



Dwukrotnie wyróżniony nagrodami Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego oraz uhonorowany odznaką „Zasłużony dla Województwa Rzeszowskiego”. Laureat Nagrody Miasta Rzeszowa I st. w dziedzinie literatury (2007) oraz Nagrody Zarządu Województwa Podkarpackiego (2011).

W działalności dziennikarskiej laureat II Nagrody Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (1978). Wyróżniony w konkursie „Kurier Polskiego” pt. „Wiedza — Technika — Postęp” (1979) oraz Centrum Studiów Samorządowych w Warszawie w kategorii publikacji prasowych, radiowych i telewizyjnych (1989).

Inf. i fot.: <https://zlp.rzeszow.pl/nawrocki.htm>

Stefan Żarów

Ślady utrwalone

„Człowiek żyje prawdziwie ludzkim życiem dzięki kulturze”

Jan Paweł II

Rzeszowskie Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury ma w swojej czterdziestoletniej historii długą i bogatą kartę działalności. W niniejszym opracowaniu w zarysie przedstawiam przede wszystkim jego ostatni piętnastoletni twórczy okres funkcjonowania w nowej formule, obejmujący lata od 2006 - 2020, a opisujący pewną dynamiczną epokę w życiu organizacji. W tym czasie Stowarzyszenie zaznaczyło swoją obecność w nowej rzeczywistości na mapie kulturalnej powstałego województwa podkarpackiego.

Początkowych inspiracji do powstania Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Rzeszowie (do 2008 roku Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury) należy doszukiwać się w podpisanych porozumieniach sierpniowych w 1980 roku w Stoczni Gdańskiej i powstaniu wolnych niezależnych związków zawodowych Solidarność. Rzeszowskie RSTK jest jednym z pięciu obok Warszawy, Gorzowa Wielkopolskiego, Bydgoszczy i Wodzisławia Śląskiego, które przed ogłoszeniem stanu wojennego uzyskały osobowość prawną. Wzorem dla funkcjonowania była formuła i statut Warszawskiego RSTK, pierwszego takiego stowarzyszenia powstałego na kanwie działającego, już od 1974 roku Warszawskiego Robotniczego Klubu Literackiego. Zdynamizowanie działalności robotniczego ruchu kulturalnego spowodowało zarejestrowanie w 1988 roku Rady Krajowej RSTK, do której rzeszowskie stowarzyszenie przynależy do chwili obecnej. Od czasu powołania do dzisiaj przewodniczy niestrudzenie temu gremium jakim jest Rada Krajowa dr hab. Paweł Soroka. Również delegaci z Rzeszowa na Zjazdach Krajowych są wybierani w skład Zarządu Rady Krajowej. W poprzedniej kadencji Stefan M. Żarów, a w obecnej Stanisław Dworak. W okresie czterdziestolecia stowarzyszeniem kierowali: Zbigniew Okoń (1980-2000), Zofia Antonina



Migała (2000-2006), Józef Kawalek (2007-2016) z wiceprezesem Stefan M. Żarów. Od roku 2016 stowarzyszeniem kieruje Stanisław Dworak z wiceprezeską Stanisławą Bylicą. Każda z tych osób w swoim czasie wniosła wkład w funkcjonowanie stowarzyszenia. Siedzibą stowarzyszenia od początku swojej działalności jest Wojewódzki Dom Kultury w Rzeszowie.

Stowarzyszenie propaguje szeroko pojętą kulturę w Rzeszowie jak również w innych miejscowościach Podkarpacia. Skupia ponad pięćdziesięciu członków stałych, kilkunastu honorowych oraz szerokie grono współpracowników i sympatyków, osób o wielorakich zainteresowaniach, działających w różnych sekcjach którymi kierują: sekcja literacka – Barbara Śniezek (poprzednio Jerzy S. Nawrocki w zastępstwie Stefan M. Żarów), plastyczna – Emilia Wołoszyn, wokalna – Zygmunt Kielbowicz, fotograficzno-filmowa – Józef Homa (poprzednio Alicja Borowiec), pedagogiczno-dydaktyczna – Katarzyna Błaszczuk (poprzednio Zofia Krawiec), sekcja folklorystyczna – Stefania Buda, naukowa – Greta Jagiełła, współpracą z niepełnosprawnymi- Barbara Dudek. Przez okres kilku lat z powodzeniem funkcjonowały sekcje: współpracy z mediami i zagranicą – Regina Nachacz, żywego słowa (teatru słowa) prowadzona przez Dorotę Kwoka, która wspólnie ze Stachem Ożogiem (wykładowca UR) nagrali ponad

50 płyt CD z poezją twórców podkarpackich. W stowarzyszeniu działa również Centrum Przepływu Informacji, kieruje nim Katarzyna Pajdak. Organizacja comiesięcznych zebrań, imprez, uroczystości, spotkań autorskich jest wynikiem działań zarządu i koordynacji funkcjonowania wymienionych sekcji. Do najnowszej formy działalności prowadzonej w ostatnich dwóch latach należy funkcjonujący pod patronatem stowarzyszenia Klub Promocji Twórczości Literackiej „Tramp Poeta Podkarpacki” powstały i prowadzony z inicjatywy dr Katarzyny Błaszczuk. Są to cykliczne spotkania literacko-muzyczne organizowane dwa razy w miesiącu w rzeszowskiej kawiarni Cafe Park. Podwieczorki literackie promujące twórczość poetycką w tym również spotkania kierowane do rodziców z dziećmi pn. „Poeci czytają dzieciom”. Każde spotkanie poprzedza wydanie autorskiego zeszytu literackiego „Tramp Poeta Podkarpacki”. Klub posiada swój znak graficzny autorstwa Wioletty Cieleckiej.

Działalność stowarzyszenia to także otwartość na inne środowiska twórcze Podkarpacia, instytucje kultury, współpraca z nimi oraz wymiana doświadczeń. Wśród nich wymienić należy: Mieleckie Towarzystwo Literackie i Grupę Literacką „Słowo”, „Witrynę” ze Stalowej Woli, Grupę „Inspiratio” z Łańcuta, Klub „Na marginesie” z Leżajska, Klub Poetów Podkarpacia „Perły” w Tryńcy, Ruch Poetycki „Zgrzyt” z Brzozowa, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Przemyślu, „Wrzeciono” z Nowej Sarzyny, a także Związek Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie oraz niezrzeszeni twórcy. Swoją działalność opiera na szeroko pojętej współpracy z ośrodkami kultury i bibliotekami w tym szczególnie z Wojewódzkim Domem Kultury w Rzeszowie i Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Rzeszowie, ale również z Centrum Kulturalnym w Przemyślu, ODK „Karton” i „Akwarium” Rzeszowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Rzeszowie, Ośrodkiem Konferencyjno-Szkoleniowym „Zodiak” w Rzeszowie, kawiarnią Cafe Park czy Rzeszowskim Centrum Organizacji Pozarządowych. W 2011 roku nawiązano kontakty z Lwowskim Centrum Partnerstwa i współpracy Kulturalnej.

Dynamicznie kształtuje się współpraca ze środowiskiem naukowym Uniwersytetu Rzeszowskiego poprzez udział

w Kongresach Stowarzyszeń Regionalnych Województwa Podkarpackiego oraz w konferencjach naukowych. W 2016 roku udział w Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej POELAND: Miejsce duchowej obecności Edgara Allana Poeego, podczas której członkini zarządu stowarzyszenia Greta Jagiełła - ówczesna doktorantka UR, sprawowała funkcję Sekretarza Konferencji. Następnie w 2018 r. w Konferencji Naukowej „Podkarpacie literackie na przestrzeni wieków” z dwoma referatami udział wzięli: Józef Kawalek – „Dorobek literacki RSTK w Rzeszowie w latach 1980 – 2017” i Barbara Śnieżek – „Życie literackie RSTK w Rzeszowie w 2017 r. i pierwszym kwartale 2018 r. Antologia Sekcji Literackiej RSTK w Rzeszowie”. Referat ten znalazł się w wielkim, kilkutomowym almanachu Rzeszowskiego Uniwersytetu pt. „Podkarpacie literackie na przestrzeni wieków”. W 2018 Barbara Śnieżek brała również udział w inauguracjach Konferencji Naukowych na Wydziale Ekonomicznym UR „Nierówności społeczne a wzrost gospodarczy” a w 2019 r. wystąpiła z referatem „RSTK w Rzeszowie, jako propagator wielorakiej twórczości przyczyniającej się do wzbogacenia życia intelektualnego”. Dobitym przykładem współpracy z Uniwersytetem Rzeszowskim jest także opracowanie z 2015 roku wydawnictwa „Przestrzenie wyobraźni”, Almanachu Regionalnego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Środowisk Twórczych Podkarpacia pod redakcją Józefa Kawalka przy współpracy redakcyjnej Wioletty Cieleckiej, Krystyny Dworak, Jadwigi Kupiszewskiej i Stefana M. Żarów. Ponad osiemset stronicowa praca w formacie A3 która oddaje charakter wszechstronnej działalności Stowarzyszenia i innych środowisk kulturotwórczych obejmujących poezję, prozę, muzykę, plastykę i publicystkę. Wstępy do poszczególnych części tej pracy napisał między innymi: prof. Kazimierz Maciąg, prof. Gustaw Ostasz, dr Anita Lehman, dr Zofia Brzuchowska - pracownicy naukowci Uniwersytetu Rzeszowskiego. Kilka lat wcześniej ukazał się pod redakcją Józefa Kawalka, almanach twórczości nauczycieli pt. „Chór Związku Nauczycielstwa Polskiego *Cantus* w Rzeszowie”. W 2017 roku pojawiła się Antologia Sekcji Literackiej RSTK w Rzeszowie przedstawiająca twórczość dwudziestu członków. An-

tologia powstała z inicjatywy i w opracowaniu Barbary Śnieżek, recenzował dr Jan Wolski - adiunkt z UR.

Stowarzyszenie w okresie swojej działalności było wielokrotnie wyróżniane i nagradzane. W ostatnich latach między innymi przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odznaką honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2015), Specjalną Nagrodą Marszałka Województwa Podkarpackiego dla Najlepszych Organizacji Pozarządowych w kategorii - Ochrona Dziedzictwa Kulturowego (2015), Nagrodą Zarządu Województwa Podkarpackiego za całokształt działalności w dziedzinie twórczości artystycznej, upowszechniania i ochrony kultury (2013). Wielu członków RSTK otrzymało indywidualne nagrody, odznaczenia państwowe jak również zostało uhonorowanych przez MKiDN odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”: Dorota Kwoka (2014), Krystyna Dworak, Jadwiga Górska-Kowalska, Józef Kawalek, Jadwiga Kupiszewska, Jerzy S. Nawrocki, Maria Rudnicka, Emilia Wołoszyn, Stefan M. Żarów (2015). Natomiast Mieczysław Mularski pielęgnujący tradycje ludowe i uprawiający twórczość w stylu ludowym uzyskał Nagrodę Oskara Kolberga (2011). Tytuł „Ambasadora Polszczyzny Regionalnej 2015” uzyskała Stefania Buda gawędziarka i regionalistka.

W latach 2008-2016 Stowarzyszenie było wydawcą dwumiesięcznika *Kultura i Pieśń Informator Kulturalno-Społeczny dla członków i sympatyków RSTK oraz instytucji kulturalno-społecznych*. W stały skład redakcji Informatora wchodził: Jerzy S. Nawrocki następnie Józef Kawalek – jako redaktorzy wydań oraz współpracownicy: Zygmunt Kielbowicz, Stefan M. Żarów, Alicja Borowiec, Władysław Wiącek, Emilia Wołoszyn, Józef Homa, Małgorzata Kielbowicz, Bronisław Dryja i inni. W Informatorze okresowo zamieszczana była „Wkładka Młodych” prowadzona przez ówczesnego studenta PWST i UJ Beniamina Bukowskiego z utworami studentów znanych uczelni w kraju jak: AGH, UJ, UP, UW, UW r. oraz uczniów Liceum Sióstr Prezentek z Rzeszowa. Rzeszowskie RSTK wydało kilka almanachów i antologii: *Antologia na 40-lecie RSTK w Rzeszowie* (2020), „*Antologia Sekcji Literackiej RSTK*” (2017), „*Przestrzenie wyobraźni*” (2015), monografię

„*Chór Związku Nauczycielstwa Polskiego Cantus w Rzeszowie*” (2010), „*Utrwalić siebie*” (2006), *Na polonijnym szlaku* (1997) oraz „*Wokół nas*” (1990) i „*Drogowskazy*” (1985), dwie ostatnie wymienione pozycje w formie materiałów powielanych. Z inicjatywy prezesa Stowarzyszenia Stanisława Dworaka z okazji obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę, 66 artystów malarzy z kraju i z zagranicy namalowało portrety 100 wielkich osobowości, które najbardziej przyczyniły się do odzyskania niepodległości i powrotu Polski na mapę świata. Prace te zostały przedstawione prezydentowi miasta Rzeszowa z propozycją powołania w Rzeszowie „*Narodowej Galerii Niepodległości Polski 100*”. Część tych prac została zaprezentowana w Piśmie Społeczno Kulturalnym „*Własnym Głosem*” nr 4/2019/109 z 2019 roku.

Stowarzyszenie na przestrzeni swojej działalności było organizatorem dziesiątek spotkań autorskich, wystaw i plenerów malarskich oraz koncertów. Literaci należący do RSTK są bardzo czynni twórczo, wydają autorskie tomiki poezji w tym z wierszami dla dzieci oraz prozę, są współautorami wielu almanachów i antologii, organizują spotkania autorskie i uroczystości okolicznościowe, patriotyczne, są też zapraszani do udziału w różnych spotkaniach z dorosłymi, z seniorami, a także z uczniami. Biorą udział w konkursach, gdzie często zdobywają wyróżnienia. Są obecni na portalach społecznościowych, gdzie prezentują swoją twórczość. Zapraszani są również na spotkania organizowane przez Związek Literatów Polskich Oddział w Rzeszowie oraz grupy literackie spoza Rzeszowa np. z Przemysła, Łańcuta, Mielca, Brzozowa. Niektórzy członkowie RSTK należą równocześnie do ZLP (Dorota Kwoka – Oddział Kielecki, Mieczysław Mularski, Jerzy Stefan Nawrocki, Edyta Pietrasz, Stefan M. Żarów – Oddział Rzeszowski) oraz stowarzyszeń i klubów, np. Mieleckie Towarzystwo Literackie, Klub Literacki przy 21 Brygadzie Strzelców Podhalańskich, Klub Poetów Podkarpacia „*Perły*” w Tryńczy czy Grupa Literacka „*Słowo*” w Mielcu. Plastycy RSTK organizują wernisaże, wystawy i plenery malarskie. Uznana w kraju i za granicą malarka Wioletta Cielecka (Związek Plastyków Artystów RP) już kolejny

raz koordynuje projekt artystyczny „Malujemy Rzeszów” organizując ogólnopolskie edycje pleneru miejskiego oraz wystawy poplenerowe. Podobną akcję „Rzeszów w poezji, malarstwie i rzeźbie” w 2017 r. zorganizowała Jadwiga Kupiszewska – poetka, malarka, animatorka kultury i zaśluzona wieloletnia członkini RSTK wraz z rzeźbiarzem Józefem Pałacem. W tym kilkudniowym spotkaniu udział wzięli przedstawiciele różnych środowisk kulturalnych z całego kraju. Natomiast malarki i zarazem poetki Jadwiga Buczak i Grażyna Sordyl zorganizowały ogólnopolski plener malarski „Uroki Podkarpacia”. Szerokim echem odbiła się wystawa malarstwa i rysunku zorganizowana przez Stowarzyszenie w 2014 roku w Urzędzie Marszałkowskim w Rzeszowie pt. Widzenie Świata, w której prace swoje wystawili: Wioletta Cielecka, Stanisław Dworak, Łukasz Gil, Jadwiga Kupiszewska, Dorota Kwoka, Jerzy Nawrocki, Maria Rudnicka, Adam Urman, Emilia Wołoszyn, Aleksandra Zimny (film YouTube). Artyści biorą również udział w aukcjach charytatywnych na rzecz hospicjum z powodzeniem wystawiając swoje prace na licytację. Stowarzyszenie bierze czynny udział w corocznym Świącie Paniagi (ul. 3 Maja), w kiermaszach organizowanych podczas Świątowych Festiwali Zespołów Folklorystycznych w Rzeszowie, w Piknikach dla Rodzin Niepełnosprawnych. W lipcu 2019 roku Towarzystwo Przyjaciół Rzeszowa wydało album promujący Rzeszów pt. „Zaproszenie do Rzeszowa” z akwarelami Wioletty Cieleckiej i wierszami Barbary Śnieżek. Album ten został wydany pod honorowym patronatem Prezydenta Rzeszowa Tadeusza Ferencza. W regionie znane są występy sekcji folklorystycznej pod kierownictwem Stefanii Budy przy współudziale Kazimierza Wiśniowskiego. Został również nakręcony film etnograficzno-dydaktyczny „Kiedyranne wstają zorze” zrealizowany w skansenie kultury lasowiackiej Muzeum Budownictwa Ludowego w Kolbuszowej. Należy wspomnieć o aktywnie działającej Grupie Wokalnej pod dyrekcją Zygmunta Kiełbowicza, która w swoim bogatym repertuarze posiada pieśni regionalne i narodowe jak również piosenki biesiadne.

Z wieczorów literackich, uroczystości, wydawnictw, plenerów i wystaw malarskich członków RSTK zamieszczane są relacje w czasopismach kulturalno-społecznych regionalnych: Nasz Dom Rzeszów, Echo Rzeszowa, Nasz Przemysł, Barbizon Wiśniowski, Kamerton, Głos Niebylica, Krajobrazy, Kurier Błażowski, Głos Tyczyna, Croskena, Nadwisłocze, Trzcionka, Podkarpacki Informator Kulturalny, Podkarpacki Przegląd Samorządowy oraz ogólnopolskich: Akant, Własnym Głosem, Semper Fidelis, Gazeta Kulturalna, e- Dwutygodnik Literacko-Artystyczny, Pisarze.pl oraz polonijnym Biały Orzeł. Prowadzone są wywiady i audycje radiowe w Radio Rzeszów (Ślady Pegaza, Okolice Kultury i inne), Radio Via, Radio RDN Małopolska czy Radio Leliwa w których udział brali: Stanisław Dworak, Maria Rudnicka, Stefan M. Żarów, Józef Kawalek, Barbara Śnieżek, Wioletta Cielecka, Józef Pałac, Stanisława Bylica, Jadwiga Kupiszewska, Katarzyna Błaszczuk i inni. Odbyły się także telewizyjne wywiady: ze Stanisławem Dworakiem – TV „Republika” oraz z Barbarą Śnieżek w Internetowej Telewizji Stowarzyszenia Miłośników Rzeszowa. RSTK zamieszcza informacje i zdjęcia ze swoich spotkań na portalu internetowym „Sympatycy i członkowie RSTK”.

Regionalne Stowarzyszenie Twórców Kultury w Rzeszowie współorganizuje lub bierze udział w uroczystościach środowiskowych, lokalnych i państwowych. Spełnia funkcje kulturotwórcze, wychowawcze, kształcące i poznawcze a nawet terapeutyczne. Jest organizacją otwartą, w której mogą znaleźć miejsce osoby o różnych zainteresowaniach. W okresie swojego długiego funkcjonowania, jako organizacja miała swoje wznosy i przechodziła również trudne okresy przejściowe, wynikające chociażby z transformacji ustrojowej czy czynnika czysto ludzkiego. Dzięki determinacji i zaangażowaniu swoich członków i sympatyków, powracała ze zdwojoną siłą, czego ewidentnym przykładem jest czas ostatniego piętnastolecia. Jest organizacją, która przez czterdzieści lat swojej działalności, a potwierdziły to również przeprowadzone UR badania socjologiczne na stałe wpisała się w krajobraz kulturalny Rzeszowa i Podkarpacia.